

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**STEFAN ŻEROMSKI**

**PONAD ŚNIEG  
BIELSZYM SIĘ STANĘ**

**UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA...**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# **PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ**

**DRAMAT W 3 AKTACH**

*Panu Juliuszowi Osterwie,  
niezrównanemu artyście i reżyserowi,  
autor*

OSOBY DRAMATU

RUDOMSKA

WINCENTY, jej syn

HELENA

IRENA

ŚWIATOBOR

JOACHIM

OFICER

STARSZY ŻOŁNIERZ

ŻOŁNIERZE, CHŁOPI

*Rzecz dzieje się współcześnie na kresach wschodnich.*

## AKT PIERWSZY

*Scena przedstawia duży pokój w starym dworze na kresach wschodnich. Dostatnie meble, portierey, na ścianach obrazy. Z lewej strony wielka i szeroka szafa biblioteczna, pełna książek i manuskryptów. W głębi sceny duży, staroświecki komin z kamiennym obramowaniem. Z prawej strony komina drzwi, z lewej okno, zastawiane kwiatami. – Przy drzwiach stoi młynarz Joachim, człowiek starszy, chudy, dziobaty, mówiący krzykliwie. Ubrany jest w długie buty i szary drellich. W rękach obraca kaszkiet z daszkiem. Wincenty Rudomski, młodzieniec lat dwudziestu, jedyny syn dziedziczki dóbr Łuża, wysmukły, piękny, przechadza się niespokojnie, potrącając krzesła, raz w raz rozgarnia kwiaty i wygląda przez okno.*

WINCENTY

A przez Ciekłe?

JOACHIM

Ani mowy! Wylało na wiorstę! Pszenicę zmulilo na tym wzgóreczku, co za brzezina, a przecie gdzie zboże, gdzie woda!

WINCENTY

A od Psarskiego?

JOACHIM

Toć jaśnie paniczowi gadam: jedna woda rwie nad całymi łąkami od pagóra do pagóra.

WINCENTY

I mostu na rzece, mówisz, nie widać?

JOACHIM

Jakże ma być widać most, jaśnie paniczu, kiedy tam z mostu ani dyla! Stympale same wyrwało i poniosło, nie dopiero most, dyle. Belki przecie niesie na sobie, płoty, częstokoły, pleciaki, strzechy, stogi siana, kopy, pokosy...

WINCENTY

No, więc jednym słowem żadnego do nas nie ma dostępu. Jesteśmy z trzech stron zalani.

JOACHIM

Ano! Kaczka tamtędy chyba przeleci albo ten jastrząb. Tylko nasza grobla trzyma cały wart wody, żeby pięciu wsi nie zatopiło. Ja ten rów na końcu grobli, co go jaśnie panicz widział, ciągiem rozszerzam i puszcza przybór na lewą rzekę. Zbieram obrus powodzi w tamtą stronę. Można przecie sobakę zmanić na lewo. W upuście jednego stawidła nie podnoszę i, uchwaj Boże, na upust wody nie popuszczam, boby porwało. Tak jak teraz to wierchem

sobie, wolnusięńko powódź idzie, na pół wiorsty szeroko. To samo jaśnie pani dziedziczka chwali. Pod najsroższą karą nakazywała, żeby wodę naszą groblą trzymać, choćby się miała wylać na nasze pola w górze stawu, a ludzi zaś dólskich chronić. Własne jaśnie pani dziedziczki są słowa: „choćby miało zalać samą pszenicę za krzyżem, ty, Joachim, trzymaj!”

WINCENTY

Ale czy nasza grobla sama wytrzyma?

JOACHIM

Skoroby jeszcze deszcze szły, jako teraz?

WINCENTY

A właśnie!

JOACHIM

Moc boska! Jedno wiem: upustu nie można tknąć. Jakby napór powodzi na upust poszedł, nie wytrzyma żaden słup ani stawidło. Sam upust ze w s i e m wyrwie i poniesie, uchwaj Boże miłosierny! Taka to woda! Trza bez zmrużenia oka głęboką moc wody kierować na ten przekop, co w końcu grobli. Zmiłowanie boskie nad nami!

WINCENTY

Jakże ty myślisz, Joachim? Znasz przecie swoje wody i wszystkie drogi. Pan Olelkowicz przejedzie bezpiecznie od strony Mochnów? Ta jedna jedyna drożyna mu została. Prawda? Przecie to jutro rano ślub panny Ireny. On tu dziś nad wieczorem musi być! I będzie, żeby kije z nieba leciały. Ja go znam!

JOACHIM

Od Mochnów przejechać może tą drożyną, co nad rzeką. Ale ta drożyna wodą zalana. Po zady konie będą we wodzie brodziły, powóz się wody opije, ale przejechać mogą, bo przecie tę drogę znają. Sam jaśnie panicz Olelkowicz ją zna, no i na koźle nie będzie miał byle kogo, tylko samego Kukwę, a ten tę drogę zna jak swoje pięć palców.

WINCENTY

Znać drogę, znają, ale pomyśl, że ze trzy wiorsty będą musieli na oślep noga za nogą jechać w głębokiej wodzie. Nad tym pomyśl!

JOACHIM

Jeżeli woda nie przybierze, jeżeli, na przykład, powódź będzie taka sama... A jeśli, czego Boże broń, głębsza pójdzie... Jakaż tu na to rada!

WINCENTY

Jeżeli już są w drodze?

JOACHIM

Czy ja wiem? Może na taki czas jaśnie panicz się zastanowił i nie wyjechał.

WINCENTY

Pleciesz! Są w drodze, bo wysłał telegram z miasta dziś rano, że wyjeżdża.

JOACHIM

Kiedy ten posłaniec z telegrafem tu przyszedł? Ja go nie widział.

WINCENTY

Wyżynami przeszedł.

JOACHIM

To to jego Michał łodzią dostawiał?

WINCENTY

No, właśnie.

JOACHIM

Ha! Wola boska! To już jaśnie panicz Olelkowicz jedzie. Teraz będzie może w Leszczycy, może gdzie dalej, może bliżej. We wodę się pewnie puszcza. Mogą przejechać, bo Kukwa będzie pozór dawał. Jeśli gdzie powódź wyrwę wyjęła, no, to się wywałą we wodę, ale i wy-  
leżą. Na ślub przecie jadą.

WINCENTY

Tak, prawdę mówisz: „na ślub przecie jadą”...

JOACHIM

Chybaby jaśnie pani sama ślub odłożyła, ale widzi mi się, że chyba nie.

WINCENTY

Nie, nie odłoży, żadną miarą nie odłoży. Bądź zdrow, Jochym.

JOACHIM

Upadam do nóg, jaśnie paniczu.

*wychodzi*



WINCENTY

Na ślub przecie jada...

*Patrzy długo we drzwi, za którymi zniknął Joachim. Słysząc daleki, monotony szum powodzi, kiedy niekiedy krzyk z odległości. Zbliża się do okna, wygląda.*

Pada... Znowu ulewa!

*z radością*

Rozstap się, niebo! Spadaj, potopie niebieski!

*po chwili*

Jutro o tej porze już będzie po wszystkim. Wrócimy z kaplicy w Klonach, gdzie się odbędzie ślub Ireny z Olelkowiczem. Cóż ja pocznę, gdy będę patrzył na ten ślub, gdy potem będę jechał konno za ich powozem? Jak ja sobie dam radę! Jak ja ten jutrzejszy dzień...

*głucho szlocha, wałęsając się po pokoju*

Jutro... o tej porze...

*Ocieżale zmierza do sofy, stojącej z lewej strony, siada bezwładnie w rogu i ujmuje swą głowę w obie ręce. Tak pozostaje długo w nieruchomej postawie.*

IRENA

*uchyla drzwi, wchodzi na palcach, rozgląda się po pokoju, mówi szeptem:*

Wiko!

WINCENTY

*z radością, z rozkoszą*

A!

IRENA

*szeptem, tajemniczo*

Nie ma tu nikogo?

WINCENTY

Nie ma nikogo.

IRENA

*wskazując drzwi na lewo*

A tam?

WINCENTY

Zdaje mi się, że i tam nie ma nikogo.

IRENA

Zobacz.

WINCENTY

pospiesza do *drzwi bocznych*, uchyla je i zagląda przez szczelinę.

*Po chwili:*

Nie ma tam żywej duszy.

IRENA

*gwałtownie*

Wiko! Wicuniu!

WINCENTY

I cóż?

IRENA

Płaczesz...

WINCENTY

Nie, Iruś...

IRENA

Płakałeś, ty, taki duży mężczyzna! Student uniwersytetu, dziedzic Łuży...

WINCENTY

Śmieję się, Irenko, śmieję do rozpuku! Jutro...

IRENA

*w uniesieniu*

Ach, jutro!

WINCENTY

Czemuż wyśmiewałaś się ze mnie?

IRENA

Wyśmiewałam się z nas obojga! Z ciebie i ze siebie! Sama nie wiem...

WINCENTY

Czegóż chcesz ode mnie?

IRENA

Nie wiem... Chciałam... Musiałam... pożegnać się...

WINCENTY

To już na wieki, Iruś!

IRENA

Na wieki.

WINCENTY

Idź sobie! Bo mógłbym cię za to słowo!...

IRENA

Mnie? Alboż to moja wina? W inną stronę zwróć twe pogrózki!

WINCENTY

Ty, nie kto inny, odchodzisz na wieki ode mnie!

IRENA

To prawda, że konie i juczne woły więcej mają woli niż my!

WINCENTY

Za późno już dziś na wyrzekanie. Już się stało.

IRENA

Czemuż nie okazałeś swej woli, żelaznej woli?

WINCENTY

Jedno ci mówię: nie zdołam przeżyć jutrzejszego dnia! Wiedz o tym!

IRENA

A ja?

WINCENTY

Ty? Będziesz miała młodego męża...

IRENA

A ty masz młodą narzeczoną.

WINCENTY

Czy po to przysłaś tutaj, żeby mię razić po raz ostatni, żeby wytykać mi moją nędzę?

IRENA

Ty, młody i silny mężczyzna, chciałbyś, żebym ja wzięła była na się wszystko, żebym stała oko w oko do walki z twoją matką. Sam dobrze wiesz, że nie byłabym wygrała. Nigdy! Zwyciężała mię ona przez całe moje życie, od najdawniejszego dzieciństwa, od pierwszych dni, które pamiętam. Znała mię i wiedziała, jak i czym mię pokonać. Pokonała mię. Cóż miałam począć?

WINCENTY

Wiesz więc dobrze, z kim mnie walczyć wypadło, a chcesz, żebym ja, syn, podjął tę walkę. Przeciwstawić się jej, bój z nią rozpocząć? Gdybyż to zresztą można z nią było mocować się, jak z każdym na świecie człowiekiem...

IRENA

*z ironią*

Czemuż to znowu nie można, jak z każdym na świecie człowiekiem? Tego nie rozumiem. Nie jest przecie bogiem, aniołem ani demonem. Taki sam to człowiek jak tysiące innych na świecie. Takuteńki. Majątek mój, którym tak przecie znakomicie miała administrować, o czym słyszałam przez całe swoje życie – gdy przyszło co do czego, gdy dorosłam i stałam się człowiekiem, gdy mogłam go zażądać – gdzieś się zawieruszył. Jest, oczywiście, umieszczony w ziemi i budynkach, pozapisywany u rejentów, ale posagu otrzymać nie mogę, gdyż są trudności. Pan Olelkowicz nie żąda majątku. Nie majątku mego pożąda, tylko mnie samej. Kocha mnie. Na wszystko gotów jest zamknąć oczy... Jakże wobec tego miałabym wytoczyć ordynarny spór o me pieniądze, komu, mej dobrodziejce, wychowawczyni, ciotecznej siostrze mej matki? Powiedz... I tak oto... jutro... nadchodzi...

WINCENTY

Ach, gdybyż choć o jeden krótki dzień, o jedną dobę to jutro odwlec!

IRENA

Wiko! Cały jesteś w tym okrzyku!

WINCENTY

Ja już nic nie rozumiem, nic nie wiem!

IRENA.

Tak, ty nic nie rozumiesz. Ty tylko czujesz, nieprawdaż?

WINCENTY

Gdybyś mogła przez jedną sekundę czuć to, co ja czuję! Gdybyś mogła...

IRENA

Powiem ci w oczy: czuję z pewnością to samo, co ty, lecz nadto dławi mię to wszystko, co wiem. Nie cierpię, nie znoszę tego Olelkowicza. Zgodziłam się na wszystko, co twoja matka uknuła, gdyż pragnęłam poznać całą tę gmatwaninę intryg. I jeszcze jedno: chciałam ją jak najdalej, jak najskryciej wywieść w pole.

WINCENTY

Gdybym mógł dzisiaj umrzeć!

IRENA

To jedno byłbyś w stanie wykonać, posłuszny synu.

WINCENTY

*cichaczem*

Umrzyjmy razem, Irenko!

IRENA

A nie zląkłbyś się gniewu mamy? Wszystko, nawet umrzeć, byleby gniewu mamy na siebie nie ściągnąć. Istny – m a m i e ń k i n s y n o c z e k...

WINCENTY

Tak. Masz słuszość. Nie ja sam drzę przed nią, lecz wszystko we mnie drży z trwogi przed każdą jej boleścią. Nie mam siły, żeby ją zasmucić, nie mam odwagi bólu jej zadać...

IRENA

*szyderczo*

A więc – cóż mamy począć? Wszystko się jako tako układa. Nie rozgniewasz mamy ani dziś, ani jutro. Będziecie w zgodzie, gdy ostatni termin będzie mijał. Ja sama nie dałabym jej rady. Znam swą siłę i jej potęgę. Zostać tu po zerwaniu z Olelkowiczem, mieć ją przeciwko sobie dzień i noc, żyć tu – o, nie! To nad me siły! Zbyt tu długo cierpiałam. A uciec w świat sama jedna – nie potrafię...

*z rozpaczą*

Słodka noc zapanuje pod tym dachem. Stęsknione usta Helenki czekają na twoje usta. Na moje usta także czyjeś czekają...

WINCENTY

Idź, już idź!

IRENA

*z żalością*

Wiko! to nasz ostatni dzień...

WINCENTY

Już niedaleko jest twój mąż. Jedzie teraz noga za nogą. Konie jego brną w wodzie. Nie ma złej drogi do swojej niebogi. Za godzinę czy za dwie godziny tu będzie. Chodź! Wyjdziemy przez ogrodowe drzwi, przez ogród, wsiądziemy w łódź... Powódź ją wyróci... Poniesie nas spieniona wiosenna woda. Daleko, daleko... Wyrzuci nas na jakiś łaskawy brzeg i złoży na kwiatach wiosennych...

IRENA

A wszakże to zadałoby boleść twej mamie.

WINCENTY

Nie będę tego już ani widział, ani czuł. W wiecznym szczęściu będę spał na twoim sercu, przy twoim boku. Czytałem w jednej pięknej opowieści Lamartina, że związali się tak oto sznurem, żeby ich wody nie rozdzieliły, a ludzie nie ważyli się rozwiązywać.

IRENA

Ach, ty, chłopczyku...

*z głęboką ironią*

Lamartina!...

WINCENTY

Mam taką linę, z którą w Tatry chodziłem...

IRENA

Za godzinę przyjedzie Olelkowicz! Kto go powstrzyma? Co go powstrzyma? Szaleństwo mię ogarnia. Po cóżem na to przystała, nieszczęśliwa! Kopyta koni brodzą w głębokiej wodzie... nie! Po moim żywym ciele idą ostrymi podkowami...

*z szaleństwem*

Za godzinę! Kto mnie, nieszczęsną, poratuje, kto mnie obroni, kto mnie przed tym człowiekiem zasłoni? Co mnie obroni? O, Boże mój!

*Wychodzi. Wincenty rzuca się za nią, lecz staje jak wryty przed zatrzaśniętymi drzwiami.*

*Pozostaje tak długo w zamyśleniu. Nagle podnosi głowę, śmieje się radośnie raz, drugi i trzeci. Pędem wybiega.*

RUDOMSKA

*wchodzi, za nią Helena*

Nie znasz jej, Helenko, tak dobrze jak ja i dlatego tak sądzisz. Z pozoru rzeczywiście wygląda to tak, jak mówiłaś przed chwilą, ale kto zna Irenę od dzieciństwa, kto ją prowadził za

rękę przez tyle lat, jak ja, ten wie na pewno, że wszystko się na dobre obróci i pójdzie doskonale. To są tylko pozory zewnętrzne.

HELENA

Gdy słyszę te zapewnienia, znowu szczęście wstępuje do mego serca.

RUDOMSKA

Miałam ja z nią zgryzot niemało i niejedno musiałam przełamać. Upór w niej rzeczywiście szalony, samowola, a raczej swawola, monstrualna. Toteż, gdy dziś mam ją oddać w ręce tak silne i prawe jak Olelkowicza, czuję ulgę niewymowną. Wiem, że spełniłam i spełniam swój obowiązek do ostatka.

HELENA

Czy Irena go kocha?

RUDOMSKA

Ależ kocha go. Oczywiście. Gdyby kochała do szału, nie pokaże tego po sobie. Przeciwnie, będzie stroiła fochy i robiła miny najrozmaitsze. Ręcę, że gdyby ją porzucił, rozpaczalaby znowu bez końca. W niej wszystko musi być na wspak, to darmo.

HELENA

Bo mnie się zdawało...

RUDOMSKA

Ach, moje dziecko! Być może, iż Irena nie kocha swego narzeczonego tak bałwochwalczo, tak romantycznie, jak ty Wika, lecz kocha go na pewno. Zobaczysz za miesiąc, za dwa, po ślubie. To dziewczyna silna, z temperamentem, a on jakby dla niej stworzony. W korcu maku się wyszukali.

HELENA

Raczej w korcu maku ich wyszukano i znaleziono.

RUDOMSKA

*z rozdrażnieniem*

Moja droga! Zanadto wy, młodzi, dzisiaj sobie pozwalacie. Krytykujecie, wtrącacie się w nie swoje rzeczy, sądzicie. Za moich czasów rodzice decydowali o takich sprawach bezwzględnie i nieodwołalnie, opiekunowie łączyli stadła z rozmysłem i na wiele lat z góry. I było dobrze. Ja sama...

HELENA

Nie zmieniły się więc zbytnio czasy, bo dziś przecie dzieje się to samo, co niegdyś.

RUDOMSKA

Inaczej się dzieje, bo my przyjmowaliśmy z pokorą decyzje naszych drogich rodziców. Wy dziś gotowi byście, jak prawnicy, lustrować wszystko, aż do najskrytszych rejestrów mądrości rodzicielskiej.

HELENA

Droga mamo – a tak słodko jest nazywać drogą panią tym imieniem – boję się, żeby nie postawić nogi na czyjejs krzywdzie – nie! obok czyjejs krzywdy. Nie chciałabym mieć żadnych łez...

RUDOMSKA

*gwałtownie*

Czy masz choć cień przyczyny do takiej trwogi?

HELENA

Irena nie kocha Olelkowicza!

RUDOMSKA

Wydaje ci się! Każda kobieta kocha inaczej.

HELENA

Gdym się obudziła dziś w nocy, słyszałam jej spazmatyczny płacz...

RUDOMSKA

To jest zwykle...

HELENA

To jest niezwykle cierpienie.

RUDOMSKA

Olelkowicz jest pięknym, zdrowym, zacnym i silnym człowiekiem.

HELENA

Mamo! Mamo! I bogatym...

RUDOMSKA

I bogatym. Niewątpliwie. Bardzo bogatym. Majątek Ireny, którym administrowałam przez lat tyle uczciwie i przezornie, wskutek rozmaitych okoliczności, których tutaj nie mam powo-



du i obowiązku przedstawiać, nie jest w takim stanie, w jakim by być powinien. To jest prawda. Wszystkie okoliczności, cały splot przyczyn tego stanu rzeczy przedstawiłam szczegółowo Oelkowiczowi z dokumentami w rękę i uzyskałam z jego strony zupełną absolicję. Jestem w porządku, mój kochany sędzio.

HELENA

*cicho*

Należałoby i ode mnie uzyskać taką samą absolicję.

RUDOMSKA

*ze zdumieniem*

Od ciebie?

HELENA

*cicho i spokojnie*

Przecie już powiedziałam. Nie chcę mieć poza sobą niczyich łez. Dziś słyszałam płacz Ireny i łzy jej padały na moją duszę. Chciałabym być szczęśliwą, lecz szczęściem pełnym ludzi czystych i niewinnych.

RUDOMSKA

A cóż to może znaczyć?

HELENA

Irena idzie za mąż według reguły dawnych czasów...

*po chwili, z wahaniem się*

idzie za mąż bez miłości, pod przymusem...

RUDOMSKA

Moja droga! Nikt jej tego człowieka nie narzucał. Nikt jej nie przymuszał. Najmniej ja. Sama zgodziła się, dobrowolnie przystała, gdy była zapytana...

HELENA

Przystała?

RUDOMSKA

Ach, dość już tych dzieciństw! Oelkowicz dziś tu będzie. Mamy tyle spraw na głowie, taki ogrom przygotowań, a tracimy drogi czas na sentymentalnych gawędach. Na dobitkę – ta powódź. Szczęście, że nie jesteśmy odcięci od kościoła i że nie trzeba będzie łodzią się wyprawić do tego ślubu.

*z czułością*

Jesteś w tym domu po raz pierwszy, gdzie masz na zawsze gospodarzyć, gdy nas już nie będzie. Trzeba, żeby każdy krok twój w dniu dzisiejszym był krokiem wesela.

*całuje ją*

HELENA

*z wdzięcznością*

Tak bym tego pragnęła!

RUDOMSKA

Dobrze się stało, że w e s e l e sprowadziło cię w progi domu twego przyszłego męża. A choć nieprędko mężem nazwiesz tego dzieciaka...

HELENA

*z uniesieniem*

Pragnęłabym, żeby to było wieczne wesele mojej i jego duszy!

RUDOMSKA

To już od was, młodych, zależy, od was jedynie. Weselcie się w duchu. Moja dusza będzie z wami...

*Helena całuje ręce Rudomskiej. Po chwili błagalnie:*

HELENA

Gdyby jednak...

RUDOMSKA

Co?

HELENA

Gdyby Irenka wyznała jawnie i otwarcie, śmiało i niewzruszenie, że nie kocha Olelkowicza, kiedy on tu przyjedzie...

RUDOMSKA

*zimno i twardo*

Olelkowicz będzie tutaj za godzinę. Trzeba było dawniej załatwić owe romanse. Ślub jutro. Dość już gadaniny o dzieciństwach!

*po chwili, łagodnie*

Chodź no lepiej, dziewczuszko moja, pójdziemy do gospodarstwa. Pokażę ci niejedno jeszcze z twego przyszłego dziedzictwa. Niech no się twoje wielkopaństwo z wysokich parnasów raczy zniżyć do naszego poziomu.

*Wchodzi Wincenty.*

A, jesteś... Cóż powódź?

WINCENTY

*w podnieceniu i rozterce*

Wzbiera.

RUDOMSKA

Czy ten przekop Joachima pomaga?

WINCENTY

Niewątpliwie. Odprowadza nadmiar wody. Byłem tam właśnie. Nasza grobla trzyma nawał powodzi znakomicie.

RUDOMSKA

Trzeba by ów otwór jeszcze bardziej rozszerzyć.

WINCENTY

Kazałem to zrobić. Grunt tam jest już stały, zbocze pagórka, więc nie ma obawy o wyrwanie jamy zbyt wielkiej.

HELENA

Czy mogłabym to zobaczyć?

WINCENTY

Najchętniej cię poprowadzę, ale za chwilę, bo teraz deszcz znowu się puścił jak z cebra.

RUDOMSKA

Ale, ale! Trzeba na gwałt posłać kogoś z osękami, linami i parą koni oklep po Olelkowicza. Kto wie, co im się może przydarzyć.

WINCENTY

Właśnie o tym myślałem i dlatego tu przyszedłem z projektem, nie wiedząc, czy się mama zgodzi. Myślę, że to właśnie Joachim z młynarczykiem powinien oklep pojechać. Oni obadwaj najlepiej znają wody, drogi, łożyska obudwu rzek i miejscowość.

RUDOMSKA

A nie obawiasz się o groblę bez dozoru Joachima?

WINCENTY

Teraz nic się już stać nie może, gdyż wszystko przewidział i wykonał znakomicie. Gdyby zaś upust wyrwać miało, to przecież on na to nie poradzi.

RUDOMSKA

Ach, dajże pokój! Boże zachowaj od nieszczęścia!

WINCENTY

Zresztą on powróci wkrótce, najdalej za godzinę.

RUDOMSKA

Więc wydaj mu polecenie. Powiedz, że pani dziedziczka kazała, bo to on lubi, żeby było po formie. Ma wziąć gniadą fornalską parę, młynarczyka, liny, osęki i natychmiast niech rusza. Może sobie jeszcze dobrać kogoś ze służby.

WINCENTY

Najlepiej niech weźmie parobka ze młyna.

RUDOMSKA

Dobrze, byleby jechali jak najprędzej!

*Wincenty idzie w kierunku drzwi.*

Słuchaj no, ale sam musisz być w okolicach grobli i młyna, mieć pilne oko na groblę i powódź. Gdyby coś...

WINCENTY

*zamyka szybko drzwi za sobą*

Rozumie się, rozumie się...

HELENA

*za nim*

Taki deszcz!

WINCENTY

*za drzwiami*

Biorę płaszcz gumowy...

HELENA

*błagalnie*

Zawołajmy tutaj Irenkę. Ona przecie sama...

RUDOMSKA

*po namyśle*

Dobrze, idź po nią.

*Przechodzi poprzez scenę, zbliża się do sofy, siada tam i spogląda we drzwi, za którymi znikła Helena. Twarz jej stała się surowa i zimna. Wchodzi Helena, za nią Irena.*

Powódź zepsuła twój dziewiczy wieczór, droga Irenko.

IRENA

Tak. Będę miała bardzo smutny dziewiczy wieczór.

RUDOMSKA

Miały się zjechać wszystkie panienki z sąsiedztwa, wszystka młodzież. Gdyby Helenka była odłożyła na parę dni swe przybycie, byłybyśmy same we dwie święciły twoje ostatnie chwile przed ślubem. Szczęście, że mamy tego kochanego gościa.

IRENA

Helenka nie jest już gościem w tym domu: należy do rodziny. Będę więc doprawdy sama jedna w ciągu tego wieczora.

HELENA

Czy dlatego w twym głosie drży nuta tak głębokiego smutku?

IRENA

Ślub... Jest to dzień wielkiego znaczenia. Jakże nie być smutną wobec takiego obrzędu? I ciebie czeka podobny smutek...

HELENA

Och, jeszcze nieprędko...

RUDOMSKA

Lecz za tym chwilowym zaćmieniem, zaręczam wam, kryje się słońce nieznanego szczęścia, które cienie rozprószy i napełni serca weselem.

IRENA

Któż może wiedzieć, co to jest cudze szczęście.

RUDOMSKA

Mówisz do nas tak dziwnym, nienaturalnym, powiedziałałabym, napuszczonym językiem.

IRENA

Mam od jutra stać się kobietą, panią swej woli. Puszę się oto i przybieram pozy, żeby być czym innym, niż jestem. Przestaję, ciociu, mówić językiem dziecka, które przez tyle młodych lat, przez tyle lat prowadzono za rękę. Zaczynam kroki stawiać sama. Zaczynam także wyjawiać swe myśli.

RUDOMSKA

Ciekawa będę usłyszeć twe myśli, dziecko, które prowadziłam troskliwie za rękę.

IRENA

Wyjawię tedy, ciociu, pierwszą myśl samodzielłą, która ciocię może zadziwi, a może nawet urazi.

RUDOMSKA

Słucham! Słucham!

IRENA

Powiem, iż taka ciekawość jest to żądza grzeszna.

RUDOMSKA

Dlaczego?

IRENA

Jest to – jak by powiedzieć? – prawie to samo, co przystawianie ucha do piersi kogoś, kto umarł, z grzeszną ciekawością dowiedzenia się, czy umarł w istocie, już naprawdę, czy jeszcze może, czego Boże broń! – pogrążony jest w letargu.

HELENA

Co ty mówisz, Irenko?!

IRENA

Wypowiedziałam nاپuszone porównanie stylistyczne. Użyłam metafory, przenośni, czy jak się tam nazywa taka sztuczka językowa. Niestety! Nigdy nie byłam dobrą uczennicą w żadnym kierunku. Ciocia miała we mnie zawsze tak dużo do zganienia.

RUDOMSKA

Tak, nawet w tej chwili miałabym w tobie niejedno do zganienia.

IRENA

Ciociu! Czas mija i ucieka, a moje uszy są nastawione z posłuszeństwem i pokorą – może już po raz ostatni. Kto wie, czy jutro, po ślubie, będę już tak posłuszna, jak jestem dzisiaj.

RUDOMSKA

Gdyby żyła twa matka, nie trudziłabym cię na pewno moimi przestrożami, nie nagabywałabym morałami i nie byłabym narażoną na twe niegrzeczne wynurzenia.

IRENA

*ponuro*

Gdyby żyła moja matka...

RUDOMSKA

Twoja matka była moją siostrą, nie rodzoną wprawdzie... byłyśmy przyjaciółkami najserdeczniejszymi. Celina umierając wiedziała, że w pewnych i niezawodnych rękach zostawia swe dziecię.

IRENA

*z głębokim wzburzeniem*

Umarli żyją i widzą. Moja matka wie i widzi wszystko!

RUDOMSKA

Co to znaczy? Co chciałaś przez to powiedzieć?

IRENA

*opanowując uniesienie*

To już wszystko, co mogłam dziś powiedzieć...

HELENA

Irenko, uspokój się!

IRENA

*do Heleny*

Alboż nie jestem spokojna? Czy powiedziałam cokolwiek niewłaściwego? Alboż uczyniłam lub czynię cokolwiek, co byłoby niezgodne z wolą cioci, z jej życzeniem, z jej rozkazami?

HELENA

Byłoby lepiej, gdybyś mówiła spokojnie, lecz z głębi duszy, jasno i szczerze.

IRENA

*z szyderstwem*

Jasno mówić i szczerze... Oduczyłam się mówić jasno i szczerze.

HELENA

W tym dniu powinnaś zdobyć się na to, czego nie umiesz. Powinnaś zdobyć się na wolną i wyraźną mowę duszy.

IRENA

Mowa duszy... Mowa duszy... Nie uczono tutaj mojej duszy przemawiać. To niemowa! A gdyby nawet przemówiła, nie ma ucha, które by głosu jej wysłuchało.

HELENA

Mylisz się!

IRENA

Niestety! Nie myślę się. Gdybyś ty sama mowę mej duszy usłyszała, pierwsza byś na mnie rzuciła kamieniem potępienia.

HELENA

Nigdy nie rzucam kamieniem potępienia.

IRENA

Zapewniam cię, że się łudzisz. Dla mnie zostało jedno jedyne, stare moje milczenie. Toteż milczę.

RUDOMSKA

Dziwną, doprawdy, prowadzimy tutaj rozmowę, gdy do tego domu zbliża się twój narzeczony.

IRENA

W istocie, ciociu. Lecz nie ja tę rozmowę zaczęłam.

RUDOMSKA

To prawda. Toteż przerywam ją i kieruję na tory weselsze. Chodźmy lepiej obejrzeć twą ślubną suknię po ostatecznej przeróbce. Ciekawa jestem, jak też teraz się przedstawi.

IRENA

Musi być piękna jak moje marzenie.

RUDOMSKA

*gdy ma przekroczyć próg pokoju, nagle zatrzymuje się z pytaniem*

*Co to znaczy? Ten huk...*

*Wszystkie trzy nasłuchują. Zewnątrz dolatuje do luzu gwałtowny szum i nagły krzyk ludzki.*

IRENA

*w zamyśleniu*

*Powódź...*



RUDOMSKA  
*niespokojnie*  
Gdzie jest Wiko?

HELENA  
*niespokojnie*  
Poszedł... Sam poszedł tam na taki czas...  
*Daleki, przesywający krzyk.*

IRENA  
Ktoś krzyczy...  
*Wraca do pokoju, podbiega do okna, rozgarnia kwiaty stojące na oknie i długo patrzy. Raptownie roztwiera okno i wychyla się na zewnątrz. W uniesieniu wzdycha.*  
Ach!

RUDOMSKA  
Cóż tam takiego?

IRENA  
*wykrętnie*  
Powódź...

RUDOMSKA  
*opryskliwie*  
Wiem, że jest powódź, ale co się tam dzieje?

IRENA  
*szeptem*  
Tam...

RUDOMSKA  
Mówże!

IRENA  
*z utajoną rozkoszą*  
Woda wyrwała cały... upust...

RUDOMSKA  
Co takiego?

IRENA

*jak wyżej*

Obawiam się, że ten wybuch wody w dolinie zaleje mego... narzeczonego... Obawiam się, że ta woda całą swą mocą runie na niego...

RUDOMSKA

*w furii*

Kłamiesz! Kłamiesz! Ty przekłeta!...

IRENA

*powtarza tym samym głosem*

Przekłeta!...

*Rudomska długo patrzy przez okno, potem rzuca się do drzwi.*

WINCENTY

*wchodzi, ledwie mogąc dech złapać. Jest zmordowany, zgrzany.*

Woda wyrwała cały upust.

RUDOMSKA

Kto krzyczał?

WINCENTY

Ludzie...

RUDOMSKA

Co za jedni?

WINCENTY

Chłopi międzyrzeccy.

RUDOMSKA

Dlaczego?

WINCENTY

Woda runęła w dolinę... Porwała stogi siana, zalała zboża i chałupy. Belki z upustu poniosło... Jakąś podobno dziewczynę zalało...

*słania się po pokoju*

Jakąś dziewczynę, gdy żęła tatarak... Jakąś dziewczynę belka zepchnęła ze stogu siana...

RUDOMSKA  
Czy kto utonął?

WINCENTY  
Podobno... nie... Ta dziewczyna uczepliła się belki i popłynęła na niej...

RUDOMSKA  
A tamta, pierwsza?

WINCENTY  
Tamta pierwsza... Nie wiem, doprawdy, nie wiem.

RUDOMSKA  
Gdzież się podział Joachim? Gdzież są, u licha, młynarczyki? Od czego są ci ludzie! Dlaczego nie pilnowali grobli i upustu jak oka w głowie? Czy nie nakazywałam! Ja was wszystkich!...

WINCENTY  
*wykrętnie*  
Mama sama kazała Joachimowi zdążyć na pomoc Olelkowiczowi. Wyraźny rozkaz zaniem Joachimowi i on niezwłocznie pojechał. W mgnieniu oka już go nie było.

RUDOMSKA  
Prawda, prawda...  
*z przerażeniem*  
Olelkowicz! Na miłość boską! Woda runęła w dolinę, przez którą on jedzie nad rzeką! Ratunku!

WINCENTY  
*w przerażeniu*  
Co mam robić?

RUDOMSKA  
Pędź! Wołaj ludzi! Całą służbę, wieś! Kto żyw! Na ratunek!

WINCENTY  
*idzie z wolna ku drzwiom*  
Idę.

IRENA

*spokojnie*

Jeżeli powódź z całego stanowiska spadła w dolinę, to nie ma po co iść na ratunek.

RUDOMSKA

*patrzy na nią długo, uparcie, spode łba*

Lepiej milcz...

IRENA

Ja nawet w takiej chwili mam milczeć. Ja tylko jedyna mam milczeć. Milczę.

RUDOMSKA

Ty! Narzeczona!

*Słyszać krzyki przeciągłe, zbliżające się, nienawistne.*

HELENA

*która wyglądała oknem*

Ludzie jacyś biegną z krzykiem i groźbami. Wygrają... Tłum...

RUDOMSKA

Czego?

HELENA

Kogoś niosą...

RUDOMSKA

Kogo niosą?

HELENA

Dziecko...

RUDOMSKA

O, Boże! To pewno dziecko, które utonęło...

HELENA

Ten młynarz, Joachim, idzie tutaj razem z tłumem.

RUDOMSKA

Wołajcie go! Prędzej! Niech tu prędzej!...

*Słyszać kroki, groźby, przekleństwa. Kroki za drzwiami. Drzwi się otwierają i wchodzi Joachim, cały mokry, ubłocony, staplany w wodzie, z włosami przylegającymi szczelnie do czaszki.*

RUDOMSKA

Oto masz! Twój przekop! Gdzie upust, łotrze?

JOACHIM

*spogląda na Wincentego i wskazuje na niego palcem*  
Przekop był dobry. Nie ja winowaty, tylko panicz!

RUDOMSKA

*z pasją*  
Panicz winowaty?

JOACHIM

*groźnie*  
Panicz popodnosił stawidła upustu! Wodę odciągnął od przekopu! Upust nie strzymał!

RUDOMSKA

*z osłupieniem*  
Wiko?!

JOACHIM

Panicz!

RUDOMSKA

Kto widział?

JOACHIM

Mój Felek widział.

RUDOMSKA

Co z panem Olelkowiczem?

JOACHIM

*żegna się*  
Panie, świeć nad jego duszą.

RUDOMSKA  
*z krzykiem*  
Ach!

JOACHIM

Dziewczyninę Obary, co żęła tatarak nad rzeką, poniesło. Zaląła ją woda ł wyrzuciła martwą na brzeg. Tu ją przynieśli. Na ganku leży. Na panicza czeka. Któż wie, czy inne dzieciska nie potonęły. Sporo ich się tłuło nad wodą.

RUDOMSKA  
Boże! Boże!

JOACHIM  
*spokojnie*

Pan Olelkowicz właśnie miał przejechać przez bród u międzyczecza. We trzy konie jechał w tym małym powozie. Koń za powozem, kasztan wierzchowy, szedł luzem pod siodłem. Kukwa był na koźle. Lokajczyk siedział u pana w nogach. Chłopi kosili na Kaczem, patrzeli się. Raptem spadła fala, na dwie chałupy wysoka. Szło to zaś szeroko na cały rozdół. My z młynarczykiem na koniach ledwie zdołali uskoczyć galop na górę.

RUDOMSKA  
Wiko!

WINCENTY  
Słucham, mamó.

RUDOMSKA  
Słuchaj!

JOACHIM

Woda ich dognąła na tamtym jeszcze brzegu. Kukwa zaciął konie i ruszył wplaw, bo tam już o zawróceniu na miejscu nie mogło być mowy w tym zagajniku i w tym przykrym wąwozie. Wściekłość wody ich porwała. Konie się skręciły, dyszel w mig pękł. Zaczął się ten powóz magać w powodzi, to pudłem, to kołami do góry. Widzieli ludzie, że pan płynął, gałęzi się chwycił, krzyczał, ale potem nasiąkło mu, widać, odzienie wodą i przepadł całkiem w topieli.

RUDOMSKA  
A ludzie? Cóż ludzie? Nie ratowali?

JOACHIM

Jakże było, jaśnie pani, ratować? Jakież tu do nich dostęp? Wody w mgnieniu oka na dwie chałupy z górą. Ani łodzi, ani łańcuchów. My z młynarczykiem pognali na koniach brzegiem i ratowali my. Ale któż to poradzi, kto zgruntuje? Niosło ich, jako te kaczki.

IRENA

Więc pan Olelkowicz zginął? To pewne?

JOACHIM

Juściż że pewne, bo patrzeli ludzie precz – precz po obu brzegach. To samo my obadwaj... Nie ma nigdzie ani pana, ani Kukwy, ani lokajczyka, ani koni, ani powozu. Ten wierzchowy koń urwał się z uźdźienicy u powozu, pływał precz ponad krzaczyskami, nad wierzbami i wylazł na tamten brzeg. Pasie się tam teraz spokojnie na Kaczem. Takiego gada nic nie obchodzi: żre trawę, i spokój.

RUDOMSKA

Ależ, na Boga, trzeba jeszcze słać ludzi!...

JOACHIM

My zrobili wszystko, co było w ludzkim dopomożeniu. Kilka razy słyszeliśmy krzyk tego Kukwy. A potem i on zacichł. Tylko powódź sama bobruje i szumi na wsze strony, pluska nad wierzchołkami zarośli. Ja, pani dziedziczko, racz wejrzeć, po czub włosów mokry. Chodziłem w najgłębszą wodę z osęką, macałem dno. Na nic to dzieło. Amen.

RUDOMSKA

Wiem, Jochym, żeś ty zrobił swoje. Bóg ci zapłać.

*ponuro*

Idź teraz, uspokój ludzi... Powiedz im...

JOACHIM

*głuchym głosem*

Tych ludzi nie ma czym uspokoić. Cóż ja tej matce, Obarowej, powiem? Oni wszyscy wiedza i ona wie, kto winowaty.

RUDOMSKA

Ty ich uspokoisz swym mądrym, uczciwym słowem.

JOACHIM

Pani dziedziczka sama matka. Tam dziecko leży.

RUDOMSKA

Powódź... Siła wyższa... Panicz chciał uratować nasze pola, zboża... zasiewy... Od tego jest upust... w grobli, żeby w nagłym razie, w razie powodzi... Rozumiesz sam... Tyś sam przecie młynarz.

JOACHIM

*patrzy na Wincentego*

Zasiewy... Zboża ratować... Ja do ludzi gadać nie będę. Panicz tu stoi. Niechże sam idzie i gada do nich.

RUDOMSKA

Jochym! Ty mnie znasz. Ty wiesz, co do ciebie mówię. Idź natychmiast i zrób z nimi porządek.

JOACHIM

Porządek... Ja to samo, jaśnie pani, ojciec i... chłop. Cóż ja im powiem? Jak gębę otworzyć?...

*Wychodzi. Wincenty stoi znieruchomiały obok okna. Rudomska siedzi na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach. Irena nerwowo przerzuca karty jakiejś książki. Helena zastygła w przerażeniu. Długie milczenie.*

RUDOMSKA

*podnosi się*

Wiko?

WINCENTY

Słucham.

RUDOMSKA

Tu! Blisko! Tutaj! Twarzą do mnie!

WINCENTY

Jestem.

RUDOMSKA

Czy to ty zrobiłeś?

WINCENTY

Ja.



RUDOMSKA  
Z głupoty? Z nieświadomości?

WINCENTY  
Nie. Z rozmysłu.

RUDOMSKA  
Z rozmysłu? Ty? Dlaczego?

WINCENTY  
Chciałem zatrzymać Olelkowicza.

RUDOMSKA  
Ty? Olelkowicza? Zatrzymać?

WINCENTY  
*coraz namiętniej*  
Tak! Ja!

RUDOMSKA  
*przerażona*  
Dlaczego?

WINCENTY  
Dla tej prostej przyczyny, że on jutro miał zostać mężem Ireny.

RUDOMSKA  
Mężem Ireny... Irena!

IRENA  
Słucham, słucham...

RUDOMSKA  
*wpatruje się w jej oczy*  
Rozumiem, rozumiem teraz... Ach, ja ślepa!

WINCENTY  
*bez tchu*  
Nie mogłem dłużej!...

RUDOMSKA

*w szaleństwie*

Więc to ty własnymi rękami z umysłem podniosłeś stawidła, żeby go zalać wodą? Poszedłeś stąd tam w tym celu, żeby to zrobić?

WINCENTY

Nie zapieram się. Nie ukrywam. Poszedłem w tym celu i ja to wykonałem sam, własnymi rękami.

RUDOMSKA

*w szaleństwie*

Chciałeś go zabić?

WINCENTY

*mocuje się ze sobą*

Tak! Chciałem go zabić!

RUDOMSKA

I zabiłeś!

WINCENTY

Tak... zabiłem...

RUDOMSKA

*nieprzytomnie*

I dzieci, które żęły tatarak...

WINCENTY

Tak...

*Za sceną słyhać pomruk i płacz nieustanny.*

RUDOMSKA

Odpowiadaj! Dlaczegoś to zrobił?

WINCENTY

Żeby nie dać mu Ireny.

RUDOMSKA

A ty co masz do Ireny?

WINCENTY

Nareszcie to mama musi usłyszeć: nikomu jej nie dam! Na nic wszystkie plany!

RUDOMSKA

Na nic moje plany?... Czy tak?

WINCENTY

Tak. Plany! Mactwa, intrygi, zabiegi! Sprzedaż żywego człowieka. Majątek gdzieś się zaprzepaścił, a teraz sprzedaż żywego człowieka. Dusilem się tak długo – i oto teraz...

RUDOMSKA

Śmiałeś to wszystko zrobić, a teraz ośmielasz się to wszystko, w oczy... mnie! Matce!

WINCENTY

Oddajcie mię do sądu. Niech zgniję w kryminale. Już dosyć...  
*Wzmaga się krzyk za sceną.*

RUDOMSKA

Słyszysz?

WINCENTY

Słyszę dobrze. Zaraz do nich wyjdę i wszystko im w oczy powiem!

RUDOMSKA

Co im powiesz?

WINCENTY

Powiem, com zrobił, jak i dlaczego.

RUDOMSKA

Szczeniaku!

WINCENTY

*z gwałtownym gestem zmierza ku drzwiom*  
Już idę...

RUDOMSKA

Zakazuję! Stój! Czekaj! Ja mam. sama na ciebie w mej piersi karę. Za to, coś zrobił przeciwko mnie! Przeciwko matce! To ja cię hodowałam, kołysałam... Ja mam prawo! Za to, żeś poszedł na grobę ze zbrodnią w sercu, przeklinam! Bodaj ci te nogi, które cię tam poniosły, połamało i odjęło!

HELENA

*zasłania sobą Wika*

Ach! Na Boga!

RUDOMSKA

*do Heleny*

Odejdź!

*do Wincentego*

widła, żeś przez to ludzi potopił, bodaj ci te ręce połamało i odjęło!

HELENA

Ach!

RUDOMSKA

Za to, coś mówił do mnie tutaj, sądząc moje postępowanie, bodaj ci podły język zniszczyło! Masz!

WINCENTY

*oparł się bezsilnie plecami o kamienne obramowanie komina*

Słusznie, słusznie...

IRENA

*do Radomskiej*

Już skończone? Czy jeszcze?

RUDOMSKA

Ach, ty! Precz! Precz! Precz!

IRENA

Odchodzę. Zostawiam wszystko. I tamto, o czym on mówił, resztę... Stać mię na taką rozrzutność. Zostawiam wszystko. Biorę tylko – jego.  
*podchodzi do Wincentego*

RUDOMSKA

Ty się ośmielasz, w mych oczach!

IRENA

On już nie syn! On przeklęty! Już się stało. Słyszałyśmy obiedwie, ja i ona – Helena. Świadkowie wierni i pewni. Wiemy wszystko. Pójdź, przeklęty! Nie masz już teraz ani nóg, ani rąk, ani języka. Któż ci poda kawałek chleba lub wskaże drogę do studni? Ja jedna muszę cię teraz wspierać, prowadzić i za ciebie mówić...

*Wincenty chwyta jej rękę i przyciska do serca.*

HELENA

*omdlewa i upada*

Ach!...

*Irena i Wincenty otwierają drzwi wejściowe. Gdy stanęli na progu, rozlega się dziki, nienawistny, złorzeczący krzyk ludzi. Widać z głębi, za drzwiami, wyniosłego człowieka, który na spotkanie Wincentego niesie utopioną dziewczynkę.*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO

## AKT DRUGI

*Pokój licho umebrowany w mieście prowincjonalnym na kresach. Stół jadalny, stolik do kart, z boku sofa. Liche obrazki na ścianach. Irena leży na sofie.*

WINCENTY

To przywidzenie tak się często powtarza, że go za sen nie mogę uważać. Widzę, jak żywą, tę małą dziewczyninę, żnącą trawę wysoką, badyle i tatarak nad rzeką. Nieraz już odwracała głowę w moją stronę. Zawsze się uśmiecha...

IRENA

Myślisz o tym wciąż, jesteś tamtą sprawą przejęty, więc ona ci się narzuca przed oczy w formie obrazu. To rzecz znana. Ja to samo, gdy w ciągu dnia zbyt uparcie czymś jednym jestem zajęta, mam w nocy sen o tym przedmiocie. Na przykład – o bucikach z wykrzywionymi obcasami albo o starych pończochach...

WINCENTY

*z łagodnym wyrzutem*

Zlituj się, czyż można tak żartować? Czy godzi się porównywać to, co ja mam w głębi siebie... na sumieniu... z brakami, które cię teraz rzeczywiście dotykają?

IRENA

Oczywiście, że tych rzeczy nie można utożsamiać ani porównywać, choć tamto twoje widzenie jest w gruncie rzeczy wynikiem błahej twórczości dziennej, a moje widzenia dziurawych pończoch są odbiciem niewątpliwej rzeczywistości. W nocy, zwłaszcza przy blasku księżyca, ta rzeczywistość wisi, przewieszona na poręczy krzeselka. Ale ja nie zestawiam tych rzeczy, nie – nie! Uspokój się.

WINCENTY

Możemy, Irenko, nie mówić o tym, jeżeli ci jest niemiłe. Sądziłem, że mogę się z tym zwierzyć tobie, jako jedynemu i prawdziwemu przyjacielowi na świecie.

IRENA

Więc powiedz wszystko, jak to tam było w tym śnie, wszystko od początku do końca. Będę słuchała naprawdę cierpliwie...

WINCENTY

Nie, już o tym nie rozmawiajmy. Nawet lepiej będzie wcale nie poruszać tematu. Przestanie mię to męczyć jako zmora nocna, skoro za dnia nie będę myślał ani mówił o tych smutnych przejściach.

IRENA

Wiko! Przecie to już wkrótce upłyną dwa lata od tego czasu. Tyle wydarzeń przewinęło się, tak nadzwyczajnych. Wojna z jej okrucieństwami i torturowaniem całych ludzkich gromad – a ty wciąż tkwisz na jednym jedynym punkcie, że kiedyś tam w Łuży powódź zalała ludzi na łące. Nikt ci sprawy o to nie wytaczał, a ty ją sobie sam wciąż wytaczasz.

WINCENTY

Tak, tak... Masz rację najzupełniejszą. Ja istotnie jestem jakiś niedowarzony.

IRENA

Z wszystkich niedowarzeń i pomyleń można wyjść, wyskoczyć młodymi nogami. Ale trzeba chcieć. A tobie się nie chce. Mógłbyś przecie pomyśleć o tym, żeby poprawić nasze położenie, coś zacząć robić w tym kierunku. Zacząć! Ale tobie się nie chce. To drobiazg, mówisz, że tam wszelkie braki. Któż by tam na takie rzeczy zwracał uwagę, gdy się ma na głowie zagadnienia tak doniosłe, jak sprawiedliwość i niesprawiedliwość, cnota i nagroda, grzech i kara, uciemżenie jednych ludzi przez drugich i tym podobne zagadnienia. Co do mnie, to ja uważam, że należałoby od tych zagadnień i zagmatwań choć czasami nieco się oddalić i troszeczkę wypocząć.

WINCENTY

Wypocząć? Czy jesteś tymi sprawami tak dalece przemęczona?

IRENA

Ja osobiście nie. Ale gdy patrzę, jak ty je taszczysz...

WINCENTY

Wciąż się ze mnie wyśmiewasz...

IRENA

No, trudno... Trzeba troszkę pośmiać się, a nawet pośpiewać wśród tej teologicznej bryndzy. Nie ten tylko śpiewa, co w rozkoszy żyje, i ja se zaśpiewam, choć mię bieda bije... Tak to, mój paladynie.

WINCENTY

Bieda, bieda! Nie jest to taka znowu ostateczna bieda. Żyjemy jak inni ludzie w tych czasach.

IRENA

Jak inni? Żartujesz! My żyjemy od dwu lat jak małomiejska, urzędnicza trzódka czy tam czeladka. Czy my się kiedykolwiek rozerwiemy, zabawimy, pośmiejemy? Czy my stąd wychodzimy, wyjeżdżamy? Naszą jedyną rozrywkę stanowi opowiadanie sobie nawzajem snów, bardzo rzadko przyjemnej treści.

WINCENTY

Wszystko się to zmieni.

IRENA

Et, zmieni się! Gdyby się coś zmienić miało na lepsze, tobym przecie widziała w tobie usiłowania zmierzające w tym kierunku. A tu – gdzie, kiedy, co? Wciąż to samo i to samo. Obiadek, kolacja, noc, sen miły albo niemiły – śniadanie, obiadek...

WINCENTY

Chciałbym... wierz mi!...

IRENA

Wierzę ci, mój biedny Wiko, że ty chciałbyś, abym ja się nawet i zabawiła... Ale twego pragnienia to nie dosyć, żeby się bawić.

WINCENTY

Bawić się...

IRENA

Trzeba trochę pieniędzy, żeby mieć możliwość oddalić się od kuchni i nie czuć jej lubego zapachu.

WINCENTY

Trudno, moje drogie dziecko. Teraz jeszcze nie możemy.

IRENA

To tylko wciąż od ciebie słyszę. Jesteś oszczędny w sposób wzorowy, jak na skromnego urzędnika w banku przystało. Od dnia ślubu naszego wciąż słyszę to iście sakramentalne zapewnienie: my nie możemy...

WINCENTY

Przyzwyczyłaś się, moja najdroższa, do myśli, że jesteś dziedziczką, jaśnie panią, panią...

IRENA

*z przekąsem*

Byłam.



WINCENTY

Ach, ileż to w tym słówku zawarłaś złośliwości!

IRENA

Dajże pokój ze złośliwościami... Wiem przecie, że jesteś ubogi.

WINCENTY

*z rozdrażnieniem*

Tak, jestem „ubogi”!

IRENA

Tylko się znowu nie obrażaj. Przecież mówiąc to „złośliwe” słówko, wystawiam ci świadectwo nadzwyczajnego dostojęstwa. Jesteś ubogi, niezamożny, jesteś urzędniczyną, pracowitym skribą, a gdybyś tylko chciał, mógłbyś być bardzo zamożny.

WINCENTY

No, pewnie, że tak. Najzłośliwsza twoja ironia nie zmieni tego stanu rzeczy, bo w istocie jest tak.

IRENA

Otóż widzisz. Ze mną tak nie jest i dlatego to ja jestem bardzo pozioma, zupełna burżujka. Gdyby twa rodzicielka nie była zaprzepaściła mego posagu w gotówce na jakieś tam nie procentujące się przedsiębiorstwa, które się, podobno, nie powiodły, bądź pewny, że nie byłabym tak wzniosłym duchem jak ty. Żądałabym wydania tego, co mi się należy.

WINCENTY

I teraz możesz żądać.

IRENA

Światobor, jako adwokat biegły w swym fachu, zaglądał do mych papierów – i nie radził... na razie.

WINCENTY

*z gniewem*

Doprawdy? Zaglądał – i to na twoje polecenie?

IRENA

Tak. Dziwi cię ta śmiałość moja? Dziwi cię śmiałość, że dążę do odbioru swych pieniędzy?

WINCENTY

Nie, masz prawo...

IRENA

Otóż właśnie. Ale on to właśnie, który nam tak dobrze życzy, orzekł, że gdybym teraz domagała się wypłaty należności, niewiele dostanę, gdyż wszystko jest pomieszczone w przedsiębiorstwach, interesach, kupnach. Musiałabym tylko łożyć teraz z własnej kieszeni na adwokatów, a dostałabym kiedyś tam... po latach... Zresztą wojna wszystko przerwała. Ty – co innego. Ty masz. Ty możesz żądać, masz prawo – no, i obowiązek, przypuszczam, względem mnie... Ale nie chcesz, gdyż jesteś po rzymsku dostojny...

WINCENTY

Irenko! Irenko! Ty wiesz...

IRENA

*opryskliwie*

Ależ wiem, wiem!

WINCENTY

W tonie twojego głosu...

IRENA

W tonie mojego głosu ciągle coś niewłaściwie brzęczy dla twego ucha.

WINCENTY

*z wyrzutem*

Irenko!

IRENA

*z gniewem*

Mój drogi, chodzę, jakbym należała do Armii Zbawienia... Siedzę już drugi rok w tej dziurze! I dokąd też my tutaj będziemy wegetować?

WINCENTY

Czyż to ja winien jestem, że tu siedzimy?

IRENA

Ależ nie ty! Okoliczności naszego życia winny są temu. Wojna... i tak dalej... Wiem, umiem na pamięć od początku do końca. Ale to jest tak cmentarne, tak jakoś pogrobowe, trupie... Nieraz wydaje mi się, że jestem psem przywiązany na łańcuchu, i mam ochotę wyc wniebogłosy. Nudzę się, nudzę śmiertelnie...

WINCENTY

Gdyby nie to powołanie mię do wojska, rzuciłbym posadę w tym banku tutejszym. Pojechalibyśmy do Warszawy czy do P i t r a. Kończyłbym uniwersytet i zaczęlibyśmy żyć inaczej.

IRENA

*ziewa*

Żylibyśmy tak samo. Gdzieś, na jakimś czwartym piętrze ludnej ulicy, w gniazdku ubogim, aczkolwiek bez opału.

WINCENTY

Cóż mam uczynić? Wszystko ci nie dogadza.

IRENA

Mógłbyś „uczynić” rzecz bardzo prostą: napisać do matki z żądaniem przysłania należnych ci pieniędzy.

WINCENTY

*zimno*

Ty przecie najlepiej wiesz, że tego zrobić nie można, od chwili gdy matka mnie przekleła.

IRENA

Ach, z tą operową kłatwą... Wiedziałaś, że z tym wyjedziesz. Matka cię „przekleła”, ale nie przestała być twoją matką i właścicielką Łuży z przyległościami. Ty nie przestałeś być jej synem, czyli dziedzicem Łuży z przyległościami. Masz dwadzieścia jeden lat skończonych...

WINCENTY

Proszę cię, nie mówmy o tym.

IRENA

A więc mów, proszę cię, o czymś bardziej interesującym. Buciki mam wykoszlawione, bielizny mało, wszystko zeszloroczne i tutejszokrajowe, poleskie. Mnie te rzeczy najbardziej interesują. Cóż chcesz? To jest przecie także temat do myślenia i do małżeńskiej rozmowy.

WINCENTY

*jakby mówił do siebie*

Dziecko! Jestem winien. W istocie! To ja cię swymi uczuciami pociągnąłem w odmęt niedostatku i popolitości. Ciebie! Lotnego, niebiańskiego, wielobarwnego motyla! Cóż jest, w istocie, prostszego, jak napisać do matki z żądaniem przysłania znacznego, stałego miesięcznego zasiłku? Ale nie mogę! Nie mogę, Irenko!

IRENA

*na pół litośnie*

Rozumiem to, że nie możesz. Rozumiem, Wiko!

WINCENTY

Ta ręka, którą przeklęła, jest jak zdrętwiała. Palce są sztywne jak palce trupa.  
*cicho, z głębokim bólem*

Nie utrzymają już nigdy pióra, które by miało nakreślić wyrazy: Kochana Mamo...

IRENA

Jest to rzewne, nawet wzruszające, ale i beznadziejnie bezsensowe.

WINCENTY

Zawsze w tobie ta sama oschłość.

IRENA

Gdybyś choć już nareszcie był powołany do tego wojska, mielibyśmy większą i stałą pensję!

WINCENTY

Ty to mówisz? Jesteś chyba jedyną żoną na globie, która podczas srogiej wojny marzy o tym, żeby jej mąż wzięty był co prędzej do wojska.

IRENA

*niecierpliwie*

A ty znowu jesteś bodaj jedynym człowiekiem na globie, który tak dalece nie ma w sobie realizmu, życia, naturalności, prawdy...

*Pukanie do drzwi.*

Ktoś puka do drzwi...

WINCENTY

Proszę.

*Wchodzi Fryderyk Światobor, lat trzydziestu paru, przystojny, elegancki, wytwornie i modnie ubrany.*

A, to ty.

*Światobor zdejmuje szybko płaszcz i składa kapelusz na krzeselku w pobliżu drzwi. Wiesz płaszcz. Całuje Irenę w rękę i wita się z Wincentym.*

ŚWIATOBOR

Przepraszam, że przychodzę tak wcześnie. Obawiałem się, że mogę panią obudzić.

IRENA

O, gdzie tam! My już dawno opowiadamy sobie z Wikiem, co nam się dziś w nocy śniło.

ŚWIATOBOR

Miła rozrywka, mój Boże! Moich snów nikt nigdy wysłuchać nie zechce.

IRENA

Jeżeli wszystkie sny męskie są takie zajmujące...

ŚWIATOBOR

Trzeba by porównać...

*do Wincentego*

Czy wiesz, Wiko, że nie przynoszę ci dobrych wieści?

WINCENTY

Cóż nowego? Mówże!

ŚWIATOBOR

Powołali was.

WINCENTY

Doprawdy?

ŚWIATOBOR

Rozlepione jest na murach miasta ogłoszenie gubernatora.

WINCENTY

*do Ireny*

Twoje pragnienie, Iruś, spełniło się.

*Irena obejmuje go i całuje w policzek.*

Jakże ty tutaj zostaniesz sama! Co poczniesz sama jedna!

ŚWIATOBOR

*ironicznie*

Gdzie ty Cajus, tam i ja Caja...

IRENA

Nie obawiaj się o mnie, mój drogi Wiko, jakoś się to ułoży. Niech no tylko spłynie do mej pustej torebki choć odrobina pieniędzy, trocha grosiwa, zobaczysz, jak potrafię dać sobie radę i o tobie dobrze pamiętać.

WINCENTY

Dziękuję ci. Pocieszyłaś mię.  
*do Fryderyka*

Czy w tym rozporządzeniu wymieniono, kiedy mianowicie trzeba się stawić?

ŚWIATOBOR

Jakże! Zaraz.

WINCENTY

Zaraz?!

ŚWIATOBOR

Tak, zaraz. Zresztą, pójdz i sam przeczytaj to ogłoszenie. Ja zrozumiałem je w ten sposób, że macie się stawić niezwłocznie. Ale może się myłę.

WINCENTY

*w podnieceniu*

Pójdę rzeczywiście i zobaczą na własne oczy.  
*Chwyta po drodze paltot z wieszaka, kapelusz, laskę i, nie żegnając się z obecnymi, wychodzi.*

ŚWIATOBOR

Słyszała pani?

IRENA

Słyszałam, panie.

ŚWIATOBOR

*z uniesieniem*

Sam los!

IRENA

Proszę milczeć. Zakazuję panu... mówić do mnie w ten sposób!

ŚWIATOBOR

Milczę.

IRENA

Biedny Wiko!

ŚWIATOBOR

O tak! Ale skończy się ta nieznośna pani sytuacja, położenie żony urzędnika bankowego w prowincjonalnym mieście. Pani musi być w stolicy, musi pani uciec do wielkiego miasta. Takie życie, jak tutaj, to może dla każdej innej, dla tysiąca innych kobiet, lecz nie dla pani. Czyż to życie dla pani?

IRENA

*z głębokim przeświadczeniem*

Och, nie!

ŚWIATOBOR

Dla pani jest świat, jak długi i szeroki. Stoi otworem! Góry i morza, lądy i wielkie metropolie, teatr, opera...

IRENA

*z drwinami*

Kinematograf...

ŚWIATOBOR

Żartuje sobie pani ze swej własnej doli. A tymczasem – każdy dzień, każdy moment stracony w tej prowincjonalnej Abderze – to już jest strata niepowetowana.

IRENA

Z serca mi pan wrywa te prawdy, ale przytaczaniem ich powiększa pan tylko poczucie mojej niedoli.

ŚWIATOBOR

Nie! Chcę panią ratować.

IRENA

Wiem o tym, że pan zajmuje się czynnie altruizmem.

ŚWIATOBOR

Wszelki żart na bok... Cóż pani ma zamiar przedsięwziąć, gdy Wincenty pójdzie do wojska?

IRENA

Będę się starała być gdzieś w pobliżu.

ŚWIATOBOR

W pobliżu frontu bojowego? Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, czym jest wojna.

IRENA

No, to trzeba będzie w rzeczy samej przenieść się do jakiegoś miasta. Tam będę kądział przędła czekając na powrót męża.

ŚWIATOBOR

Kądział... Nie może pani zabronić mi, żebym był gdzieś w pobliżu i roztoczył opiekę...

IRENA

Prosiłam pana, żeby o tym nie wspominać.

ŚWIATOBOR

Czyż o tym nawet nie wolno mi wspominać wobec pani, że pragnę mieszkać w tym samym mieście?

IRENA

Nie życzę sobie. Żadnych zwierzeń, wynurzeń i tym podobnych!...

ŚWIATOBOR

To właśnie pani swymi zakazami wydobywa na światło prawdę, którą ja chciałbym zachować w tajemnicy.

IRENA

Nie, nie! wcale nie!

ŚWIATOBOR

*z głębokim wzruszeniem*

To wcale nie pomoże. Nic nie pomoże. Co się w moim sercu stało, już się nigdy nie odstanie.

IRENA

Śliczny przyjaciel Wika! Przecie pan jest tutaj adwokatem, przy tym sądzie okręgowym, a nie tam gdzieś, gdzie ja zamieszkam. Gdyby pan stąd wyskoczył ni z tego, ni z owego, niech pan tylko pomyśli!



ŚWIATOBOR

Już ja wszystko od góry do dołu przemyślałem. Od tego jestem prawnikiem i tym adwokatem, jak pani mówi. Więc to znaczy być złym przyjacielem Rudomskiego, gdy się chce wiedzieć, gdzie jego żona zamieszka, skoro jego biorą do wojska, gdy się chce roztoczyć opiekę...

IRENA

Do czego to podobne! Ta jakaś tajemna zmowa, gdy on tam czyta ów plakat... Zresztą – czy ja wiem, gdzie będę?

ŚWIATOBOR

Naradzimy się.

IRENA

Ach, dobrze już, dobrze! Tylko nie teraz, potem.

ŚWIATOBOR

Kiedyż, pani Irenko? Toż Wiko dziś musi stanąć w koszarach, a jutro może wyruszy na miejsce przeznaczenia.

IRENA

Ale i pan tak dziś, jutro nie może przerwać i porzucić swoich tutejszych spraw i interesów...

ŚWIATOBOR

Te rzeczy nie mogą pani krępować ani zajmować myśli. Niech tylko usłyszę jedno słóweczko od pani.

IRENA

Jakież to znowu słóweczko?

ŚWIATOBOR

Dokąd pani jechać zamierza...

IRENA

*z wahaniem się*

A dokądby mi pan radził... pojechać?...

ŚWIATOBOR

Tylko do Petersburga! Tylko!

IRENA

Dlaczego tam? Ja nie znam tego miasta.

ŚWIATOBOR

Jak najdalej od wojny, od linii bojowych. Tam będzie pani miała najzupełniejsze bezpieczeństwo, opiekę, spokój. Nadto – miasto przyjemne, wielkie, stolica.

IRENA

Pomyślę nad tym.

ŚWIATOBOR

Radziłbym powziąć nieodmienną decyzję. To właśnie wybrać. Jedyna rada.  
*Wchodzi Wincenty prowadząc ze sobą Joachima.*

WINCENTY

*radośnie*

Patrzcie, co za zdarzenie! Gdym wychodził stąd na ulicę, ledwie minąłem bramę, zobaczyłem Joachima. Przyjechał na jednej z podwód trenu, który tędy, przez nasze miasto, przeciąga. Doprawdy, jest w tym coś nadzwyczajnego. Tak dawno cię nie widziałem, mój stary, i oto przypadek ślepy zdarzył...

*Irena słucha tych słów Wincentego z ironicznym uśmiechem, niechętnie odpowiada na ukłon Joachima i daje mu rękę do pocałowania.*

IRENA

*do Wincentego*

Więc, mówisz, ślepy traf zrządził, że on stał tuż na progu naszego domu?

ŚWIATOBOR

*szeptem do Ireny*

Cóż to za jeden?

IRENA

*szeptem do Światobora*

To tam pewien taki mądrała... młynarz z Łuży... zaufaniec Mamy Rudomskiej.

WINCENTY

Jochym! I ciebie to na stare lata wojna na podwodę wpędziła... Ot, masz i ty wojnę!

JOACHIM

Ta mnie, jaśnie paniczku, nie tyle po p r y k a z u, co pani dziedziczka. Rozkaz, po prawdzie, przyszedł na Łużę podwody dostawiać. Jaśnie pani dziedziczka pojechała do miasta i

póty chodziła, póty chodziła, aż dociekła, w którą okolicę podwody pójda. To po powrocie pani dziedziczka mówi w ty słowy: Jochym, pojedziesz... A potem naucza – tak a tak. No, cóż ja, słuchać nauczony: dobrze, pani dziedziczko, jadę...

IRENA

Czemuż to was jaśnie pani dziedziczka wybrała z dworskimi podwodami się tłuc?

JOACHIM

Nie mojego rozumu to dzieło taką rzecz wiedzieć.

IRENA

A mnie się zdaje, że to właśnie waszego rozumu ma być dzieło...

WINCENTY

*machnął ręką, dając znać Irenie, żeby zamilkła*

Dawno już tak jedziecie obozem?

JOACHIM

Drugi tydzień my w drodze.

WINCENTY

Wprost z Łuży jedziesz?

JOACHIM

Akuratnie z Łuży.

WINCENTY

Cóż tam u nas?

JOACHIM

Ta wszystko u nas po staremu z bożą pomocą. Pani dziedziczka rządzi w s i e m, jak rządziła.

WINCENTY

A urodzaje jakieście w tym roku mieli?

JOACHIM

Urodzaje – nie można powiedzieć. Tylko – wojna. Ludzi pobrali. Co tylko chłop silniejszy – we wojsku.

WINCENTY

Powiedzże mi, Jochym, cóż wojna w Łuży zrobiła?

JOACHIM

Cóż ja powiem, jaśnie paniczu? Ja – młynarz? Moje widzenie niedalekie, proste.

WINCENTY

Proste, ale dokładne. Cóżś zobaczył? Ja cię przecie znam, wiem, że widzisz, co należy.

JOACHIM

*z uśmiechem*

Widzę, jaśnie paniczu, jako się moje koło podsięwodne i paleczne obraca, jako się moje pytle trzęsą, jak żarnowe kamienie pracują. Dla młynarza mąka – najpierwsza rzecz.

WINCENTY

Ot, widzisz! Mąka!

JOACHIM

Wojna – dzieło strasznie mocne. A moja mąka jeszcze mocniejsza.

*z uśmiechem*

Przed moją mąką sama wojna się kłania.

ŚWIATOBOR

Głęboki aforyzm, chociaż cokolwieczek za razowy. Ale prawdę zawiera...

WINCENTY

*zmieniając ton*

Powiedz mi, Joachim... Powiedz mi... A tamta dziewczyna, co się to utopiła podczas wielkiej powodzi – na naszym leży cmentarzu? Prawda?

JOACHIM

Na naszym... jakże!

WINCENTY

Byłeś może na jej pogrzebie?

JOACHIM

Byłem, jako i wszyscy ze wsi.

WINCENTY

Jak ona się to nazywała? Zapomniałem...

JOACHIM

Sońka ją zwali. Obarówna po ojcu.

WINCENTY

Tatarak wtedy, biedactwo, żęła nad rzeką? Prawda?

JOACHIM

Tak ci jest, jaśnie paniczu. Trawę i tatarak żęła. Woda wtedy wielka chłynęła, zalała – jako i pana Olelkowicza. Woda wtedy poszła nie byle jaka. Tęgiego mężczyznę pogarnęła gdzie niewiedź – cóż takie tam dziecko. Gąsiątko!

WINCENTY

Tak, bracie.

*stoi nieruchomy w głębi pokoju. Po chwili:*

A czy wiesz, Jochym, że i mnie, ot, dziś właśnie powołali do wojska.

JOACHIM

Powołali! Ot, zmartwi się pani dziedziczka.

WINCENTY

Czemu? Wszyscy idą. I ja za innymi. Wojna nikogo nie oszczędza. Zmartwi się, mówisz, pani dziedziczka?

JOACHIM

Wiadomo!

WINCENTY

Chciałbym rozpytać się ciebie o tysiąc rzeczy, a wszystkie mi się pytania poplątały.

IRENA

Bo powinien byś z tym gościem ze wsi rodzinnej rozmówić się bez świadków, na osobności. Tylko na osobności moglibyście powierzyć sobie prawdziwe wynurzenia, dać i oddać istotną treść posłań.

WINCENTY

Coś takiego mówisz...

IRENA

*do Wincentego poufnie*

Mógłbyś przez tego chłopca napisać list...

WINCENTY

Jaki list?

IRENA

Do matki. Skorzystaj ze sposobności. Już druga taka nieprędko się nastęczy.

WINCENTY

*budząc się z zamyślenia*

Ach, zostaw mnie!

IRENA

To przynajmniej pokaż dokładnie temu gońcowi, jak dostatnio dziedzic Łuży mieszka w tym swoim domowym zaciszu.

WINCENTY

Wiesz co, Irenko, lepiej byś poczęstowała Joachima czymkolwiek... Czymś z naszego obiadu... Człowiek zdrożony. On nie pogardzi...

IRENA

Ba! Ale czym? Nie przypominasz sobie, czym mianowicie poczęstować twego gościa?

WINCENTY

No, choćby kawy, herbaty szklanek...

IRENA

*do Światobora, niecierpliwie*

Służąca jeszcze nie wróciła. Ja mam teraz kawę gotować dla jego ekscelencji młynarza z Łuży.

ŚWIATOBOR

Ja zagotuję herbatę.

IRENA

*ze śmiechem*

Pan będzie gotował?

ŚWIATOBOR

Oczywiście. Toć to starokawalerskie rzemiosło.

IRENA

Nie, nie pozwalam, żeby pan gospodarował samopas po mojej kuchni.  
*zmierza we drzwi na prawo*

ŚWIATOBOR

Doprawdy, zrobię to doskonale i prędko.

IRENA

Ależ pan nie wie, gdzie co jest, jak się robi...

ŚWIATOBOR

Pani mi tylko pokaże, a ja doskonale wykonam, co tylko należy do obowiązków wzorowego kucharza.

*Irena wychodzi przez drzwi na prawo. Za nią Światobor.*

WINCENTY

*z pośpiechem*

Mówże mi, Joachim, o wszystkim. Nie chciałem się rozpytywać szczegółowo przy tym obcym człowieku.

JOACHIM

Nic nadto ciekawego nie mam do powiedzenia.

WINCENTY

Moja matka zdrowa?

JOACHIM

Tak tam, jak to pani dziedziczka zawsze. Pracuje, biega, gniewa się, a gniewa się bardzo często i bardzo srogo.

WINCENTY

Gniewa się bardzo i o byle co, według swego narowu.

JOACHIM

Teraz jakoś ci bardziej niż przedtem. A i sroga bywa. O, sroga bywa...

WINCENTY

Szczęólnego nic nie zaszło u was od mego wyjazdu?

JOACHIM

Ta, co u nas może być szczególnego, jaśnie paniczu? Jedno chyba... Kaplicę my stawili nad mogiłą pana Olelkowicza.

WINCENTY

*z pokorą*

Kaplicę? Na cmentarzu?

JOACHIM

Tak i jest.

WINCENTY

Któż to zaczął?

JOACHIM

Ta, pani dziedziczka.

WINCENTY

Z jej to woli, z jej rozkazu?

JOACHIM

*cicho*

Majstrów sprowadziła skądś, z obcego kraju. Czarnych jakichś; po obcemu gadają. Morzem, ludzie mówią, do nas przyjechali. Kamieni nawieźli czarnych i białych, g ł y b y tyle jak mój największy żarnowy kamień.

*po chwili*

Pani dziedziczka sama u tych majstrów dzień dnia pracowała.

WINCENTY

*z pietyzmem*

Sama pracowała?

JOACHIM

Sama. Czarną robotę przy nich robiła. Wapno, piasek i cegłę nosiła na wysokie rusztowanie pospołu z czarną czeladzią. Dźwigała co najcięższe kamienie własną swą ręką od świtu do wieczora – aże omdlewała pod ciężarem. Ludzie się jedni dziwowali, a drudzy drwili po ci-



chu, patrząc się na one trudy. Każdy zaś swoje wypominał, jako to ludzie. A tak ciężko pracujący, pod ciężarem onych kamieni, pani dziedziczka czegoś gorzko płakała.

WINCENTY

*w zadumie*

Gorzko płakała...

JOACHIM

Co zaś do onej topielicy, dziewczyniny, Sońki tej, Obarówny, to pani dziedziczka odpisała na rodzinę tej samej Sońki cały dół pola i łąkę aż do międzyrzeckiego klina.

WINCENTY

*z radością*

Doprawdy?!

JOACHIM

No, jakże, prawdę mówię...

*w zamyśleniu*

Choć to onej Sońki nie wskrzesi z martwych nic, choćbyś i wszystkie łzy wypłakał, jakie ta w człowieku są, aleć tym Obarom przecie łzej.

WINCENTY

Ty to doskonale rozumiesz, Joachim. Z tobą ja się zawsze mogę dogadać, jak z nikim na świecie. Umiesz trafić do mego serca. Pamiętasz, stary, jakeśmy to, jeszcze za moich chłopczyńskich lat, więcierze zastawiali na liny?...

JOACHIM

No, toć jeszcze pamięć mam w sobie.

WINCENTY

Albo tego wielkiego szczupaka, com ci go podchwycił, przeniósłszy wielką wędę z małego stawku za upustem do dużej wody?

JOACHIM

Ba! Ba! Niemała to była ryba, ledwie ją ze ziemi na plecy za skrzela dźwignął. Ogon mu się trzepał po ziemi, a paszcza była nad moim ciemieniem.

*po chwili*

Et, jaśnie paniczu... ja bym się oto spytał o jedno, taj nie śmiem prostym moim językiem. Wysłowienia ja nie mam pańskiego, po chłopsku myśl swoją wydaję.

WINCENTY

Prostym właśnie pytaj się językiem i ja ci po prostu odpowiem. Tak samo teraz, jakeśmy to ze sobą d a w n y m d a w n o gadali. Tyś mię się wtedy pytał o niejedno, o najtajniejsze, a ja ci zawsze odpowiadałem, jak przyjaciel przyjacielowi, jak brat bratu.

JOACHIM

Ono to było dawno... To jest prawda.

WINCENTY

Było?

JOACHIM

*wykrętnie*

Czasu dawnego nie nawrócisz. Wody, co spłynęła z pogródek na korce koła, nie nabierzesz na nie z powrotem. Nie ma tej wody i nie ma tego czasu.

WINCENTY

No, to pytaj, jak chcesz.

JOACHIM

Chciał ja was zapytać, paniczu – ot – jakie teraz wasze życie? W szczęściu, we zdrowiu, w pomyślności?

WINCENTY

*szeptem*

W szczęściu, bracie! To, czegom pragnął, posiadam. Panienka Irka, coś ją od tyłego dzieciątka we dworze widział, to moja żona. Ja poza nią nigdy, przenigdy świata nie widział, życia innego nie mogłem i nie chciałem mieć, tylko z nią. Bez niej dla mnie była śmierć.

JOACHIM

*ze śmiechem*

Nie wam, paniczu, śmierć, jeno innym ludziom. Wam szczęście z nią, z panienką Irką, a innym za to śmierć. Śmierć okrutna, najokrutniejsza, jaka jest – wodą się zalać. Straszna to rzecz wodę chleptać, siły utracić, w wodzie tonąć.

WINCENTY

I toś prawdę powiedział: innym śmierć, a mnie szczęście.

JOACHIM

Ludzie sobie zapamiętali, że wam wielkie szczęście, a innym straszna śmierć.

WINCENTY

*wyniośle*

Niech pamiętają!

JOACHIM

*chyttrze*

I ja takó¿ rozumiem: co szczęśliwemu ludzki sąd? Ja pan, ja mego ¿ycia kowal i wladacz, ja cieśla mojego dnia i nocy, a inni ludzie – mnie co? Trawa na łące, którą kosa moja kosi, tatarak ten, co go ona Sońka sierpem zęła przed falą.

WINCENTY

Umiesz i ty, przyjacielu, ostrym sierpem onej Sońki po moim sercu przejechać. Bóg zapłać, Jochym...

JOACHIM

Taj za có¿? Ja człowiek prosty. Chłop z Łu¿y, jako i inny tameczny człowiek.

*Pauza.*

Trzeba mnie ju¿, jaśnie paniczu, do koni. W dalszą my drogę ciągniem obóz.

WINCENTY

Czekaj no, czekaj! nie puszczę cię bez posiłku. Nie było jeszcze tego przykłądu, ¿eby od Rudomskiego z domu bez posiłku wychodzić. Siadaj no tutaj! Tutaj, wygodnie...

JOACHIM

Nie, paniczu, ju¿ na mnie pora.

WINCENTY

Siadaj! Cóż to, ju¿ nie słuchasz swojego pana?

JOACHIM

Czemu nie słuchać? Słucham. Ale posiłek brać pod dachem pańskim alboli nie, to ju¿ moja chłopska wola albo odraza.

WINCENTY

Odraza?

JOACHIM

Du¿o, jaśnie paniczu, od godziny onej powodzi wody między nami przepłynęło.

WINCENTY

Tak-że mów! Teraz dopiero cię rozumiem.

JOACHIM

Ostajcież z Bogiem...

WINCENTY

*wyniośle*

Boże cię prowadź.

*Joachim idzie ku drzwiom.*

Pozdrów matkę ode mnie, gdy do Łuży powrócisz.

JOACHIM

Powiem jej, jaśnie paniczku, o waszym szczęściu ważne słowo.

*Wychodzi. Wincenty sam, siedzi w rogu sofy aż do powrotu Ireny.*

IRENA

*wchodząc*

Zaraz będzie herbata. A gdzież twój dostojny gość?

WINCENTY

Już poszedł.

IRENA

Macie! Ja się biedzę nad zgotowaniem dla chłopca herbaty, a on nie raczy poczekać i najspokojniej bez pożegnania wychodzi.

*woła przez drzwi*

Panie Fryderyku! Panie Fryderyku!

*Światobor wchodzi.*

Już nie trzeba pańskiej herbaty. Nadaremnie pan przy prymusie poparzył sobie palce. Niech pan teraz sam wypije, co pan nawarzył...

ŚWIATOBOR

*dwuznacznie*

Jak to? Już?

IRENA

Gość z Łuży poszedł sobie.

ŚWIATOBOR

Ten przyjaciel i mentor Wika? Poszedł?

WINCENTY

*ze śmiechem nieszczerym*

Nie chciał przyjąć w moim domu posiłku i poszedł.

ŚWIATOBOR

Takiż to hardy młynarz?

WINCENTY

To nie hardość przez niego przemawiała...

ŚWIATOBOR

A cóż?

WINCENTY

*z uśmiechem ironii*

Wzgląd religijnej natury.

ŚWIATOBOR

Post? Przecie nasza z panią Ireną herbata nie byłaby z sadłem ani na sadle. Trochę by ją było czuć naftą, ale ziemne woski i tłuszcze nie są, pono, tak znowu grzeszne, jak tłuszcze zwierzaków.

WINCENTY

Joachim nie chciał przyjąć posiłku pod dachem człowieka... szczęśliwego...

ŚWIATOBOR

Przezorny kmiotek, aczkolwiek nie słyszał zapewne o Polikratesie. Bał się zachłysnąć łykiem herbaty albo udławić kawałkiem cukru.

IRENA

To nie tak jak my, którzy się nie boimy obcowania z tobą, Wiko...

WINCENTY

Któż to wie, czy i wy nie zaczniecie wkrótce obawiać się złych skutków mojego szczęścia i niepokoić się o swoją skórę i o swe własne, osobiste szczęście.

ŚWIATOBOR

*przeciągle*

My?

WINCENTY

Ty i Irena.

ŚWIATOBOR

Ja i pani Irena? Nie, jakoś jeszcze krzepi nas odwaga. Wszystko się dobrze ułoży. Nie mamy, mój Wiko drogi, przesądów tego obywatela z Łuży.

IRENA

Ach, Wiko, ty w istocie jesteś jakiś... przeklęty...

WINCENTY

*sennie*

Tak jest, Irenko.

IRENA

Oto teraz idziesz do wojska. Czy nie mogłeś przez tego Joachima napisać do matki?

WINCENTY

*gwałtownie*

Już ci to tłumaczyłem, że nie mogę. Właśnie on, Joachim, opowiadał mi, że moja matka postawiła pomnik na grobie Olelkowicza.

*z radością*

Przy stawianiu tego nagrobka nosiła ciężkie kamienie, wielkie bryły marmuru i granitu. Ja wiem, co to znaczy. Moja matka już zaczęła spychać, strącać ze swej duszy ciężar nie do zniesienia. Nasz ciężar. Gdy niosła najcięższą bryłę, nieudźwigniony blok, lżej jej było na sercu. Ja wiem. Chce znaleźć odkupienie. Za wszelką cenę szuka ulgi. Znajduje ją w pokucie za mój grzech.

*ponuro*

A ja?

ŚWIATOBOR

Pokuta...

WINCENTY

Co mówisz?

ŚWIATOBOR

Mówię, że pokuta jest to nasz poczciwy, ludzki wybieg...

WINCENTY

Co ty wiesz?!

ŚWIATOBOR

To tak jest, drogi Wiko. Mówię o rzeczy obiektywnie danej, o przedmiocie, o zjawisku. Pokuta – to środek wyjścia z potrzaska przez taką szczelinę, której by się nikt nie domyślił – gdy drzwi do wyjścia stoją otworem.

WINCENTY

przerywając

Ireno – czy życzysz sobie, żebym odszukał Joachima i zażądał przezeń – ale ustnie, ustnie! – od mojej matki, aby mi, to jest tobie, przysłała pieniędzy? Należną mi sumę... Czy chcesz tego, Irenko? Bo i ja coś muszę zacząć... Ty wiesz, Irenko, że ja dla ciebie wszystko, wszystko...

IRENA

Mój drogi, jeżeliby cię to miało narazić na tak wielkie cierpienie, na niebywałe troski i zgryzoty, a ty to chcesz podjąć jako pokutę – dla mnie, zawsze dla mnie... To daj pokój. Jakos i nadal, gdy ty pójdziesz do wojska, będę brnęła przez moją biedę, przez błotko ubóstwa...

*z komicznym wyrazem powagi*

Niechże i ja do kompletu pokutuję...

WINCENTY

Nie! Ty jesteś wolna. Ty, dzieciąteczko moje, ty jedna!...  
*Chwyta kapelusz i wybiega z mieszkania.*

IRENA

Poszedł? Naprawdę poszedł szukać tego człowieka?

ŚWIATOBOR

Biedna pani! Na co panią naraża takie położenie!

IRENA

Gdybyż to człowiek był w stanie przewidzieć wszystko!

ŚWIATOBOR

Oto okrzyk kobiety! Nie poznaję pani. Pani! Istoty tak silnej, zdecydowanej. Przed czymże się pani wzdryga?

IRENA

Pan nie wie, co on dla mnie zrobił. Pan nic nie wie, co w nim jest, co się może zawrzeć w jego sercu.

ŚWIATOBOR

Tak, już wyrosłem z uniesień studenta, z entuzjamów i upadków młodocianych.

IRENA

On dla mnie zrobił wszystko, wszystko bez wyjątku. A ja...

ŚWIATOBOR

Usta pani są bez ceny. Kto ma prawo tych ust dotknąć ustami, ten musi za tę rozkosz płacić życiem i śmiercią.

IRENA

Ciekawam, czy tę zasadę zastosowałby pan do siebie?

ŚWIATOBOR

Proszę mię wystawić na próbę.

IRENA

Wiem, co bym osiągnęła. Nie! Pan woli zwycięstwo łatwe. Pocałunek, nie zdobyty za cenę życia i śmierci, lecz skradziony chyłkiem, pokątny, łatwy, jak tamten... w kuchni.

ŚWIATOBOR

*z uniesieniem*

Przysięgam pani!

IRENA

*siada na sofie*

„Przysięgam pani”... Przysięgam – to mowa właśnie słabych i chytrych, tych właśnie, co się obawiają, że ich naturalnemu językowi nikt nie uwierzy. Wiko mi nigdy nic nie przysięgał. On, o którym pan pogardliwie mówi, że to student i młokos, dla mnie wziął na swe ramiona straszny uczynek. Ja go tak za to kochałam...

*placze*

ŚWIATOBOR

Pani Ireno!



IRENA

Wiem, znakomite okresy, potoki słów zupełnie słusznych, szeregi zdań prawnie, konsekwentnie pomyślanych, zawierających prawdę, istotę rzeczy. Pan jest tak wymowny i tak przecie mądry.

ŚWIATOBOR

A więc zamilknę i niech rzeczywistość mówi za mnie.

IRENA

Teraz on pójdzie na wojnę. Będzie się terał, poniewierał, szedł przez jakieś straszne przygody i niepojęte wypadki.

ŚWIATOBOR

A może właśnie wygodnie zasiądzie w jakiejś kancelarii, za zielonym stołem, w wygodnym fotelu i będzie gromadził pieniądze... zawsze dla pani.

IRENA

W tym zdaniu maluje się cała pańska nieznajomość charakteru Wika. W tym, że ja tego słucham spokojnie, maluje się nicość moja.

ŚWIATOBOR

Doprawdy? A czy przed chwilą ten uwielbiany mąż nie nagiął swego stalowego charakteru do pierwszego z brzegu żądania pani? I to w jakiej sprawie? Czy nie pobiegł za tym chłopem, żeby mu powiedzieć o żądaniu pieniędzy? Od matki! Jakież to bezmyślne i okrutne upokorzenie wobec osoby, która was oboje tak skrzywdziła!

IRENA

To prawda.

ŚWIATOBOR

Pani żałuje Wika. Rozumiem to. Ja również mam dla niego wiele współczucia.

IRENA

*ironicznie*

Pan... współczucia dla Wika...

ŚWIATOBOR

Ale czterykroć, tysiąckroć więcej mam uczuć dla pani. Pani musi raz wyjść, wydostać się z tego cmentarza! Trzeba się mocą wyrwać! Ja pani nie dam na zatracenie! On przenigdy nie potrafi dać sobie rady. To człowiek uczucia, sentymentu, nastrojów. Zawsze będzie pod władzą matki i panią będzie ciągnął za sobą pod władzę. Niech się pani strzeże i broni!

IRENA

Nie! Mnie tam już z powrotem nie wciągnie. To już *tempi passati!*

ŚWIATOBOR

*kiwając głową z politowaniem*

Doprawdy?

IRENA

Z wszelką pewnością!

ŚWIATOBOR

Dopóki pani jest razem z nim, zawsze pani to zagraża. Czyż pani tego nie widzi, że on tęskni, wyrwa się do tej swojej Łuży? Tam jest całe życie i cała jego podstawa bytu. Dusza jego, wskutek czynków popełnionych w uniesieniu, niemal w szaleństwie, przykuta jest do tego miejsca. Myśl wciąż a wciąż rozważa te wypadki. On je po stokroć i po tysiącokroć przeżywa. Będzie je tak przeżywał zawsze, trawił w sobie, odpierał i zwalczał ich natarczywość. Ażebym go zwalczać w wyobraźni swej, będzie stawiał pomniki jak matka, będzie pokutował. Czy nie słyszała pani, że już swej matce zazdrościł owej pokuty? Wołał przecie dopiero co: matka już pokutuje – a ja? Czy tak nie wołał?

IRENA

*zbita z tropu*

Wołał, wołał... Więc cóż z tego?

ŚWIATOBOR

*szeptem podjudzającym*

Tak będzie wciąż, przez całe życie. Będzie to w nim wzrastało z latami, jak nieuleczalny przymiot, jak ohydna skaza duszy. Nic na świecie nie zdoła zatrzeć w nim tamtych zdarzeń. Jest to galernictwo mistyki, jakiś ponury i złowrogi marazm uczuć. Pani się zadusi w tej kostnicy.

IRENA

Gdyby tak miało być, będzie to w istocie kostnica.

ŚWIATOBOR

Nie może pani wrócić do Łuży ani przebywać w jakiejś prowincjonalnej mieścinie. Do wielkiego miasta! Ogromu wrażeń, mnóstwa rozrywek, obrazów, szerokiego życia, żeby się odgrodzić od smutków tej poleskiej jednostajni!

*siada obok Ireny*

Na szeroki przestwór! Do światła i nowych ludzi!

*Irena usuwa się.*

Jeżeli mi pani każe się oddalić, będę z daleka. Ale niech mam widok tego szczęścia, że pani zazna wesela. Niech pani nie zatracą swego młodego życia!

IRENA

*śród zadumy*

Żal mi Wika...

ŚWIATOBOR

Czyż mnie jego nie żal? Ja go tak lubię! To miły i dobry chłopczyna. Ale oddać mu we władanie życie pani po tym, co porobił! Być pokutnicą razem z nim za grzechy nie popełnione!

IRENA

*w zwątpieniu*

On to dla mnie popełnił...

ŚWIATOBOR

Dla pani? Zaprzeczam! On to zrobił dla siebie, dla swej rozkoszy, w pasji. Gdyby ów Olelkowicz przybył wówczas do Łuży, ślub odbyłby się był następnego dnia, a on sam musiałby być poślubić d o n n ę, wskazaną mu na małżonkę przez matkę. Cóż tu pani winna?

IRENA

No, pewnie.

ŚWIATOBOR

Więc widzi pani!

IRENA

Jakże on teraz sam, beze mnie...

ŚWIATOBOR

To mu tylko na dobre wyjść może, gdy będzie sam. Musi zmężnieć, stwardnieć wśród trudów wojennych, stać się człowiekiem. Skoro z tego wszystkiego wyjdzie pełen hartu, wówczas dopiero będzie godnym pani.

IRENA

Och, jak to pan umie dobrze przedstawiać i z tej, i z tej strony...

ŚWIATOBOR

Cóż innego może pani przedsięwziąć? Przecie Wiko czy tak, czy owak musi iść do wojska. Czy nie?

IRENA

Oczywiście, że musi iść...

ŚWIATOBOR

Pani tu sama jedna musi zostać. Czy nie?

IRENA

Ach, z tymi pytaniami!

ŚWIATOBOR

Chcę pani przedstawić niewątpliwy, naoczny stan rzeczy. Tu pędzić żywot, w tej mieścinie prowincjonalnej, czy wyjechać do dużego miasta? Nieuniknione jest to drugie.

IRENA

Jużemy o tym mówili. Wciąż pan powtarza.

ŚWIATOBOR

Wciąż powtarzam i powtarzać będę do końca mojego życia. Będę pani sługą, obrońcą, doradcą, opiekunem, czym mi pani być każe czy pozwoli. Tylko – choć cień łaskawości, cień nadziei...

*ujmuje jej rękę*

IRENA

*smutnie*

Jeżeli powiem jedno słowo, że dobrze, to już to będzie krzywdą biednego Wika. A muszę się zgodzić, bo cóż bez pana teraz pocznę? Nie dałabym sobie rady.

ŚWIATOBOR

Z krzywdą Wika... On ma wieczne prawo całować te usta, przyciskać do serca...

*osuwają się na kolana*

A ja... Wieczna moja tęsknota... Szaleństwo... Ireno!

*głowa jego upada na kolana Ireny*

IRENA

Panie Fryderyku! Panie!

ŚWIATOBOR

Nic, nic... Zaraz sobie pójdę! Tylko to jedno! To jedno, jedyne. Ta chwila niech będzie moja. Ireno! Za wszystkie męczarnie!...

*Chwyta Jej ręce i okrywa pocałunkami. Wincenty otwiera drzwi i spostrzega pocałunki Światobora.*

WINCENTY  
Irena!

IRENA  
Ach! Wiko...

WINCENTY  
*z krzykiem*  
Ireno! Ireno! Ireno!

KONIEC AKTU DRUGIEGO

## AKT TRZECI

*Pokój w Łuży, ten sam, co w akcie pierwszym. – Jest półmrok poranny. Wchodzą Helena Strzemięńczykówna i Joachim, prowadząc Wincentego. Ten jest wsparty na szczudle, lasce długiej z poprzecznym oparciem pod prawą pachą. Prawą nogę ma urwaną i prawą rękę urwaną aż do ramienia. Twarz jego jest z jednej strony poszarpana i pokryta bliznami, szwami i plamami. Wincenty ma na sobie resztki jakiegoś munduru oficerskiego, zniszczone i wyszarżane. Helena i Joachim przyprowadzają Wincentego do sofy, stojącej w pobliżu okna, i z ostrożnością umieszczają go na tej sofie.*

HELENA

Ach, nareszcie, nareszcie jesteśmy tutaj! Cóż to była za noc! Ja sama nie czuję jednej kości, jednego ścięgna na miejscu... Cóż mówić o tobie? Dziękuję wam po stokroć, Joachimie...

JOACHIM

No, no...

HELENA

Gdyby nie wy, zginęlibyśmy byli w tej drodze.

JOACHIM

Jak ja tę karteczkę od panienki dostał przez mego młynarczyka – darmo – konia ja za-przągł i pojechał, choć dopiero co starszą panią powiózł na folwark.

HELENA

Idźcież teraz odpocząć po tej drodze. Ale konia i wóz odprowadźcie, żeby zaś nikt nie wiedział o przybyciu pana.

JOACHIM

*przestępując z nogi na nogę*

Et, wiedzieć to tam będą, żeby nie wiem jak ślady pozacierał. Zatrę to ślady kół i końskich kopyt? Pójdę ja, konia napoję i pojedę wnet po starszą panią na folwarek. Nie pora teraz myśleć o spaniu.

HELENA

A więc dobrze. Rób, jak uważasz. Ja tymczasem ułożę tutaj panicza w taki sposób, żeby gdy matka przybędzie, nie spostrzegła od razu, że jest tak bardzo poszarpany, że nie ma ręki i nogi. Mogłoby to ją zabić, gdyby od pierwszego spojrzenia wszystko zobaczyła od razu.

JOACHIM

Pewnie, pewnie. Ale przecie czy tak, czy owak, prawdy się starsza pani dowiedzieć musi. Czy go tam tak, czy owak położyć, matka zobaczy.

HELENA

Chodzi o to, żeby stopniowo dowiadywała się, żeby ją jakoś przygotować do tego okropnego dla niej widoku.

JOACHIM

No, ja idę.

HELENA

Ale potem nie zostawiaj nas zupełnie samych, Joachimie. Gdy wrócisz, bądź w pobliżu. Sam mówisz, że tak czy owak dowiedzą się. Mogą nas niespodziewanie napaść.

JOACHIM

Ludzie ze wsi?

HELENA

*z trwogą*

Tłum... Bolszewiki...

JOACHIM

*po namyśle*

No, ja przecie sam jeden całej wsi rady nie dam, ani pięścią, ani rozumem, ani językiem. Ja, panienko, to samo chłop z tej wsi. Z chłopów ja chłop. Nie pan.

HELENA

Ale tłum cię szanuje, jako prawego i mądrego człowieka. Możesz przecie przemówić, rzec słowo w naszej obronie, przemówić...

JOACHIM

*wykrętnie*

Mnie się widzi, że jeszcze nikt nic nie wie.

WINCENTY

Idź już, idź.

JOACHIM

Po starszą panią wozem jechać muszę, bo ona piechotą tyli świat nie przelezie przez las i błoto z folwarku. Jakem ją wywiódł do Michała, tak ją z powrotem muszę przywieźć. Teraz się już nie będzie bała sama siedzieć we dworze, bo przecie już teraz sama nie będzie, ino z wami.

*Joachim wychodzi*

HELENA

Boże cię prowadź.

O, Boże! poszedł ten ostatni człowiek wśród wilków.

WINCENTY

*mówi inaczej niż przedtem, gdyż od wybuchu pocisku w czasie bitwy miał twarz poszarpaną, złamaną szczękę i język okaleczony*

To tu było...

HELENA

*troskliwie*

Co było, mój złoty chłopaczku?

WINCENTY

*wskazując lewą ręką miejsce przy drzwiach wejściowych*

Tam stałem, gdy mię matka przeklęła. Mówiła wtedy: „Bodaj ci nogi połamało! Bodaj ci ręce połamało i odjęło! Bodaj ci podły język stargało i zniszczyło!” Tak powiedziała. Jest wszystko według rozkazu. Wojna z precyzją wykonała. Ale tylko w połowie. Widocznie jeszcze drugi wyrok wykonany będzie.

HELENA

O, straszne, straszne słowo!

WINCENTY

Wojna spełniła rozkaz mamy.

HELENA

W złą to zostało powiedziane godzinę.

WINCENTY

Być może.

HELENA

Ale to przypadkowy zbieg okoliczności.



WINCENTY

*śmieje się*

Zbieg okoliczności...

HELENA

Zapomnij!

WINCENTY

Jużem dawno, dawno zapomniał. Teraz, patrząc na tę starą bibliotekę, na ten komin, na ściany i sprzęty, przypomniałem sobie, co się stało i dlaczego.

HELENA

Raduj się, że jesteś tutaj, w domu ojczystym, na pradiadowskiej, praojcowskiej roli, w twej Łuży...

WINCENTY

Radość i rozpacz już daleko są za mną. Pożarła je ta sama nienasycona paszcza, która odgryzła mi nogę i rękę, która chciała wyrzeć mi z gardła język. Pożarła moją radość i moją rozpacz – wojna.

HELENA

Gdybyś mógł osiąść spokój serca!

WINCENTY

Mówiłaś przed chwilą, że jestem na praojcowskiej roli. Alboż to moja rola, moja ziemia? Wieki niezmierzone, straszliwe kataklizmy dziejowe przyrody ją tworzyły, a ja – żal się Boże! – nazywam te prace oceanów, powietrza, burz i deszczów, trzęsień ziemi i zmagañ się skorupy globu – swoją własnością.

*śmieje się*

To moja własność...

HELENA

I do ciebie przyłgnęły w tym czasie moskiewskie zarazy.

WINCENTY

Nie, Helenko, to moje własne myśli. Długie gorączki i wielkie ludzkie cierpienia, na które patrzałem, głęboka własna niedola... Wszystko wraz uczyło mię tej prawdy.

HELENA

*troskliwie*

Nie rozmawiaj teraz. Przykryję ci nogi tą chustką. Może zaśniesz.

WINCENTY

Nie, teraz nie mógłbym spać.

HELENA

To spocznij tak, bez ruchu.

WINCENTY

Dobrze.

*Z głową podpartą na ręce patrzy długo na miejsce przy drzwiach. Helena krząta się po pokoju, wygląda przez okno, otwiera szafę i przestawia w niej książki.*

HELENA

Cóż to tam widzisz na podłodze?

WINCENTY

Widzę niedostrzegalne dla ciebie ślady stóp na podłodze.

HELENA

Cóż znowu za przywidzenie?

WINCENTY

Tam stała Irena.

HELENA

Ach!

WINCENTY

*cicho*

Mówiła wtedy do mnie: „Pójdź, przekłety! Nie masz już ani rąk, ani nóg, ani języka. Ja jedna muszę cię teraz wspierać, prowadzić i za ciebie mówić”.

HELENA

Tak. Pamiętam. Mówiła te słowa.

WINCENTY

Nie ma jej. Nie wspiera mnie ani prowadzi. Nie słyszę już jej mowy. Został przy mym boku tylko ten kij...

HELENA

I nikt już więcej, Wiko?

WINCENTY

I ty, siostrze miłosierdzia...

HELENA

Zawsze o niej pamiętasz?

WINCENTY

Cóż począć? Zawsze pamiętam.

HELENA

*z bólem*

Kochasz ją zawsze?

WINCENTY

Czy ją kocham?

*głucho*

Zdradziła mię.

HELENA

*mocując się ze sobą*

Wiko! Może jeszcze powróci do ciebie. Będę się starała, dołożę wszelkich sił, żeby powróciła...

WINCENTY

Nie. Już nie powróci. Jakże nędzne jest serce ludzkie! Nie ma w nim wierności psa, a jest zwierzęcy egoizm.

*po namyśle*

Mama, widzisz, miała wówczas zupełną słuszność, rzucając na mnie takie słowo. Zupełną! Gdyż ja... podniosłem samowolnie... stawidła. Ale teraz już się z mamą zrównali. Teraz będziemy już mogli mówić jak dawniej, bo i ja szedłem już tą samą drogą, co ona, drogą dźwigania kamieni. I ja jestem taki sam jak ona. Już mię dzisiaj mama nie może... dłużej... przeklinać...

HELENA

Ponure cię myśli oblegają.

WINCENTY

Wcale nie ponure. Myśli wyzwolone. Mam w sobie jakby świadomość tajnego rachunku, różniczkowego rachunku duszy, który nie dla wszystkich jest dostępny. Myślę, że może troszeczkę wiem z tego, co wiedzą tamci, tamci, co już zupełnie nie posługują się ani rękami, ani nogami, ani językiem. Gdybym wiedział, że jeszcze kiedy w życiu zobaczę – z daleka, z daleka – Irenę... Byłbym zupełnie spokojny... Gdyby przez krótką tylko chwilę stała żywa i jasna... w mych żyjących oczach...

HELENA

A nie czujesz, Wiko, ile w tym twoim pragnieniu, wyrażonym w mej obecności, mieści się bezlitosnego okrucieństwa?

WINCENTY

Okrucieństwa – względem ciebie?

HELENA

Nie czujesz tego?

WINCENTY

Okrucieństwa... Chcesz tego, żebym jej nigdy nie zobaczył. Rozumiem cię. Bądź spokojna. Los i to sprawi, że już jej nigdy nie zobaczę. Nie wolno mi myśleć o tym, żeby ją zobaczyć, gdyż taka myśl – jest to okrucieństwo.

*śmieje się*

Dobrze. Dobrze, Helenko! Już ani jedna myśl o Irenie nie przecisnę się przez moją głowę. Ani jeden obraz jej nie zajaśnieje w moich oczach. Zamknę oczy, zacisnę moje serce, zagryzę wargi, wbiję paznokcie w moją dłoń. I już ode mnie o niej nigdy nie usłyszysz. Znaj okrutnika!

*długo milczy*

Stanę się czysty, zuchwały i zawzięty, jak święty Jerzy...  
*Światła w pokoju przybywa, gdyż świt się rozszerza.*

HELENA

Dnieje.

WINCENTY

To ja już jestem naprawdę w Łuży. Dziwne to wszystko, jakby się w śnie dokonywało.  
*radośnie*

Ja – w Łuży!

HELENA

Nareszcie ją zobaczyłeś i uczułeś w sobie!

WINCENTY

Czekaj no, niechże ją naprawdę zobaczę!  
*Dźwiga się z sofy i stukając swą kulą, na której jest wsparty, podchodzi do okna. Rozgarnia kwiaty stojące na oknie i patrzy w przestwór.*

Dzień wstaje. Patrz... nad stawem... te mgły. Widzisz je, Helenko? Jak cicho pełzną nad uśpioną jeszcze wodą...

*Pauza.*

Cichy staw... Ciemny i cichy... Ani jedna fala, ani jedno drżenie nie rusza jego powierzchni. Cichy...

*z uśmiechem*

Któż by pomyśleć mógł teraz, któż by uwierzył, że tak straszliwa potęga, tak nieopisana siła szaleństwa mieści się pod jego znieruchomiałą powierzchnią! Ja jeden wiem, jaka to furia zamyka się w tej toni spokojnej. Ja cię znam, przyjacielu!

HELENA

Nie miej do niego nienawiści. Patrz, jak niewymownie jest piękny.

WINCENTY

Nienawiści! Do niego? Ależ tęskniłem za nim w strasznych moich gorączkach, gdy mię w bitwie z Niemcami na strzepy podarło. Zdawało mi się po stokroć, że go w sobie widzę wszystko, rozszalały, walący się przeze mnie, poprzez moją duszę, w jamę wyrwanego upustu. On był we mnie cały, ogromny. Zabijał tak samo jak ja.

*szeptem*

Myśmy obadwaj, ja i on, tajni zbrodniarze.  
*po chwili*

A teraz uciszył się, uciszył jak ja. Staliśmy się inni, przyjacielu. Lecz nikt nie wie, nikt nie dociecze, co w nas jest. Niechaj niczyja ręka nie dotyka nas, gdyż gniew nasz może nie mieć granic!

HELENA

Patrz! Odsloniła się mgła i tam za stawem widać kościół w Klonach.

WINCENTY

*tłumacząc*

Kościół widać, a obok niego na wzgórzu cmentarz. Te oto skłębione drzewa za kościołem w Klonach – to jest cmentarz.

HELENA

Jakże piękny! Tak piękny, że pragnęłoby się tam właśnie spać...

WINCENTY

Tam już śpią. Olelkowicz, furman Kukwa, lokajczyk Iwaś, Sońka Obarówna...

HELENA

Zapomnij, Wiko!

WINCENTY

Jakże o nich mógłbym zapomnieć, droga? Przeciwnie, wszystko sobie przypominam w spokoju serca. Niegdyś, za ślicznych dni dzieciństwa, w tym naszym prastarym kościele przed niedzielnym nabożeństwem stawał kościelny Łukasz z kropielnicą miedzianą, pełną wody święconej. Stary, wysoki, zawiedły, surowy człowiek – Łukasz. Ksiądz intonował psalm...

*Odwraca się twarzą do widzów i, wsparty na szczudle, uroczyście mówi:*

„*Asperges me, Domine, hysopo et mundabor. Lavabis me et super nivem dealbabor*”.

Te słowa znaczą... Posłuchaj:

„Pokropisz mię hyzopem i będę czysty.

Obmyjesz mię i ponad śnieg bielszy się stanę...”

Te same słowa śpiewają idący za trumną tego, co już umarł. Czy słyszysz, czy czujesz zamkniętą w tych przenajświętszych wyrazach ostatnią radość serca, które jest przebite na śmierć i radości już innej nie zazna, najwyższe szczęście, jakie może być w sercu człowieka ponad niezgruntowanymi wodami boleści...

*Wyciąga rękę z błaganiem w kierunku dalekiego przestworu, mówiąc:*

„Pokropisz mię hyzopem i będę czysty.

Obmyjesz mię i ponad śnieg bielszy się stanę...”

HELENA

*stojąc przed nim z pochyloną głową i rękoma przyciśniętymi do piersi*

„...ponad śnieg bielszy się stanę...”

WINCENTY

Patrz, jak na tym cmentarnym pagórku lśni już słońce poranne.

HELENA

Może i oni po nocy się budzą...

WINCENTY

Tam jest rzeczywisty nasz dom, dwór dostojny, który nam już odjęty nie będzie. Władanie nasze rozległymi dobrami – doczesne było i niesprawiedliwe. Powążyliśmy się posiadać ziemię. A oto teraz – patrz – ona nas, ta czarna ziemia, posiadać będzie.

*z uśmiechem*

Ale i ci, co nam tę ziemię odebrać postanowili i z kolei nazywać ją swoją własną – jak my – przejdą pod jej czarne władanie.

*śmieje się*

I oni niedługo panować będą i niedaleko naprzód zabiegną.

HELENA

Posępne mi myśli mówisz, Wicusiu.

WINCENTY

Tylko gruby wasz śmiech rozumiecie jako wesołość. Nie znacie niebiańskiej radości. Jedną prawdę wesołą ci powiem. Jedyłą i już prawdziwą formą własności, która nam odjętą być nie może ani przez przemoc żelaznej siły oręza, ani przez przemoc jakiegokolwiek doktryny ludzkiej – jest to miłość nasza do tej ziemi, do wspomnień – do kraju naszego dzieciństwa, do świętego obrazu rodzicielskiego domu, który jest wewnętrzną naszą kaplicą.

HELENA

I miłość nasza ulega zaćmieniu. Przeistacza się w formy nie znane nam za szczęśliwych dni dzieciństwa, staje się czymś strasznym i okrutnym.

WINCENTY

Tak. Co innego dziś kocham w Łuży, a co innego dawniej kochałem. Lecz miłość moja trwa...

*Za sceną słyhać gwar licznego tłumu, kroki. Śmiechy, okrzyki.*

HELENA

Co to jest? O, Boże! Co to jest?  
*wygląda oknem*  
Ludzie tu idą. Ludzie idą! Wielki tłum!

WINCENTY

Bądź spokojna! Bądź spokojna! Musimy być mężni. Wszakże jesteś pod opieką żołnierza.

HELENA

Żołnierza! Czyż oni uszanują w tobie żołnierza!  
*Gwar się wzmaga i zbliża. Za oknem ukazują się i znikają twarze mężczyzn i kobiet. Gadają, śmieją się i krążą wokoło domu liczni ludzie.*  
Oni tu już są! Za chwilę tu wtargną!

WINCENTY

Toż to są nasi chłopci, Heleno. Niechże wejdą i rozpoczną z nami rozmowę. Pogadamy.

HELENA

*wyjrzała oknem*  
Mama! Matkę twoją prowadzą... O, Boże! Ciągną ją, wloką!...  
*patrzy jeszcze raz*  
Ach!

WINCENTY

Przykryj mię! Przykryj... Żeby nie od razu spostrzegła...

*Helena okrywa jego nogi chustką i uciętą rękę owija chustką w taki sposób, żeby nie było widać kalectwa. Drzwi się gwałtownie otwierają i, pchnięta przez tłum, wchodzi Rudomska. Suknie na niej są potargane i powalane, włosy w nieładzie. Za rozwartymi drzwiami widać krzykliwy tłum ludzi w świtkach i wełniakach. Tłum ten przewala się i kotłuje. Raz w raz ktoś zagląda do pokoju.*

RUDOMSKA

*spostrzega Wincentego*

Mój synek! Mój jedyny!

*rzuca się ku niemu, pada przy sofie na kolana i obejmuje Wincentego rękami*

Wiko!

*spostrzega szczudło*

Co to jest? Czyj to kij! Twój?

WINCENTY

Cicho, cicho! Mów, bili cię? Kto cię uderzył? Masz włosy potargane. Wlekli cię po ziemi?

RUDOMSKA

*Przesuwa po nim ręką. Zrywa chustkę. Widzi urwaną rękę i urwaną nogę. Stoi bez ruchu, z chustką w ręku. Kiwa głową. Z cicha jęczy.*

Rozumiem.

WINCENTY

Kto cię uderzył?

RUDOMSKA

*wskazując palcem miejsce przy drzwiach, szeptem*

To tamto? Wtedy...

WINCENTY

*potakując głową*

Tak.

RUDOMSKA

To na wojnie? Prawda?

WINCENTY

Powiem ci wszystko...

*Joachim wchodzi i zamyka drzwi przed ludźmi, którzy się pchają do pokoju*

HELENA

*do Joachima*

Gdzieście spotkali panią?



JOACHIM  
Na drodze.

HELENA  
Patrzcie! Śmieli ją szarpać! Bili ją!

JOACHIM  
No, szła sama bez pola. Tam ją ludzie zobaczyli. Po co było samej w pola wychodzić? Zaczęły ją tarmosić.

HELENA  
Tarmosić... Za co?

JOACHIM  
*ze złością*  
No, za cóż! Za to, że pani.

HELENA  
*z uniesieniem*  
Czemuście nie bronili?!

JOACHIM  
A cóż ja mam za racyją jeden was bronić? Niewiele teraz kogo obroni przed rozezłoszczonym narodem. Przywlekli ją do wsi... No, tom ją tam wyprosił. Zajadłych-em odegnał. Czego ode mnie chcecie? Sami się brońcie, jako umiecie! Ja za was gardła dawał nie będę!

HELENA  
Joachim... To jest Joachim...

JOACHIM  
*twardo*  
Skończyło się wasze jaśniepańskie panowanie.  
*Rudomska, która nie widzi i nie słyszy, co się dzieje dokoła, zapatrzona wciąż w Wincentego, ujmuje w ręce jego szczudło, podnosi je w obydwu rękach i coś niewyraźnego szepce nad tą laską.*

WINCENTY  
Powie ci teraz... Słuchaj!

RUDOMSKA

Jać już wszystko wiem.

WINCENTY

Tego nie wiesz, że już teraz jesteśmy nareszcie razem. Jak wtedy, przed powodzią.

RUDOMSKA

*powtarza bezmyślnie*

Co mówisz? Jak wtedy przed powodzią... Nie rozumiem...

WINCENTY

Czegóż się smucisz? Dobrze nam teraz będzie, gdy pospłacamy nasze zobowiązania... Jak na nas przyszało.

RUDOMSKA

Zbyt ciężkie teraz, synku, mam względem ciebie zobowiązania. Teraz nie starczy mi już sił do cierpień...

*Krzyk za drzwiami wzmaga się. Kogoś z radością witają zbiorowym wrzaskiem.*

HELENA

Słyszycie te okrzyki? Słyszycie? Wiko, czy słyszysz?

WINCENTY

*odrywając się z niechęcią od rozmowy z matką*

Kto tak krzyczy?

HELENA

*patrzac przez okno*

Joachimie! Joachimie! Ratuj!

WINCENTY

Czego się ty tak boisz?

JOACHIM

*posepnie*

Wojsko przyszło.

WINCENTY

Co za wojsko?

JOACHIM

Nasze wojsko. Bolszewickie.

HELENA

O, Boże!

JOACHIM

*z cicha głosem doradczym, ale nakazując z surowością*

Teraz już nic, jeno pokornie, pokornie! A wszystko, bez łgarstwa. Samą jeno prawdą!

WINCENTY

*do matki i Heleny*

Niczego się nie obawiajcie. Mam broń. Będę was bronił.

RUDOMSKA

*podnosząc głowę*

Ty nas będziesz bronił...

WINCENTY

Nie darmo przecie w srogich bitwach uczestniczył, żeby się w rodzinnym domu dał pokonać. Nie przeraża mnie tłum tutejszych wieśniaków ani wojsko. Ufajcie memu ramieniu.

JOACHIM

No, teraz ja już o niczym nie wiem.

*z ironią*

Widział kto? Bronić się będzie! Chwat na jednej nodze i z jednym kikutem.

RUDOMSKA

Czymże ty się obronisz, mój maleńki?

*Wincenty wydobywa lewą ręką z kieszeni rewolwer browning i naboje. Z drugiej kieszeni w bluzie z trudem wyciąga drugi rewolwer i naboje.*

WINCENTY

Starczy tych strzałów do obrony naszego życia. Jeżeli mię kto napadnie w tym domu, położy się trupem na tym progu. Bezkarnie nikt krzywdy nam nie wyrządzi.

JOACHIM

A ja bym wam po dobroci radził tę broń zaraz pokazać i oddać, jak tylko tu wojsko wejdzie. Nic tu nie wywojujecie. Na mnie zaś nie liczcie. Ja za was nie głupi ginąć!

WINCENTY

Dobrze mówisz. Idź sobie. My sami będziemy ginąć za siebie.

JOACHIM

Ja wam na zdradzie nie stoję. Sami wiecie. Ale swoje życie to sam muszę cenić. Nie wiecie wy, czym to pachnie.

RUDOMSKA

Idź... Tyś mię obronił, gdym z lasu wyszła i baby na mnie napadły. Idź z Bogiem...

JOACHIM

No... Sami sobie będę gotujecie.

*Wychodzi.*

RUDOMSKA

*chwyta rewolwer, który Wincenty chwilowo położył na sofie*

Ten ja wezmę.

*nabija rewolwer*

WINCENTY

*ze złością*

Zostaw to! Oddaj! Ja sam!

RUDOMSKA

W jednej ręce obudwu rewolwerów nie utrzymasz. Poczekaj, ja cię wyręcę. Strzelać umiem nie gorzej od ciebie. Sam wiesz...

HELENA

Na miłość boską! Schowajmy te rewolwery.

RUDOMSKA

Już nabite.

HELENA

Miał rację Joachim. Czyście oszaleli! Wiko! Co ty robisz! W dziedzińcu wojsko bolszewickie wśród tłumu chłopów.

RUDOMSKA

*nabija drugi rewolwer*

I ten nabity.

HELENA

Rozniosą nas na sztuki, gdy broń znajdą. Przecież im nie możemy dać rady.

WINCENTY

Ale też nie możemy dać się zarzynać jak barany.

RUDOMSKA

Będziemy się jakoś po staremu bronili.

HELENA

Mamo! Mamo!

RUDOMSKA

Może ci ludzie zechcą z nami po ludzku rozmawiać. Wówczas będziemy z nimi po ludzku mówili. A jeśli na nas napadną jak wilki, będziemy się bronili jak wilki.

HELENA

*usiłuje pochwycić rewolwer z rąk Wincentego*

Ja jestem wśród was... najmłodsza i najsilniejsza. Mnie dajcie...

WINCENTY

Zaraz, zaraz... Poczekaj. Nie zdołamy przemóc tłumu, rozjuszonego przeciwko nam, ani uzbrojonych żołnierzy, to pewna, jeżeli będą mieli, oprócz broni i przewagi liczebnej, słuszną zasadę do napaści na nas. Lecz możemy i powinniśmy wydrzeć im z rąk tę zasadę napaści.

RUDOMSKA

Mów prędko, co masz na myśli.

WINCENTY

Zanim tu wejdą i staną przed nami, musimy stać się nietykalnymi...

RUDOMSKA

Jakże to? Mów!

WINCENTY

Musimy być nie niżsi od nich, lecz wyżsi.

RUDOMSKA  
Prosto powiedz!

HELENA  
Ja rozumiem! Ja go już pojęłam! To jest nasza jedyna i prawdziwa obrona.

WINCENTY  
Musimy w pełni i w całej rozciągłości osiąść tę zasadę, w której imię oni zamierzają z nami walczyć. Musimy im z rąk tę broń wydrzeć.

RUDOMSKA  
Jakże to? O czym wy mi mówicie?

HELENA  
Musimy ich broń wydrzeć im z rąk. Wówczas się staną bezsilni.

RUDOMSKA  
Spieszcie się! Słyszycie ich dziką radość?

WINCENTY  
Matko! Ty i ja, wobec tego nieskazitelnego i wiarogodnego świadka, Heleny, dobrowolnie, bez przymusu i świadomie, wyrzekamy się ziem, któreśmy po przodkach odziedziczyli, któreśmy nazywali swoimi, i oddajemy te dobra tutejszemu ludowi.

RUDOMSKA  
*śmieje się*  
O, słodki mój marzycielu!

WINCENTY  
Wolisz, ażeby ci te dobra przemocą, gwałtem, zbrodniami razem z życiem wydarli?

RUDOMSKA  
Nie dam dobra, które przez ojców zostało zdobyte, przez moją własną przemyślność rozumu i pracę powiększone. Komu to mam oddać? Temu tam motłochowi?

WINCENTY  
Musisz!

RUDOMSKA

Jeżeli mię do tego siłą przymuszają, obłudnie ulegnę przed przemocą. Lecz z dobrej woli, w sumieniu swym, nigdy Łuży się nie wyrzeknę. To jest moja ziemia,

HELENA

Wiko już jej posiadać nie chce. Komuż ją mama odda?

RUDOMSKA

On nie chce Łuży posiadać...

WINCENTY

Nie chcę.

RUDOMSKA

*bezsilnie*

Nie mam już na ciebie środka przymusu. Drugi raz już cię karać za nieposłuszeństwo nie będę, tak jak wtedy. Wiko nie chce być panem! Świat w istocie oszalał.

HELENA

Zatrząś się cały w posiadach i z wnętrza swego zgniliznę na wierzch wyrzucił.

WINCENTY

Nie dość jest dźwigać kamienie na pomnik Olelkowicza, ażeby spełnić dzieło pokuty. Nie dość jest rozrzucać po ziemi krew, rękę, nogę... Należy nam spełnić akt pokuty czynnej za wszystko, cośmy kiedykolwiek wykonali złego.

RUDOMSKA

Wszystko przeciwko mnie...

WINCENTY

Musimy hasło tych, którzy na nas idą, przewyższyć naszą wewnętrzną reformą. Stać nas na to!

RUDOMSKA

Nie rozumiem już twojej mowy. To jeszcze rozumię mój stary rozum.  
*podnosi rewolwer i kieruje go we drzwi wejściowe*

Jeżeli napastnik dobija się do mego domu, włamuje się w me drzwi, trupem go kładę na progu.

WINCENTY

Każesz i mnie ginąć tak, jak chcesz zginąć sama.

RUDOMSKA

A więc zostawcie mnie samą. Dam sobie radę.

WINCENTY

Teraz już, matko, nic nas nie rozdzieli. Musimy iść razem, zwyciężyć lub zginąć razem.

RUDOMSKA

*w zamyśleniu*

Moje przekleństwo urwało ci rękę, urwało nogę, zepsuło mowę. Czyż myślisz, że to mogę przeżyć? Nieszczęście spadło na moją głowę. Muszę wygnać ze siebie poczucie tego nieszczęścia, zgryzotę moją nie do przeżycia. Zginęłabym z męczarni.

*Troskliwie okrywa chustką jego nogi. Helena korzysta z chwili, gdy Rudomska położyła na stole rewolwer, chwyta go, rozgląda się po pokoju, gdzie by go ukryć. Spostrzega szafę biblioteczną, otwiera ją i między książki wsuwa rewolwer oraz naboje. Zamyka na klucz drzwi szafy i klucz rzuca w popiół komina. W tej samej chwili gwałtownie otwierają się drzwi i wchodzi Oficer bolszewicki na czele sześciu żołnierzy z karabinami w rękę.*

OFICER

*rozglądając się*

Wy tu – kto jesteście?

RUDOMSKA

My jesteśmy tutejsi. Właściciele.

OFICER

A... „właściciele”... Ty, stara „właścicielko”, jak się nazywasz?

RUDOMSKA

Rudomska.

OFICER

*wskazując na Helenę*

A ta?

HELENA

Moje nazwisko – Helena Strzemińczykówna.



OFICER

Helena i oprócz tego dużo świszczących spółgłosek. No, a ten?

RUDOMSKA

To jest mój syn, Rudomski.

OFICER

A czemuż to on leży, gdy ja z nim mówię?

RUDOMSKA

On jest chory.

OFICER

*przypatrując się Wincentemu*

Co to on ma na sobie za ubranie? Co to jest na nim? Jakiś mundur.

WINCENTY

To jest stary mundur.

OFICER

Ktoś ty taki?

*do żołnierzy*

Podnieść go!

*Żołnierze zbliżają się do sofy i grubiańsko zdzierają chustkę. Podnoszą Wincentego. Gdy usiadł na sofie i spuścił na ziemię nogę, żołnierze mimo woli odstepują o krok, wyprostowują się i przybierają pozycję do oddania honorów wojskowych.*

*A! Mam honor powitać... Pan Polak... Oficer...  
z szyderstwem  
armii polskiej...*

WINCENTY

Tak jest.

OFICER

Kontrewolucjonista w tym gniazdku zacisznym, pod chustką matczyną.

WINCENTY

Z czegoż pan wnioskujesz, że kontrewolucjonista? Z chustki matczynej?

OFICER

Z tego, że kontrrewolucjonistami jesteście wszyscy, wy „właściciele”, panowie... Zaraz się przekonamy.

*do żołnierzy*

Rewizja w całym domu! Od piwnicy do poddasza! Towarzyszy ze wsi wpuścić do dworu. Niech rewidują!

*do Wincentego*

Ty jesteś aresztowany.

WINCENTY

Nigdzie już stąd nie pójde. Nie wyjde za próg tego domu.

OFICER

Jeszcze jedno takie słówko – i pójdziesz niedaleko – tylko pod płot za progiem tego domu – żebyś się bardzo nie sfatygował.

WINCENTY

Mnie, w istocie, trudno jest chodzić, zwłaszcza daleko, wojaku uzbrojony, który zwyciężasz kobiety i inwalidów wojennych. Nie oszczędzaj sobie tryumfów.

OFICER

Tyś zwyciężał przez całe twoje życie bezsilnych, chorych i kalekich, w ciągu długich lat na mocy twojego zbrodniczego prawa. Władza twoja przeminęła. Teraz lud tobą włada.

WINCENTY

Nie lud, tylko tyrania garstki karierowiczów.

OFICER

Milcz! Twoja kalectwo nie imponuje nikomu, polski panku! Jeszcze słowo i każę cię postawić pod płotem. Ani zipniesz!

WINCENTY

Pewnie że tak. Nie oszczędzaj sobie rozkoszy mordowania bez sądu, sługo zbójeckiej tyranii.

OFICER

*skonsternowany*

Nie jestem sługą tyranii, lecz wykonawcą obrony praw ludu.

WINCENTY

Ja niczego innego od ciebie nie żądam, tylko tego, żeby lud sam ze mną rozmawiał i sądził mię, jeżeli winien. Ja się z tym ludem z dawna znam, gdy ciebie tu nie było.

*Podczas tej całej rozmowy w otwartych drzwiach i w oknie ukazują się raz w raz głowy mieszkańców wsi okolicznych, mężczyzn i kobiet. W całym domu za wszystkimi drzwiami słychać wciąż gwar, rumor, krzyki i śpiewy.*

GŁOS ZA OKNEM

To ten, panicz z Łuży, co wyrwał stawidła i zatopił Sońkę Obarównę.

DRUGI GŁOS

To ten sam!

TRZECI

Patrzcie, patrzcie!

PIERWSZY

Widzicie go! To ten, co siedzi.

DRUGI

Bić tego złodzieja!

TRZECI

Pod płot!

*Krzyk coraz bardziej wzrasta, przechodzi w bezładny tumult.*

OFICER

*przysłuchuje się*

Słyszysz, polski paniczu? Właśnie lud cię wzywa. Chce, żebym cię pod płotem postawił, bez sądu. Takie było twoje tutaj życie.

WINCENTY

Twój sąd czy wykonanie morderstwa bez sądu – to widać jedno i to samo.

OFICER

Nie mój sąd, lecz sąd proletariatu, którego dyktatura się zaczęła.

*Rozmowa ta toczy się na tle rozgwaru i krzyków złorzeczących. Do jednego z żołnierzy:*

Uciszcie towarzyszków! Niech przetrząsają cały dom. Zaraz rozpocznie się rewizja w tym pokoju. Powiedźcie, że ci „właściciele” są pod naszą silną strażą. Skoro tylko coś się znajdzie, postąpimy z nimi według sprawiedliwości.

*Żołnierz wychodzi. Wrzawa stopniowo zmniejsza się i przycicha. Gdy żołnierz wrócił:*

Zrewidować ten pokój.

*Żołnierze obok drzwi ustawiają karabiny i zaczynają rewidować sprzęty. Otwierają szuflady, przewracają meble. Jeden z nich szarpie i wywala drzwi szafy bibliotecznej. Oficer zbliża się do tej szafy, bierze do ręki rozmaite książki, przerzuca kartki i ciska tomy na podłogę.*

Wszystko miazga burżuazyjna, gnój.

*do żołnierzy*

Zimno tu. Napalcie, towarzysze, tym paliwem w kominie.

*Kopie nogą wyrzucone książki ku środkowi pokoju, w kierunku komina. Żołnierze chwytają je i rzucają w czeluść komina, układając duży stos. Jeden podpala i rozdmuchuje płomień. Oficer dorzuca wciąż oburącz na stos oprawne w skórę tomy, stare dokumenty, pergaminy, zwoje papierów starych. Ogień poczyna się żarzyć wśród stosu książek i dokumentów.*

ŻOŁNIERZ

Już się pali, towarzyszu.

OFICER

*do Wincentego*

Wszystko to pospołu z wami musi zniknąć, spłonąć w naszym ogniu. Nie potrzebujemy ani waszej wiedzy, ani waszej sztuki, ani waszych dokumentów. Stworzymy sami nową naukę, nową sztukę i nowe dokumenty.

WINCENTY

Nawet historyczne, takie jak te oto, barbarzyńco.

OFICER

Historia waszych barbarzyństw i zbrodni jest nam niepotrzebna, chyba dla ich oświetlenia.

*Ignis sanat.*

*do żołnierza*

Dmuchać, towarzyszu!

*Wincenty z głową podpartą na ręce przypatruje się dymowi i płomieniom, które ogarniają dokumenty rodzinne. Rudomska przechadza się po pokoju. Helena płacze.*

OFICER

*wyrzucając jednym zamachem całą półkę książek na ziemię, natrafia na rewolwer i naboje. Rewolwer wypada na ziemię.*

A!

*podnosi rewolwer*

Do kogóż to z was należy ta sztuczka, gołąbki moje?

WINCENTY

Widzisz przecie, że to mój browning.

HELENA

Ja go w tej szafie położyłam.

RUDOMSKA

To moja broń. Część mojego uzbrojenia.

OFICER

Więc wszyscy troje do niej się przyznajecie?

RUDOMSKA

*wyjmuje z kieszeni drugi rewolwer*

Widzisz, dowódcu, że to część mojego arsenału. Nie wierz tym dzieciom. Chcieliby mnie ocalić, przyznając się do posiadania tej części.

*w oczach oficera przygotowuje rewolwer do strzału*

Patrz, mój syn swą jedyną lewą ręką nie mógłby tego zrobić, co ja robię z całą wprawą. Strzelać umiem, w lasach tutejszych wychowana, stara szlachcianka.

OFICER

Zobaczymy, wilczyco. Oddaj to z dobrej woli!

RUDOMSKA

Nienawidzę waszej chamskiej rewolucji, waszego proletariatu i rządu Żydów!

OFICER

Bardzo dobrze, rzymska matrono. Mów śmiało!

RUDOMSKA

Pogardzam waszymi hasłami i władzy waszej nigdy nie uznam!

OFICER

*do Wincentego*

Oto prawdziwy wyraz waszych haseł i zasad!

RUDOMSKA

Jestem kontrrewolucjonistka i buntownica. Ale tylko ja jedna w tym domu. To – wasi współwyznawcy, ten młody człowiek i ta dziewczica.

OFICER

Dzielna damo! Pierwszy raz zdarza mi się słyszeć głos tak prawdziwy. Zawsze się wypierają zasad burżuazyjnych, a ty je głosisz.

RUDOMSKA

Będę zawsze przeciwko waszemu wojsku spiskowała i zwalczała wasze plugawe panowanie.

OFICER

Tylko w myśli i niezbyt długo.

RUDOMSKA

Precz z mego domu! Nie waż się do mnie podchodzić blisko, bo ci w łeb strzelę jak psu, i każdemu z twoich zbirów!

WINCENTY

*do Oficera*

Widzisz sam, że to kobieta szalona. Nie walczysz chyba z ludźmi obłąkanymi.

RUDOMSKA

O, dziecko! Nigdy nie byłam trzeźwiejsza niż dziś. Ja teraz trzeźwo rachuję, mój mały Wiko, mój synku. Za ciebie i za siebie ja teraz trzeźwo rachuję. Patrzę w swe życie, w twe życie od końca do końca i widzę, że powiedziałam szczerą prawdę.

WINCENTY

Matko! Matko!

RUDOMSKA

*sekretnie*

Nie mogę ci być dłużna, mój mały, nie mogę. W sercu mi się coś zepsuło, gdym cię zobaczyła bez ręki i bez nogi. Już nie mogę! Niech ta sama ślepa siła, jakkolwiek się nazywa, wojna czy rewolucja, odgryzie mi ręce i nogi, zagasi wzrok i odejmie słuch, która moje przekleństwo spełniła. Nie mogę ci być dłużną, mój mały Wiko... Nie mogę. Już mi się chce spać na moich rodzinnych śmieciach, w mojej ojcowskiej ziemi.

*do Oficera*

Precz stąd, z mojego domu, sprzed mojego pańskiego oblicza!

OFICER

*śmieje się*

Oszalała babina...

RUDOMSKA

To czyń swoje, kanalio!

OFICER

*ponuro*

Nasza wzniosła i niezwyciężona w swej prawdzie rewolucja nie walczy z szalonymi. Ona walczy tylko ze zdrową na umyśle wrogą siłą.

RUDOMSKA

Wy, którzy synom każecie kopać doły mogilne dla matek, a matkom – podpisywać wyroki śmierci na synów. Wy, którzy się lubujecie w męczeństwie bezbronnych, którzy zgładzacie dzieci i torturujecie kobiety! Chamie! Znieważam cię! W tobie znieważam waszą wojskową tyranię!

OFICER

Aresztuję was wszystkich troje za posiadanie broni.

WINCENTY

Nie waż się dotykać nikogo z nas!

OFICER

Mam dowód, że jesteście buntownikami.

WINCENTY

Jesteśmy polscy obywatele.

OFICER

Nie znam obywateli polskich na obszarze Rzeczypospolitej Proletariackiej.

WINCENTY

Wysłuchaj się dobrze. Za borami, za lasami usłyszysz gwar. To Polska z mogiły wstała. To ona, wielki i wzniosły wasz wróg, święty Jerzy, który wewnętrzną świętością, cnotą i potęgą poraził was smoka wiekuistej waszej moskiewskiej tyranii. Trwóźcie się, barbarzyńcy! W naszych osobach znieważacie wielki naród!

OFICER

Nie rozumiem wcale tego, co mówisz, przechwalający się Lachu. W każdej minucie zniszczyć was mogę. Ale zanim zginiecie, winniście wiedzieć, że giniecie zasłużenie.

*do Wincentego*

Ty śmiesz podnosić zuchwale słowo przeciwko temu błogosławionemu przewrotowi, który jarzmo tysięcy lat obalił na ziemi?

WINCENTY

Stare jarzmo skruszyliście, a nałożyliście na ludzi tysiąckroć gorsze i cięższe. Polska jedynie na ostrzu swej włóczni niesie wolność i błogosławiony przewrót na dobre ludom i ludziom uciemiężonym.

*Oficer daje znak żołnierzom i ci zacierają do Wincentego, żeby go pochwycić.*

RUDOMSKA

*do Oficera*

Nie ważcie się dotykać go! Odstąpcie!

OFICER

Bierzcie go, towarzysze!

*Rudomska strzela i kładzie trupem Oficera, który stał najbliżej Wincentego. Oficer pada i umiera. Żołnierze, wszyscy wraz, rzucają się na Rudomską, wydierają jej rewolwer i związują w tył ręce. We drzwiach wejściowych i w oknie ukazują się twarze chłopów i kobiet wiejskich. Ujrzawszy, że Rudomska jest związana przez żołnierzy, tłum wydaje radosny krzyk.*

GŁOS TŁUMU

Towarzysze! Dajcie ją nam! Już my z nią poradzimy sobie! Dajcie ją nam, towarzysze!

DRUGI

Ona nasza!

TRZECI

Nasza „pani”!

CZWARTY

Dziedziczka!

PIERWSZY

Jakie to tutaj pańskie komnaty!

TRZECI

Jakie skarby!

PIERWSZY

Dawajcie ją!



TRZECI

Wieszać ją!

PIERWSZY

Tutaj!

CZWARTY

Któraż to jest ta wasza „pani”?

PIERWSZY

Toż ta, stara.

DRUGI

Odpuście ją nam, towarzysze!  
*Żołnierze zmierzają ku drzwiom.*

WINCENTY

*z rozpaczą do Heleny*

Oto, coście sprawiły, odbierając mi broń! Jestem bezbronny! Jestem bezsilny!

STARSZY ŻOŁNIERZ

*do pięciu innych*

Tę starą natychmiast pod płot i rozstrzelać. Marsz, towarzysze!  
*Żołnierze z Rudomską wychodzą.*

RUDOMSKA

*z głębi tłumu*

Wiko, syneczku mój, odpuść mi, odpuść mi...

STARSZY ŻOŁNIERZ

*nad trupem Oficera*

Żegnaj, towarzyszu!

WINCENTY

*do Starszego Żołnierza*

Słuchaj, jeśli masz w sobie iskrę sumienia... Sam widziałeś...

STARSZY ŻOŁNIERZ

Milcz i czekaj!

*Wincenty wstaje, ujmuje swe szczudło i chce ruszyć ku drzwiom. Żołnierz wydobywa z kie-*

*szeni rewolwer. Zanim go podniósł, Wincenty opiera się prawym bokiem o róg sofy, ujmuje swe szczudło pod prawe ramię kikutem uciętej ręki i rzuca się na żołnierza, uderzając go szczudłem w piersi. Żołnierz, uderzony zniemacka, upadł na ziemię. Wincenty na swym szczudle przez trup Oficera i przez powalonego żołnierza idzie ku drzwiom. Starszy Żołnierz dźwiga się.*

Towarzysze! Towarzysze! Do broni!

HELENA

*rzuca się do drzwi, wybiega na zewnątrz. Słysząc jej głos za sceną*

*Ludzie! Wysłuchajcie mnie! Wysłuchajcie mnie! Ludzie! Ludzie! Ludzie!*

*Rozlega się nieomal jednogłośny strzał pięciu karabinów. Radosny wrzask tłumu.*

WINCENTY

*we drzwiach*

*Matko! Matko!*

*Prawym ramieniem opiera się o futrynę drzwi. Widać wracających pięciu żołnierzy.*

ŻOŁNIERZ

*do Starszego Żołnierza*

*Wykonano według rozkazu, towarzyszu!*

STARSZY ŻOŁNIERZ

*z ziemi*

*Bierzcie go!*

*Wincenty, opierając się prawym ramieniem o ścianę i róg komina, chwyta swe szczudło lewą ręką i z wysoka nastawia je przeciwko karabinom żołnierzy, którzy go osaczają z trzech stron.*

KONIEC AKTU OSTATNIEGO

**UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA...**

## OSOBY

SMUGOŃ, nauczyciel wiejski

DOROTA, jego żona

Księżniczka CELINA SIENIAWIANKA

BĘCZKOWSKI, administrator

PRZEŁĘCKI, docent fizyki

WILKOSZ, historyk

CIEKOCKI, lingwista

RADOSTOWIEC, geolog

MAŁOWIESKI, botanik

KLENIEWICZ, antropolog

BUKAŃSKI, geograf

ZABRZEZIŃSKI, historyk sztuki

## AKT PIERWSZY

*Duża izba szkoły wiejskiej. Z prawej strony sceny szereg prostych, długich ławek, uchodzący w kulisę. Z lewej strony na małym podwyższeniu stolik i krzesło, stanowiące „katedrę” szkoły. – Ciekocki, Kleniewicz i Smugon. Smugon raz w raz wygląda przez okno.*

CIEKOCKI

A, jest i „dziatwa”... Specjalnie sprowadzona, nieprawdaż? Pewnie będą śpiewać...

SMUGOŃ

*z ukłonem*

Tylko jedną piosenkę... Bo tylko tę jedną naprawdę dobrze umięją.

KLENIEWICZ

Hymn na cześć księżniczki... Co? Pan pewnie mówi do niej – „wasza książęca mość”. Przyznaj no się pan, panie Smugon...

SMUGOŃ

Panowie profesorowie pozwolą mi odejść...

KLENIEWICZ

Zaraz... chcieliśmy zapytać pana o tę waszą księżniczkę...  
*do Ciekockiego*

Ale-ale, znawco mowy ludzkiej, jak mam mówić: panie Smugon czy panie Smugoniu?

CIEKOCKI

Mów, jak ci serce dyktuje. Najlepiej, żebyś mocniej trzymał język za zębami.  
*z cicha*

Za dużo mówisz...  
*wskazuje oczyma na Smugonia*  
przy tym...

SMUGOŃ

*z przejęciem*

Księżniczka nasza nigdy, przenigdy nie pozwoliłaby mówić do siebie w taki sposób.

KLENIEWICZ

Demokratka – co? A może boi się jakiej srogiej kary, bo przecie nasze...  
*złośliwie*  
demokratyczne prawa zabroniły tytułów?

CIEKOCKI  
*niecierpliwie*  
Dowcipki!

KLENIEWICZ

Mówię co złego? Pytam się pana Smugonia. Mam czas, więc się chcę oświecić. Gdybym nie miał czasu, tobym pana Smugonia nie nagabywał.

SMUGOŃ

Panowie profesorowie pozwolą... Właśnie słyszę... Dzieci się gromadzą...  
*Słyszać za sceną gwar dziecięcy. Smugon wychodzi.*

CIEKOCKI

*do Kleniewicza*  
Gdzież są koledzy?

KLENIEWICZ

Radostowiec, Małowieski, Wilkosz i tamci byli przed szkołą.

CIEKOCKI

*ziewając*

Wilkosz grupuje fakty w cykle. Zabrzeziński przestępuje z nogi na nogę, czekając na doniosłość wydarzeń.

KLENIEWICZ

Każą mi czekać na przyjazd okolicznej potentatki. Nie po tom tu ściagnął, żeby czynić honory takiej damie. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty.

CIEKOCKI

Przełęcki kazał, mój drogi. – Przełęcki!

KLENIEWICZ

No tak, Przełęcki. – Przełęcki!

CIEKOCKI

I cóż? Siedziałbyś teraz w izbie i wciągał nozdrzami zapach najbardziej rodzimy domowego ogniska albo huśtałbyś się kędyś na żerdzi pod cudzym żytem, a może nawet pod jęczmieniem. Siedzisz tutaj...  
*uszczypliwie*

w moim towarzystwie. Nie udawaj, nie udawaj, proszę cię, notoryczny chłopie z chłopów, że nie jesteś ciekawy tej tam księżniczki.

KLENIEWICZ

O mały włos drgawek nie dostanę z ciekawości. Ale... Ta nasza Smugoniowa dała mi od niechcienia do zrozumienia, że przyjaźni się z ową księżniczką.

CIEKOCKI

Przyjaźni się z księżniczką... *tiens*. A ona tam jest przed szkołą?

KLENIEWICZ

Kto?

CIEKOCKI

Ta, mówię, Smugoniowa...

KLENIEWICZ

Jest, Jasieniu, jest. Ale ty sobie po próżnicy złotej główki Smugoniową nie zaprzataj. Najprzód – to nie pasuje, żeby tu oczy przewracać. To sobie wyperswaduj. W mieście możesz, a tu, uważasz, panie profesorze – nie. Zrozumiano?

CIEKOCKI

Te piękne, łagodne, powabne, pociągające oczy, rzeczywiście smugoniowate, umieszczasz w budżecie swoich wakacyjnych przyjemności? To należy do dziedziny twojej antropologii?... Powiedz no mi, Antoś.

KLENIEWICZ

Mój kochany... Oczy ma ładne i cała jest śliczności... Ale co z tego? Żebyś ty był albo żebym ja był podobny do tego Przełęckiego, toby tam może i spojrzała w naszą stronę. Teraz to patrzy na mnie, a widzi Przełęckiego, żeby stał za nią z tyłu, z boku, a nawet za drzwiami.

CIEKOCKI

Robicie z Przełęckiego jakiegoś bożka, Apollina.

KLENIEWICZ

Ty Apollina, bracie, nie przypominasz ani *en jace*, ani z profilu.

CIEKOCKI

Nie mam pretensji.

KLENIEWICZ

Słusznie... Niekoniecznie znowu trzeba być Apollinem, żeby mieć jakie takie powodzenie...

CIEKOCKI

Chcesz się czymś pochwalić?

KLENIEWICZ

Pochwalić, nie pochwalić, ale mogę ci opowiedzieć, jeżeliś ciekawy.

CIEKOCKI

No?

KLENIEWICZ

Jakśmy byli w Krasnojarsku i powstawało z nas, austriackich poddanych i z Polaków rozpadającej się armii rosyjskiej, wojsko polskie, zdarzyło mi się, wiesz, mieszkać u jednej rodziny...

CIEKOCKI

Śpiesz się, uważasz, z wyluszczeniem perypetyj romansu, bo...  
*wygląda oknem*  
wszyscy tutaj idą.

KLENIEWICZ

*ze złością*

Zawsze, skoro tylko zacznę co ciekawego opowiadać, ktoś idzie, wchodzi, przyjeżdża, odjeżdża, wychodzi... Do diabła! Nie będę gadał!

CIEKOCKI

Ależ mów, tylko że idą. To tylko chciałem...

KLENIEWICZ

*urazony*

Mogę nie mówić. Nic mi na tym nie zależy...

CIEKOCKI

Złą chwilę zawsze wybierasz, Kleniewicz. Wybieraj dobre chwile do swych przechwałek.

KLENIEWICZ

Nie puszczam się na przechwałki. Zresztą, nic ci nie mam do powiedzenia.



CIEKOCKI

To masz coś do powiedzenia, to nie masz...

KLENIEWICZ

*zirytowany*

Daj mi święty pokój!

CIEKOCKI

Ano – trudno, zmuszać cię przecie nie będę do opowieści...

*wygląda oknem*

Księżniczka, księżniczka... Wielkie słowo, a to jest po prostu, mój antropologu, podstarzałe pudełeczko... Idą tutaj... Przełęcki peroruje...

*Dzieci ze szkoły wiejskiej śpiewają zgodnym chórem pierwszą strofkę piosenki „Uciekla mi przepióreczka w proso...”. Wchodzą – Wilkosz, Radostowiec i Małowieskt.*

KLENIEWICZ

*z ironią*

Panowie profesorowie przyjęli już jaśnie pannę?...

RADOSTOWIEC

Komedia! Słowo daję, że komedia...

ZABRZEZIŃSKI

Każą nam, profesorom uniwersytetu, ludziom poważnym, witać jakąś tutejszą arystokratyczną znakomitość, jak gumiennym, ekonomom i fernalom z jej majątku.

WILKOSZ

Mogliście, koledzy, oprzeć się, nie pójść. Dlaczegożście poszli?

RADOSTOWIEC

Dlaczegośmy poszli? Przełęcki kazał, więc poszliśmy.

CIEKOCKI

„Przełęcki kazał”... Nie rozumiem! My z Kleniewiczem nie poszliśmy tam wcale, i kwita! Cóż mnie mogą obchodzić życzenia albo rozkazy Przełęckiego!

*Smu goń wszedł, czegoś szuka na sali i znowu wyszedł.*

KLENIEWICZ

W ogóle nie podoba mi się to burmistrzowanie Przełęckiego. Przybiera tony jakiegoś nad nami rektora czy dziekana.

CIEKOCKI

Nie chciałem mówić przy tym nauczycielu, Smugoniu. Trzeba rozmówić się otwarcie, szczerze z Przełęckim.

KLENIEWICZ

Niech sobie sam skacze koło tej panny. A my co?

WILKOSZ

Ależ koledzy zapominają, dlaczego on skacze...

RADOSTOWIEC

Nie zapominamy o niczym, ale niech też i Przełęcki raczy pamiętać, kim jesteśmy.

ZABRZEZIŃSKI

I kim sam jest.

WILKOSZ

Nie robi przecie tych p r y s i u d ó w dla osobistego ani poziomego celu.

RADOSTOWIEC

Niech sobie sam robi!

ZABRZEZIŃSKI

Tymczasem on najwyraźniej „rozkazał”, powtarzam, „rozkazał” i mnie, i Radostowcowi, i naszemu historykowi, no i wam...

*do Kleniewicza i Ciekockiego*

że mamy tę pannę po prostu emablować, puścić w ruch najordynarniejszą karotę...

WILKOSZ

Koledzy raczą zwrócić uwagę... Cel jest niemały!...

*Wchodzi księżniczka Celina Sieniawianka, panna w pewnym wieku. Za nią idzie Smugoń i Przełęcki.*

KSIEŻNICZKA

*spostrzega profesorów*

Ach, może przeszkadzamy!... Przepraszam.

PRZEŁĘCKI

Pozwoli pani przedstawić sobie nasze „ciało”.

*Daje znaki profesorom, żeby podeszli bliżej. Ci podchodzą ociągając się.*

Oto nasz geolog, doktor Radostowiec, o którym tyle...

RADOSTOWIEC

*do Przełęckiego*

Co „tyle”?

*Kłania się Księżniczce, ona uprzejmie podaje mu rękę.*

PRZEŁĘCKI

Przewraca kamienie, pastwiska, podorywki, a szczególnie wzgórza całej okolicy. Przynajmniej chce przewrócić wszystkie ustalone o niej pojęcia tutejsze.

KSIĘŻNICZKA

Niestety, jesteśmy tutaj tak zacofani, że nawet ustalonych pojęć w tej dziedzinie wcale nie posiadamy.

SMUGOŃ

*z cicha*

Sami nie wiemy, co posiadamy.

KSIĘŻNICZKA

Właśnie, właśnie!

RADOSTOWIEC

Nie sędzę, łaskawa pani, żeby tak źle było z tą okolicą. Co do moich przewrotów, to mieszkańcy mogą być spokojni. Wszystko zostanie na miejscu – kamienie, pastwiska, podorywki.

KSIĘŻNICZKA

A gdzież jest nasza kochana gospodyni, pani Smugoniowa? Bez niej jak bez słońca.

SMUGOŃ

Zajęta jest jeszcze wyprawianiem dziatwy. Zaraz tu będzie.

PRZEŁĘCKI

*pociąga Małowieskiego*

Doktor Józef Małowieski, botanik.

*Księżniczka wita się z Małowieskim.*

Doktor Kleniewicz, antropolog.

*Ciekocki podchodzi do Księżniczki i przedstawia się.*

CIEKOCKI

Jestem doktor filozofii Ciekocki, nauczyciel gramatyki.

KSIEŻNICZKA

*uprzejmie*

Jakże jestem szczęśliwa poznając panów, witając panów w tej szkole...  
*Wchodzi profesor Bukański.*

PRZEŁĘCKI

Jeszcze tylko trzech z serii najciężej uczonych.  
*wskazuje*

Doktor Wilkosz, nasz sławny historyk...

KSIEŻNICZKA

*z cicha*

Aa...

PRZEŁĘCKI

...który tyle narobił rumoru swymi odkryciami. Doktor Wilkosz, wróg osobisty Czarnka z Jankowa czy Janka z Czarnkowa... Czy to nie jest, zaprawdę, szczyt, zenit nauki, wykazać takiemu z Czarnkowa, który już ze czterysta lat leży sobie na cmentarzu, w którym miejscu skłamał, a nawet dlaczego? Tamten w grobie przewraca się ze wstydu, ale za to prawda tryumfuje.

WILKOSZ

*wita się z Księżniczką*

Ostrożnie, ostrożnie, hołdowniku Einsteina.

PRZEŁĘCKI

Proszę pani, ci panowie, rozpuszczający plotki o przeszłości albo demaskujący plotki plotkarzy sprzed stu i dwustu lat, radzi by coś złośliwego powiedzieć także o Einsteinie. Ale – przykrótki języczek! Pozwoli pani... właśnie... geograf Bukański.

*Bukański kłania się.*

A to doktor Zabrzeziński... niestety... historyk sztuki.

ZABRZEZIŃSKI

*z uśmiechem*

Do usług.

PRZEŁĘCKI

On to właśnie „odkrył” Porębiany.

KSIEŻNICZKA

Ach, więc to panu profesorowi zawdzięczamy te szczegóły o naszej kochanej ruinie, te prawdziwe rewelacje, które mi w krótkości powtórzył właśnie profesor Edward.

ZABRZEZIŃSKI

Pewnie wszystko poprzekręcał według swej zasady względności. Porębiany same mówią za siebie każdym złomem ciosu, każdą skarpią, sklepieniem, kształtem okna. Przepyszny zamek!

PRZEŁĘCKI

I taki oto zamek – w ruinie. O, losy, losy!  
*Wchodzi Smugoniowa.*

KSIEŻNICZKA

A, jest nasza pani Dorotka.

SMUGONIOWA

*wesoło*

Jestem.

PRZEŁĘCKI

No to może byśmy usiedli. Wprawdzie nie ma na czym...

SMUGOŃ

Zaraz, zaraz! Przyniosę krzesła od siebie.  
*Wybiega. Profesorowie Wilkosz, Zabrzeziński, Radostowiec jeden przez drugiego zdejmują krzesło z katedry. Wilkosz podaje krzesło Księżniczce.*

KSIEŻNICZKA

*najuprzejmiej*

Dziękuję. Moglibyśmy tutaj w ławkach usiąść. Doprawdy, wstydzę się zabierać to miejsce.

WILKOSZ

W ławkach... A tak, że to w szkole. Przed chwilą siedzieli tutaj nauczyciele ludowi, nasi słuchacze...

KSIEŻNICZKA

Właśnie to pragnęłam zobaczyć i usłyszeć, choćby przez szparkę we drzwiach.

SMUGONIOWA

Czemuż to przez szparkę? Nasza droga księżniczka tyle opieki roztacza nad tą szkołą, że jako honorowej opiekunce należy jej się honorowy udział w kursach.

KSIĘŻNICZKA

Pani Smugoniowa po przyjacielsku wywyższa moje zasługi wobec panów profesorów – i to tak szczerze, że gotowi pomyśleć...

SMUGONIOWA

Wywyższam? Broń Boże! Rząd ani w części nie może łożyć na to wszystko, co w szkole posiadamy. Wszystko to mamy od księżniczki. Przecież to prawda.  
*Smugon przynosi trzy krzesła. Zebrani siadają na krzesłach i na ławkach szkolnych.*

SMUGOŃ

Śmiało można powiedzieć, że drugiej takiej szkoły w Polsce nie ma. A wszystko to dzięki naszej księżniczce. Sprzęty, pomoce szkolne, biblioteka, opał, remont budynku, nie mówiąc już...

SMUGONIOWA

Każda choinka, każde święta...

KSIĘŻNICZKA

Chciałam dowiedzieć się czegoś nowego, a państwo obydwójce częstują mnie dawno znanymi szczegółami...

PRZEŁĘCKI

Nowego! Oczywiście! Nowego! „Dalej z posad, bryło świata, nowymi cię pchniemy tory”!

RADOSTOWIEC

*do Zabrzezińskiego*

Zaczyna się robota.

ZABRZEZIŃSKI

*do Radostowca*

A niech odstawia swoją sztukę. Mogę posłuchać.

KSIĘŻNICZKA

Więc w tym roku kurs wykładów dla nauczycieli ludowych trwać będzie tak samo jak w zeszłym – pięć tygodni?

PRZEŁĘCKI

Pięć tygodni i oha! – jak tutaj mówi się o długich drogach. Prawda, Ciekocki, że tak się mówi?

CIEKOCKI

Mów, jak ci serce dyktuje.

KSIĘŻNICZKA

Ciekawa jestem, czy też w tym roku ilość słuchaczy powiększyła się?

PRZEŁĘCKI

Bardzo. Musieliśmy ograniczyć ilość przyjętych.

SMUGONIOWA

Zgłoszeń mieliśmy ogrom.

SMUGOŃ

Z całej naszej prowincji koledzy pośpieszyli ze zgłoszeniami.

PRZEŁĘCKI

Gdzieżbyśmy mogli pomieścić tylu ludzi?

SMUGONIOWA

Teraz mieszczą się w chłopskich izbach, jak mogą. Ale wieś jest literalnie przepelniona.

KSIĘŻNICZKA

Jakie to jest doniosłe zjawisko! Jakie to piękne dzieło!

PRZEŁĘCKI

Tak...

KSIĘŻNICZKA

Mój Boże! Ileż można zrobić – po prostu – ot, z niczego! Rzecz znakomita, utkana z zapalu. Już zeszłoroczne rezultaty kursu były olśniewające, a oto w tym roku sprawa tak się rozwija.

PRZEŁĘCKI

*cicho, ale tak, że wszyscy słyszą*

Mamy takich prelegentów jak nasi znakomici profesorowie. Przecież to jest elita! Kamień by zaczął słuchać, gdyby miał uszy, paskarz by się roztkliwił.

KSIEŻNICZKA

Chciał pan profesor powiedzieć: tak zwana księżniczka wzruszyłaby się i przejęła entuzjazmem...

SMUGOŃ

*zgorszony*

Jakże można! Cóż za porównanie!

PRZEŁĘCKI

Prawdę mówię, choć mi to niełatwo przychodzi w oczy kolegów chwalić...

CIEKOCKI

Niepotrzebnie się kolega tak fatyguje. My jesteśmy ludzie niewdzięczni.

PRZEŁĘCKI

Z własnej chęci nigdy się nie zagłębiałem w arkana gramatyki. Wyznaję ze wstydem i skruchą, że dla mnie przyimek i przysłówek to było niemal to samo. Jednego dnia byłem tutaj w sieni, gdy się odbywał wykład profesora Ciekockiego. Drzwi były otwarte. Profesor opowiadał właśnie nauczycielom o zaimku.

CIEKOCKI

Proszę cię, panie doktorze Przełęcki! Co to ma do rzeczy?

KLENIEWICZ

W istocie...

PRZEŁĘCKI

Zaraz. Mam w tej chwili głos, a jeszcze nie skończyłem.

CIEKOCKI

Nie rozumiem... I doprawdy!...

PRZEŁĘCKI

Jakże się nasz językoznawca zaczął unosić nad tym szczęściem, nad tym darem losu, że my oto posiadamy zaimek! Jakże nie zacznie wychwalać tego zaimka za to, że nie potrzebujemy powtarzać dziesięć albo i sto razy tego samego rzeczownika, ale możemy go chytrze zamienić zaimkiem! Jakże nie zacznie wychwalać tych rozmaitych zaimków za ich zasługi!

CIEKOCKI

To jest dowcipne – prawda? To dowcipne?



PRZEŁĘCKI

Zstał z tej oto katedry, wszedł między nauczycieli i przejął ich takim szalem uwielbienia najprzód dla zaimków jakichś osobowych, później dla zwrotnych, a gdy doszedł do dzierzawczych, słuchacze szaleli gromadnie ze szczęścia. O mało nie płakali całym tłumem wraz ze swym mistrzem...

SMUGONIOWA

Pan profesor Przełęcki tak to dziwnie tutaj przedstawił... Tymczasem pan profesor Ciekocki budzi rzeczywiście zachwyty swymi wykładami pospolitej, nieefektywnej gramatyki.

CIEKOCKI

*kłania się Smugoniowej*

Pani!

SMUGONIOWA

Jest to właściwie wykład wiedzy o naszym języku. To, czego by nikt nie dokonał, osiągnął właśnie nasz profesor Ciekocki: pobudził nauczycieli ludowych do studiów samodzielnych, do pracy nad mową...

SMUGOŃ

*z zapalem*

Cóż dopiero, gdy przychodzą wykłady i dyskusje o gwarze tutejszej i gwarach innych!...

CIEKOCKI

*do Przełęckiego*

Czy to ja mam ci się wywdzięczyć kontr-odą na cześć twoich wykładów, znakomity fizyku, o ostatnich figlach i sztuczkiach, o różnych tam telefonach bez drutu, fotografiach na odległość, o relatywizmie...

PRZEŁĘCKI

Nie teraz! Kontr-oda nie teraz. W przyszłości. Wydam w tej sprawie specjalne orędzie.

WILKOSZ

*z cicha*

Co prawda – jeszcze ci słuchacze nie bardzo się otrząskali z systemem starego Kopernika, aż ci tu wali się na nich ów relatywizm...

PRZEŁĘCKI

Niestety! Niestety! Nie mam tutaj laboratorium, nie mam najprostszych, najzwyczajniejszych narzędzi. Jestem ubogi w przyrządy jak Kopernik albo jak Galileusz.

ZABRZEZIŃSKI

Chciałeś kolega powiedzieć: jak Galicjanin?...

PRZEŁĘCKI

Nie, chciałem w skromności swej powiedzieć: jak Galileusz.

ZABRZEZIŃSKI

Jesteś kolega za skromny. To niezdrowo.

WILKOSZ

Do dzieła, koledzy! Do dzieła!

PRZEŁĘCKI

„Do dzieła” – powiada nasz dziejopis. Dobrze!

KSIĘŻNICZKA

Ułatwię panom początek, który jest zawsze i wszędzie najtrudniejszy. Chodzi o zamek, o Porebiany?

PRZEŁĘCKI

O Porebiany, złota księżniczko! O Porebiany.

KSIĘŻNICZKA

A więc – do dzieła!

PRZEŁĘCKI

Nasz znakomity historyk Wilkosz ma głos.

WILKOSZ

„Wilkosz ma głos”... Tak. Głos. Cóż to chciałem powiedzieć? Prastare gniazdo. Mocny Boże – Porebiany! Kolega Zabrzeziński badał ruinę po swojemu, ze znanstwem, którego mu śmiertelny wróg nie odmówi. Zapewnia nas o czternastym wieku...

ZABRZEZIŃSKI

Tak, to murowana prawda. Mówią ją fundamenty i skarpy zamczyska.

WILKOSZ

Nie o to chodzi! Nie o to! Ja wam dam, jeśli chcecie, tysiące dowodów, że na miejscu tych murowanych ścian i skarp stało gniazdo o dwa wieki starsze.

ZABRZEZIŃSKI

Tego nie wiem. To do mnie nie należy.

WILKOSZ

Porębiany – toż to jest dworzyszczce, leśny zamek tego wisusa i – żal się Boże! – biskupa, Pawła z Przemankowa.

PRZEŁĘCKI

Ciekawe: biskupa a zarazem wisusa.

WILKOSZ

Wiadoma rzecz. Nie o tym mowa. Ależ co za postać, co za figura, co za przepyszny pan owych czasów! Zjeżdża do tego uroczyska w olbrzymiej, niezbrodzonej puszczy, otoczony szczerwaczami, strzelcami, siłaczami leśnymi, walecznym ludem myśliwców na niedźwiedzie, na wilki, na losie, otoczony zgrają pochlebców, błaznów, wesolków, śpiewaków oraz mniej ciekawym towarzystwem przyjaciółek...

PRZEŁĘCKI

Paweł z Przemankowa! Świetny egzemplarz tamtych czasów, niestety, minionych. Kolega Zabrzeziński ma głos.

WILKOSZ

Jeżeli się przypatrzeć tym czasom, wmyśleć się, wgryźć w tamte obyczaje... Zobaczyć ich tutaj wśród puszczy szumiącej, na łowach dzikich jak owe knieje, wśród uczt, podczas hula-tyk niesłychanych...

PRZEŁĘCKI

*grzecznie*

Przepraszam... Właśnie kolega Zabrzeziński...

WILKOSZ

A... Kolega Zabrzeziński... Proszę, proszę...

ZABRZEZIŃSKI

Porębiany – przepyszna, olbrzymia, kazimierzowska skorupa! Na dziesięć mil wokoło wi- dać ją jak na dłoni. Każde dziecko z najodleglejszych wsi wskazuje paluszką na wyniosłą górę i ten dziwaczny, poszczerbiony, groźny szczyt i mówi: oto są Porębiany. To siedlisko nietoperzy, sów i jaszczurek...

PRZEŁĘCKI

Doskonale powiedziane: siedlisko nietoperzy, sów i jaszczurek... To właśnie!

SMUGONIOWA

Widok z narożnej kwadratowej baszty nie da się z niczym porównać! Cały kraj pod nogami: lasy, rzeki, miasteczka, wsie... Zdaje się, że jeśli wzrok natężyć, toby się Warszawę zobaczyło...

KLENIEWICZ

*do Smugoniowej*

A czyż pani spoglądała kiedy na kraj ze szczytu tej wieży?

SMUGONIOWA

Nieraz. My tutaj mamy tak mało rozrywek...

KLENIEWICZ

Że trzeba dorabiać je sobie na zasadzie teorii – nieprawdopodobieństwa. Współczuję pani.

SMUGONIOWA

Pan profesor ma dobre serce.

WILKOSZ

*do Księżniczki*

To wielkie szczęście, pani, posiadać Porębiany.

KSIĘŻNICZKA

Shczęście? Posiadanie nie jest szczęściem. Właściwie – dopiero uświadomienie sobie ogromu braków jest jakąś postacią posiadania. Ja tyle razy błąkałam się po ruinie Porębian, patrzyłam na nie – i nic w nich nie widziałam nadzwyczajnego. Ot – ruina. Miejsce do samotnych rozmyślań. Dopiero teraz dowiaduję się, czym one są w istocie.

MAŁOWIESKI

Doskonale to pani ujęła. Zrozumienie wartości jest dopiero bogactwem. My tu wszyscy jesteśmy takimi właśnie magnatami. Widzimy w tym starym zamczysku skarb bez ceny, ponieważ go nie posiadamy. A pani nic w nim nie dostrzega?

KSIĘŻNICZKA

Przeciwnie, dostrzegam. Teraz dostrzegam. Od czasu gdy wysłuchałam w mieście szeregu odczytów profesora Przełęckiego o regionalizmie, o konieczności organizowania nauczycielskich kursów wakacyjnych, oczy mi się otworzyły.

KLENIEWICZ

A więc o cóż chodzi? Mówmy otwarcie. Jesteśmy ludźmi jednego ducha. Gdyby nasz zespół, pracujący tutaj w lecie z tak dobrym rezultatem, posiadał ten stary, nieużyteczny zamek – gdybyśmy się mogli tam roztasować...

PRZEŁĘCKI

Przedo wszystkim – tam zmieściliby się wszyscy nauczyciele ludowi naszej prowincji...  
Mogliby mieć w porze letniej za darmo pomieszczenie i noclegowisko podczas kursu.

SMUGOŃ

A – znakomicie, w tych dolnych salach! Znakomicie!

RADOSTOWIEC

W jednej z mnóstwa tych pustych jam, a z czasem, kiedyś – sal, założyłoby się laboratorium i muzeum geologiczne tej okolicy. Ludzie zwiedzający nauczyliby się patrzeć na rzeczy, rozumieć te bezcenne wartości, po których depcą bezmyślnie albo które niszczą jak Wandale.

MAŁOWIESKI

Oczywiście. Bez wielkiego trudu mógłbym w sąsiedniej sali urządzić stację naukową botaniczną, nawet praktycznie rolniczą, wystawę stałą okazów i wzorów...

KLENIEWICZ

Małą jakąś izdebkę dla antropologa! Małą, najgorszą, choćby w tej narożnej kwadratowej wieży, gdzie pani Smugoniowa chodzi marzyć o Warszawie.

SMUGONIOWA

Ja nie marzę o Warszawie!

PRZEŁĘCKI

Będzie, będzie! Wszystko będzie. Następny! Doktor Ciekocki ma głos.

CIEKOCKI

Nie wymagam wiele. Ale muszę mieć widną salę do ustawienia skrzynek z katalogami gwarowymi tej ziemi. Od tego nasz regionalizm musi zacząć. W tejże sali, właśnie w tejże sali, nie gdzieś tam, na jakimś piętrze, chcę prowadzić wykłady i rozmowy ze słuchaczami, których do rzeczy zapalę. Moja z nimi nauka musi polegać na wykładzie metody zbierania, na umiejętnym i planowym sposobie...

PRZEŁĘCKI

Wiem, naturalnie, ależ tak! Na sposobie zbierania gadania...

CIEKOCKI

Przepraszam. Muszę wyjaśnić...

PRZEŁĘCKI

Przepraszam, ale mówi sam Wilkosz. No, historyk i geograf nic osobnego nie dostaną! Do sali bibliotecznej! Tę salę sobie fundniemy, zabierając z okolicy bez pardonu, co tam gdzie jeszcze gnije po strychach, po lamusach i starych dzwonnicach.

WILKOSZ

Akurat! Zaraz, zaraz! Nie tak znowu obcesowo. Jeżeli o tym mowa, to tutaj właśnie, dla tej okolicy powinny być zostawione w celu ich wystawienia w specjalnych gablotach akty i dyplomaty, które się jej tyczą. Nic tak nie zachęca obywatela do czci, do studiów przeszłości jak widok prastarego zabytku z jego okolicy rodzimej.

ZABRZEZIŃSKI

To jest prawda.

PRZEŁĘCKI

Kolega Zabrzeziński otrzyma wszystkie wolne, widne korytarze...

ZABRZEZIŃSKI

Co takiego? Korytarze?!

PRZEŁĘCKI

Tam porozwiesza swe widoki, przekroje, rzuty co najwilgotniejszych piwnic, ruder i ułomków... No, kto jeszcze?...

SMUGONIOWA

Jeszcze pan profesor.

PRZEŁĘCKI

Jeszcze ja. Otóż – nie żądam ci ja wiele, ale biorę poniekąd wszystko. Taki jest mój los fizyczny.

KLENIEWICZ

Niezły los.

PRZEŁĘCKI

Potrzebuję, o humaniści – piwnic na urządzenie sejsmografów i wież na stacje meteorologiczne. Będę z tych wież wystawiał czerwone latarnie świetlne, zwiastujące we żniwa burze. Czarna kula w czerwonej latarni będzie zwiastowała burzę gradową. Będę dawał znaki świetlne na słońce i pogodę, widzialne na pięć, sześć mil wokoło.

CIEKOCKI

Na pięć mil – *tiens!*

PRZEŁĘCKI

Jeżeli funduszów starczy, a myślę, że na to starczy, w największej sali...

KLENIEWICZ

A dlaczegożby funduszów nie miało starczyć? Także!

PRZEŁĘCKI

W największej sali urządzi się kinematograf naukowy, głównie przyrodniczy...

WILKOSZ

I historyczny!

BUKAŃSKI

*z hałasem wyskakuje*

I geograficzny!

PRZEŁĘCKI

Muszę przecie mieć gabinet fizyczny jako tako zaopatrzony, abym mógł słuchaczy z-  
znajomić...

WILKOSZ

Jednym słowem, zgarniamy z całej tej okolicy wszystko, co nasza wiedza uzna za wartość,  
wszystko, co na tej przestrzeni godne jest myśli – i wciągamy do zamczyska porębiańskiego.

PRZEŁĘCKI

A w zamian dajemy tejże okolicy ze starego rumowiska stokroć, tysiąckroć, milionkroć  
więcej, niż ta okolica nam dostarczy. Damy jej wszystko. Damy jej wiedzę o sobie i swym  
jestestwie.

WILKOSZ

Ktoś tu powiedział, że dzisiaj każde dziecko tej okolicy, patrząc na ruinę z odległości,  
mówi: to Porębiany! Za kilka lat każdy człowiek tych stron, nawet najuboższy duchem i cia-  
łem, będzie patrzył na widny w dali nasz zamek z najwyższym zaciekawieniem, z najgłębszą  
wdzięcznością. Co mówię? Z miłością. Będzie mówił: oto tam są nasze Porębiany!

KSIEŻNICZKA

A więc?

PRZEŁĘCKI

A więc?

KSIEŻNICZKA

Cóż ja mam począć? Czyliż po tym, co tutaj panowie mówili, ja jedna śmiałabym podnosić głos: to są moje Porębiany... Ale nie ma tutaj mojego administratora, a właściwie opiekuna od dzieciństwa, pana Bęczkowskiego. W sprawach majątkowych nic nie robię bez jego rady, a właściwie bez decyzji.

SMUGOŃ

Owszem, pan administrator jest we wsi, w kancelarii na leśnictwie.

KSIEŻNICZKA

A, jest pan Bęczkowski. To doskonale się składa. Trzeba go poprosić tutaj.

SMUGOŃ

Czy mogę pójść do pana administratora?

KSIEŻNICZKA

Proszę pana, bardzo proszę.

*Smugon wychodzi*

PRZEŁĘCKI

Zanim pan Bęczkowski postawi nam tutaj swe twarde *veto* – bo je pewnie postawi – czy pani sama, własną mocą i władzą...

KSIEŻNICZKA

Kujemy żelazo póki gorące. A więc tak! Ja, Celina Sieniawianka, daruję starą ruinę zamku zwanego Porębiany, który leży w granicach moich tutejszych folwarków, panu doktorowi Przełęckiemu.

KLENIEWICZ

Przełęckiemu?!

PRZEŁĘCKI

O, nie! Co to, to nie! Nie mnie, pani, lecz naszym kursom wakacyjnym.

WILKOSZ

Zespołowi profesorów i uczniów kursu wakacyjnego.



MAŁOWIESKI

Instytucji kursów wakacyjnych, która jest jednostką prawną i może darowizny otrzymywać.

CIEKOCKI

Mamy w statucie zawarowane prawo przyjmowania darowizn.

BUKAŃSKI

Oczywiście – instytucji kursów wakacyjnych.

ZABRZEZIŃSKI

Tak, tak, to jasne jak słońce.

KSIEŻNICZKA

Nie! Panu profesorowi Przełęckiemu. Kursy jednego roku mogą być, drugiego nie być, a pan profesor Przełęcki jest podwójnie jednostką fizyczną. On sam będzie miał rejentalnie zawarowane prawo uczynienia z tym darem, co będzie uważał za godziwe i stosowne.

KLENIEWICZ

Kursy są jednostką prawną...

WILKOSZ

Skoro ofiarodawczyni życzy sobie, to – proszę kolegów – o czymże tu rozprawiamy?

CIEKOCKI

Byłoby prościej, jaśniej, zrozumialej – wspanialej – kursom, ale, rzecz prosta, skoro taka wola...

KLENIEWICZ

Szkoda!

KSIEŻNICZKA

Czego szkoda?

KLENIEWICZ

Szkoda, że tak powiem, efektu...

KSIEŻNICZKA

Od pana profesora Przełęckiego dowiedziałam się przed rokiem o idei tych wykładów z jego publicznych prelekcji. On właściwie pierwszy w roku zeszłym wykłady tujejsze z nie-małym trudem organizował. Patrzyłam na to, więc jemu. Tylko tak, proszę panów, mogę się zrzec tego zamku.

*do Przełęckiego*

Czy zgoda, panie doktorze?

PRZEŁĘCKI

Będę dwukrotnie chadzał „w rejent”, bo ja przepiszę zaraz zamczysko na własność kursów.

KSIEŻNICZKA

To pan przepisze. Od dnia dzisiejszego, od tej oto godziny, pan profesor Przełęcki jest właścicielem ruiny, a także całego bezpłodnego, jałowcem porośłego wzgórza, na którym ruina stoi.

PRZEŁĘCKI

Róbże tu, co chcesz! A więc ni z tego, ni z owego jestem posiadaczem książęcego zamku, spadkobiercą praw Pawła z Przemankowa.

*Wszyscy kłaniają mu się żartobliwie. On przyjmuje hołd z komiczną powagą.*

Nie jestem wprawdzie biskupem, ale – zastrzegam sobie to prawo – mogę być wisusem. *Wchodzi Bęczkowski. Przeciera binokle, wkłada je na nos i przypatruje się zebrany. Wita się z profesorami podaniem ręki. Jedni znają go, inni przedstawiają się.*

KSIEŻNICZKA

*do Bęczkowskiego*

Panie Karolu, nawarzyłam tutaj piwa...

BĘCZKOWSKI

Oho!...

KSIEŻNICZKA

I drzę.

BĘCZKOWSKI

I ja zaczynam drzeć. Nie mam wcale pragnienia na to piwo.

WILKOSZ

W tujejszej szkole odbywają się podczas lata wykłady dla nauczycieli wiejskich. Wykładamy tutaj my, profesorowie uczelni wyższych. Zapewne zresztą pan dobrodziej wie.

BĘCZKOWSKI

O, wiem. Gdyby się nawet nie chciało wiedzieć, to każdy musi wiedzieć. Zawsze w łanie żyta lub pszenicy mam przyjemność, jadąc swymi drogami za swymi interesami, zarówno w przeszłym, jak i w tym roku, spostrzegać jeżeli nie słuchacza, to słuchaczkę, a częstokroć i słuchacza, i słuchaczkę, zbierających bławatki, kąkole oraz inne kwiaty do bukietów.

KSIEŻNICZKA

Dla ustrzeżenia naszej pszenicy na przyszłość od inwazji nauczycielskiej darowałam jednemu z profesorów, głównemu inicjatorowi inwazji oświatowców na naszą okolicę, naszą pocziwą ruinę, zamek Porębiany.

BĘCZKOWSKI

Zamek? Ruinę? Porębiany? Pani – zamek? Po cóż to, u Boga Ojca?!

KSIEŻNICZKA

Właśnie tam będą się odbywały wykłady.

BĘCZKOWSKI

Wykłady? W tej ruderze na jałowcowej górze?

PRZEŁĘCKI

Rudera, której jestem właścicielem, zamieni się na wspaniały gmach szkolny, gdy ją się wyrestauruje.

BĘCZKOWSKI

Wyrestauruje się zamek na górze? – Jezu miłosierny!

PRZEŁĘCKI

Panie! W dzisiejszych czasach, gdy taki brak pomieszczenia, trzymać w ruinie podobne mury, potężne ściany, których najstraszliwsze orkany zgryźć nie mogły, najdłuższe zimy rozwalić – te miliardy cegieł marnować, trzymać pustką ogromne wieże, sklepienia, sienie... To zbrodnia. Mówże, kolego Zabrzeziński!

ZABRZEZIŃSKI

Mówiłem już tutaj, że to zadziwiająca budowla. Czy państwo pamiętacie bok od strony jeziora? Tę istną skałę, wkopaną w górę? Gdyby tak dziś spróbować wznieść taką ścianę – co? A ta ściana, istne dzieło cyklopów, stoi i stać będzie do końca świata.

BĘCZKOWSKI

*ponuro*

Pytam się, kto ma restaurować zburzony zamek?  
*Powszechne, grobowe milczenie.*

KLENIEWICZ

Rzecz charakterystyczna... Kiedy byliśmy w Krasnojarsku, ja jako oficer austriacki i dwudziestu moich kolegów, zdarzył się nam analogiczny wypadek...

PRZEŁĘCKI

*z cicha do Kleniewicza*

Analogiczny wypadek w Carskosławsku... Pewnie, pewnie.  
*ze złością*

Psujesz nam swą anegdotą interes. Czy nie widzisz, że dobijamy do brzegu?

KLENIEWICZ

*z cicha*

Chciałem pomóc, a ty mi głos odbierasz!

PRZEŁĘCKI

*z cicha*

No to mówże, co tam masz...

KLENIEWICZ

*z cicha*

Nie – mój kochany, w takich warunkach towarzyskich ani myślę mówić. Sam sobie rozprawia, ile się zmieści, a gdy ja zacznę, przerywa.

PRZEŁĘCKI

*z cicha*

Nie przerywam – mów!

KLENIEWICZ

*z cicha*

Pierwszym warunkiem grzeczności jest to, żeby nie przerywać mówcy.

BĘCZKOWSKI

Powtarzam pytanie i zwracam się

*zimno i sztywnie*

z tym kategoriowym pytaniem do ofiarodawczyni.

KSIEŻNICZKA

*pomieszana*

Nie chciałabym na tak kategoryczne pytanie dawać tutaj odpowiedzi. Zobaczy się.

BĘCZKOWSKI

Poczytuję za swój obowiązek uprzedzić panie i panów, że myśl o jakiegokolwiek restauracji części zamku wymagałaby kapitałów tak obrzymich, iż jest to po prostu senne marzenie.

KSIEŻNICZKA

Zobaczy się, panie Karolu, zobaczy się.

BĘCZKOWSKI

Dla mnie ta sprawa i dziś jest oczywista.

KSIEŻNICZKA

Panie Karolu!

BĘCZKOWSKI

*w podnieceniu*

Ależ tam przecie nad tą całą masą rumowia nie ma dachu! Czy panowie profesorowie mają zamiar *sub Jove* oświetać swych wyznawców?

RADOSTOWIEC

A nie! Skądże – *sub Jove*? Dach musi być. Jakże – bez dachu?

BĘCZKOWSKI

Otóż sam dach nad podobnie olbrzymim gmaszyskiem będzie kosztował tyle, że żadna dziś w Polsce siła finansowa temu nie podoła.

WILKOSZ

Żadna siła finansowa w Polsce nie podoła jednemu dachowi. Ciekawy okres historii. Za Kazimierza Wielkiego...

MAŁOWIESKI

Mnie się zdaje, że tak źle nie jest.

BĘCZKOWSKI

A ileż panowie profesorowie posiadają pieniędzy na wzniesienie choćby wiązania krokwi i pokrycia?

CIEKOCKI

My niby? Ile posiadamy pieniędzy? Ciekawe, ile też posiadamy?

BUKAŃSKI

Może byśmy się, koledzy, złożyli w samej rzeczy.

WILKOSZ

Owszem, trzeba ułożyć listę. Któż by się zajął? Może kolega Kleniewicz będzie łaskaw...

KLENIEWICZ

Dobrze. Ułożę zaraz listę.

MAŁOWIESKI

Bo znowu robi się wielkie gwałty z racji tego dachu. W ostateczności pokryje się papą.

BĘCZKOWSKI

A papę to już darmo się otrzymuje, na żądanie.

ZABRZEZIŃSKI

Dajcież znowu pokój z papą! Także pomysł! Zamek z czternastego wieku kryty papą! Darujcie, ale ja nie mógłbym nawet należeć do podobnego interesu.

BĘCZKOWSKI

Pan profesor ma najzupełniej słuszność. Tylko karpiówka – i to niedzisiejsza. Trzeba przeszukać stare gmachy, może by się gdzieś znalazło... Choćby też przyszło i zapłacić za odstąpienie...

ZABRZEZIŃSKI

Pan sobie z nas żartuje, a to tak jest właśnie. Tak by należało postąpić. Bo gdyby jaki człowiek świadomy rzeczy, jakiś, na przykład, cudzoziemiec zobaczył zamek średniowieczny pokryty papą, to przecież pękłby ze śmiechu.

PRZEŁĘCKI

Kto by tam, mój drogi, takiemu staremu i wysokiemu zamkowi w papę zaglądał? To jedno. A drugie: o czymże to tutaj tak się ogniście rozprawia? O moim zamku Porębiany?

SMUGONIOWA

Właśnie!

BĘCZKOWSKI

A te Porębiany to już jest pański zamek?

PRZEŁĘCKI

*przybrawszy pozę*

Tak, to jest mój zamek.

BĘCZKOWSKI

To już tam pan jako właściciel pomyśli o tym, jak naprawiać, łątać, podmurowywać, wyprawiać, tynkować mury i czym je kryć.

PRZEŁĘCKI

Oczywiście, pomyślę.

BĘCZKOWSKI

Chwała Bogu!

PRZEŁĘCKI

Wczoraj nie miałem nic. Dziś mam Porębiany. Za rok będziemy, wszyscy jak tu jesteśmy i wielu innych naszych kolegów, wykładać, nauczać, oświecać – już tam, na jałowcowej górze. Pana Bęczkowskiego, naszego dobrodzieja, uprosimy...

BĘCZKOWSKI

Mnie już panowie o nic nie uproszą. Wszystkiego odmawiam i odmówię. Jestem stróżem dobra księżniczki. Dobra księżniczki dały chyba niemało. Gdyby sprzedać kamień, cegłę – co mówię! – obrobiony cios, tam i sam płyty marmuru – kapitał!

WILKOSZ

Jawnie i publicznie żałuje pan teraz, że pierwiej tego zburzyszczca nie kazał rozebrać i na materiał spieniężyć.

BĘCZKOWSKI

Raczy pan profesor darować, ale moja to już rzecz, żałuję czy nie żałuję. Faktem jest, że panowie dostajecie olbrzymi kapitał.

PRZEŁĘCKI

Złoto ciągnie do złota. Dostaniemy więcej.

BĘCZKOWSKI

Skądże to?

PRZEŁĘCKI

Z tego samego skarbcza. Mająż dolary i funty gnić w jakimś zagranicznym banku zamiast przemieniać się tutaj na złoto wiecznie żywe? Cóż do was, chrześcijanie, mówi Tomasz z Akwinu?

BĘCZKOWSKI

*w pasji*

Dolary, funty... No, ja panów pożegnam...

SMUGOŃ

Pan administrator już nas opuszcza?...

BĘCZKOWSKI

Już panów opuszczam, gdyż jestem człowiek krewki i boję się, żeby mię krew nie zalała.  
*do Księżniczki*

Czy pani ma mi coś do rozkazania?

KSIĘŻNICZKA

Pan wie, że mu nigdy nic nie rozkazuję. Skądże? Pan robi wszystko dla mego dobra najmądrzej, najdoskonalej. Pan jest moim opiekunem od dzieciństwa...

BĘCZKOWSKI

Oo...

KSIĘŻNICZKA

Pan najlepiej strzeże i przysparza mi wszelkiego dobra. Ale, panie Karolu, musimy odrestaurować zamek.

*Wszyscy zamilkli pod wrażeniem tych słów.*

BĘCZKOWSKI

Czy to ja mam restaurować?

KSIĘŻNICZKA

Niech pan powie... Któż?

BĘCZKOWSKI

Pozwoli pani, że się oddalę.



KSIEŻNICZKA

Zaraz. W tej chwili. Nie będę nadużywała pańskiej dobroci.

BĘCZKOWSKI

Jestem do usług. Ale w istocie – to nad moje siły!

PRZEŁĘCKI

Powiedziałem, że dolary i funty, pleśniejące gdzieś tam, włożone w ten stary gmach...

BĘCZKOWSKI

Cudze dolary i funty.

PRZEŁĘCKI

Niestety, nie mam własnych, więc muszę wkładać cudze.

KSIEŻNICZKA

Panie Karolu! Czyż my, pan i ja, pan mój doradca i ja Sieniawianka – cóż począć? – księżniczka Sieniawianka, możemy podarować panom w sensie gmachu użyteczności publicznej – zbiorowiska gruzów, których burze nie zdołały pokonać, a deszcze rozmyć nie mogły?

BĘCZKOWSKI

Ja tym panom nic nie ofiarowywałem!

KSIEŻNICZKA

Ale ja samowładnie ofiarowałam Porebiany. Musimy oddać zamek jako budynek mieszkalny.

BĘCZKOWSKI

Doprawdy! Można oszaleć słysząc takie rzeczy.

WILKOSZ

Słoweczko!...

BĘCZKOWSKI

Czy jeszcze jakieś żądanie?

WILKOSZ

Nie, wyjaśnienie, usprawiedliwienie. Jestem historykiem. Z zawodu zajmuję się rozważaniem i przedstawianiem zjawisk życia takich jak wojny, rewolucje, rewolucje, rewolucje, rewolucje.

BĘCZKOWSKI

Tak, tak, rewolucje.

WILKOSZ

Na podstawie moich dociekań, rokowań i wniosków muszę tutaj – jak by to się wyrazić? – przepowiedzieć, że państwo, oddając kursom wakacyjnym ów odbudowany zamek, zrobicie znakomity interes.

BĘCZKOWSKI

Nieznany interes. Wygrana na loterii. Wierzę.

WILKOSZ

Gdyby się tak tutaj wydarzyła, w tej starej, prastarej dzielnicy – czego Boże broń! – rewolucja, przewrót, o co przecie w tych czasach nie tak znowu trudno, to najbardziej murowane interesy magnackie runą, rozsypią się, a Porębiany...

BĘCZKOWSKI

A Porębiany odbudowane – zostaną? Nie, panie profesorze! Wtedy, w tym czasie przewidywanej i prawdopodobnej rewolucji, pierwsze Porębiany padną ofiarą tłuszczy. One to będą przede wszystkim rozgrabione i złupione.

WILKOSZ

Wszystko przeminie, mocarstwa przeminą, a ten gmach z jego skarbem wewnętrznym nie przeminie. Chybaby go strąciło z góry trzęsienie ziemi, pożar albo inny kataklizm. Ale i kataklizm nasi przyrodnicy przewidzą...

BĘCZKOWSKI

Sprawa jest tego rodzaju, że nie kto inny, tylko ja jestem odpowiedzialny w tym ustroju społecznym za całość majątku księżniczki Sieniawianki. Tu zaś, w tym majątku, spostrzegam szczerbę tak olbrzymią...

KSIĘŻNICZKA

Stare hasło: zastaw się, a postaw się! Postawimy się, panie Karolu!

BĘCZKOWSKI

Jako administrator i opiekun, jeśli nie osoby, to majątku księżniczki Sieniawianki, którą, że tak powiem, na ręku wypiautowałem, uroczyście i głośno wobec wszystkich protestuję. Oto wszystko, co mam do powiedzenia.

PRZEŁĘCKI

Polecimy wyrzyć ten protest na marmurowej tablicy w głównej sieni naszego zamku Porębiany.

KSIEŻNICZKA

Ponieważ sprawa jest dokonana, a sam obiekt darowizny nie wszystkim może dokładnie znany – proponuję, abyśmy wszyscy udali się do zamczyska. Obejrzymy je dokładnie, zbadamy w szczegółach, zapoznamy się na miejscu z tą ruderą czy też z tą ideą.

WILKOSZ

Znakomity pomysł!

CIEKOCKI

Idziemy!

KSIEŻNICZKA

Nie idziemy, lecz jedziemy pod samą górę. Drogi pan Karol, nasz najmilszy złośnik i ostatni już z ostatnich głosicieli *liberum veto*, poleci Gilowi, żeby nam tutaj przed szkołę przysłał brek. Brek zabierze nas wszystkich.

*Bęczkowski wychodzi.*

PRZEŁĘCKI

Świetnie!

SMUGOŃ

Niech żyje księżniczka!

ZABRZEZIŃSKI

Niech żyje!

PRZEŁĘCKI

Proszę państwa – wszyscy jak tu jesteśmy, my, ludzie nowi, my najnowsi, my jutrzejsi, my przyszli, złożymy wizytę cieniem zamarłej oligarchii.

GŁOSY

Idziemy! Idziemy! Idziemy!

*Wszyscy wychodzą.*

## AKT DRUGI

*Ta sama izba szkolna. Smugoniowa sama. Wygląda oknem, przechodzi od okna do drzwi i znowu do okna. Nasłuchuje. Po pewnym czasie wchodzi Przełęcki.*

PRZEŁĘCKI

Dlaczego pani po mnie przysłała? Byliśmy już za wsią, gdy nas jadących w breku dogonił jakiś człowiek. Powiedział, że pani „kazała”, żebym koniecznie i niezwłocznie wrócił do szkoły. Dlaczegoż to? Wszyscy nas tam, nie wyłączając męża pani, posądzają o schadzkę.

SMUGONIOWA

*pokazuje*  
Telegram!

PRZEŁĘCKI

Do mnie?

SMUGONIOWA

Tak.

PRZEŁĘCKI

Co to za telegram? Od kogo?

SMUGONIOWA

Od ekscelencji.

PRZEŁĘCKI

Doprawdy? O cóż chodzi?

SMUGONIOWA

Upoważnił pan profesor mego męża i mnie do otwierania telegramów i listów w sprawie kursu. Więc otwarłam.

PRZEŁĘCKI

Ależ naturalnie!  
*czyta*

Więc przyjeżdża. I to dzisiaj. Słyszysz pani, pani Dorotko? Dzisiaj!

SMUGONIOWA

Przyniesiono ten telegram w jakie dziesięć minut po odjeździe państwa w tym breku. Kazałem temuż człowiekowi z poczty gonić brek i pana „prosić” o przybycie do szkoły. To on „prosić” przerobił na „kazać”.

PRZEŁĘCKI

Dobrze. Ale jak tu pogodzić wszystko? Dziś przyjeżdża.

SMUGONIOWA

Pociąg przychodzi za dwie godziny.

PRZEŁĘCKI

Byłbym może zdążył na zamek ze wszystkimi.

SMUGONIOWA

Nie. Już zamówiłam na wsi konie u Żareckiego, który ma najlepszą parę i najwygodniejszą bryczkę. Ten sam człowiek z poczty zamówił i przyniósł mi odpowiedź, że Żarecki pojedzie.

PRZEŁĘCKI

Znakomicie. Dziękuję pani. Będę musiał pojechać po jego ekscelencję.

SMUGONIOWA

Pan profesor pojedzie stąd za jakieś trzy kwadransy. Nie starczyłoby czasu na zwiedzenie zamku i powrót. Żarecki zajedzie tutaj przed szkołę. Na stację jedzie się niecałą godzinę. Zdaży pan w samą porę.

PRZEŁĘCKI

Doskonale. Dziękuję pani. Już to pani Dorota zawsze wszystko załatwi ponad wszelką pochwałę.

SMUGONIOWA

W tym wypadku obok obowiązków publicznych kierowały mną pobudki bardzo egoistycznej natury.

PRZEŁĘCKI

Egoistycznej? Doprawdy? Domyślam się.

SMUGONIOWA

Nie wiem, czy pan profesor trafnie się domyśla.

PRZEŁĘCKI

Coś mi się widzi, że ma pani jakieś plany, knuje pani jakowys zamach na nadciągającą ekscelencję. Proszę się przyznać. Ja jestem dobry do sekretu.

SMUGONIOWA

Nie. Nie mam żadnych planów sięgających tak wysoko.

PRZEŁĘCKI

Myślałem, że pani chce *stante pede*, a może i przy mojej pomocy, prosić tego dygnitarza o zmianę posady, o wyższe, lepsze miejsce dla siebie i męża.

SMUGONIOWA

To miejsce jest – dla mnie przynajmniej, i w tej chwili – najlepsze na świecie bożym.

PRZEŁĘCKI

Oto fenomenalna istota: zadowolona ze swego losu.

SMUGONIOWA

Nie powiedziałam wcale – z losu. Powiedziałam tylko: z miejsca pobytu.

PRZEŁĘCKI

Słusznie. To jest gruba różnica. Może mi się tutaj bardzo podobać, a jednak koła mojego wozu mogą się w tym miłym miejscu toczyć po grudzie.

SMUGONIOWA

Widzi pan profesor...

PRZEŁĘCKI

Ale wspomniała pani, że jakieś osobiste czy nawet egoistyczne pobudki wpłynęły na wezwanie mię tutaj.

SMUGONIOWA

Może osobiste, a może nie...

PRZEŁĘCKI

Cóż to może być? Zachodzę w głowę nadaremnie. Niechże piękna Dorota wyzna wreszcie, bo się spalę z ciekawości. A szczerze, szczerze!

SMUGONIOWA

Nie ma w tym nic tajemniczego. Chodzi o pana...

PRZEŁĘCKI

O mnie chodzi? Do licha?

SMUGONIOWA

Po prostu, po prostu...

PRZEŁĘCKI

Po prostu i śmiało!

SMUGONIOWA

Chciałam pana troszeczkę oderwać od jego zapalczącej wielbicielki.

PRZEŁĘCKI

Gdzie jest moja zapalcząca wielbicielka? Która to?

SMUGONIOWA

Udaje pan profesor. Udaje, że nie wie.

PRZEŁĘCKI

Pani! Pomimo mej skromności, znanej w kraju i za granicą, muszę wyznać właśnie w pokorze ducha, iż wielbicielek mam taki nadmiar, że *ma foi* – nie wiem...

SMUGONIOWA

Ależ księżniczka!

PRZEŁĘCKI

Ta księżniczka, tutejsza, powiatowa, a nawet, że tak powiem, gminna?

SMUGONIOWA

My gminiacy jedną tylko mamy.

PRZEŁĘCKI

Daruję mi pani przytwarde słóweczko, ale to są parafiańskie plotki o tej gminnej znakomitości.

SMUGONIOWA

Daruje pan profesor, ale to nie są plotki. Wiedzą sąsiadki, na kogo sąsiadka zerka, do kogo wzdycha za dnia i w nocy, a nawet dokąd zmierza.

PRZEŁĘCKI

Może ona sobie tam na kogo i zerka swym oczkiem podstarzałym i zaczerwienionym, ale zmierza, poczciwości, do dobrego.

SMUGONIOWA

Do dobrego – dla siebie.

PRZEŁĘCKI

E – niech no pani Dorotka da spokój! Co panią znowu ukąsiło! Czego? O co?

SMUGONIOWA

Pan profesor jest albo wielkie dziecko, albo wielki filut!

PRZEŁĘCKI

Jestem i dziecko niewinne, i filut nie lada jaki – a jednak tutaj nie wiem, co się święci. No, niechże już pani wszystko powie. Do reszty te ploteczki!

SMUGONIOWA

Księżniczka kocha się w panu. Ale – co to kocha się. Szaleje za panem.

PRZEŁĘCKI

Szaleje? W mojej obecności była zawsze, chwalić Boga, przytomna. A pani skądże wyszperała tę pewność, że ona tak „szaleje”?

SMUGONIOWA

Od niej samej.

PRZEŁĘCKI

Od niej samej! Przynajmniej źródło solidne.

SMUGONIOWA

A widzi pan!



PRZEŁĘCKI

I to tak jest w tym pięknym niewieścim świecie: skoro tylko jedna w kimś tam zakocha się „szalenie”, zaraz cwałuje do drugiej i opowiada jej pod największym sekretem, do ucha, wszystko od góry do dołu. A ta druga...

SMUGONIOWA

Nie jest to tak bezmyślne i tak groteskowe, jakby się z wierzchu wydawać mogło. Czasem w tych wywnętrzeniach jest przebiegłość nieopisana, chytryść zaiste diabelska i plan, plan na daleką zakreślony metę.

PRZEŁĘCKI

Et! Co tam może być za plan zakreślony na taką – żal się Boże – metę jako ja, w jednej osobie docent i fizyk?

SMUGONIOWA

A przecież władczyni tych włości, księżniczka, pani z panów, wydałaby się z rozkoszą za tegoż docenta.

PRZEŁĘCKI

Co za kpiny! Nie – tu już pani przegrała swą grę.

SMUGONIOWA

Ale majątek! Majątek!

PRZEŁĘCKI

A cóż to, ja jestem od tego, żebym administrował majątkiem takiej sympatycznej panny w pewnym wieku! Od tego jest ten Bęczkowski, kuty na cztery łapy! E, nie mam czasu na takie rozmówki. Dość tego!

SMUGONIOWA

Kiedym przed chwilą mówiła, że odwołując pana spod zamku na Porębianach miałam na oku cel osobisty, prawda była w tych słowach.

PRZEŁĘCKI

Jeszczem, co prawda, tej prawdy mymi krótkowzrocznymi oczyma nie dojrzałem.

SMUGONIOWA

Mój mały paluszek mi mówił, że tam właśnie nastąpiłyby były wyznania, a nawet oświadczenia.

PRZEŁĘCKI

Czyje oświadczyły?

SMUGONIOWA

Oświadczyły księżniczki o rękę pana.

PRZEŁĘCKI

Boże, daj mi cierpliwość!

SMUGONIOWA

Gdzieś tam, w narożnej baszcie, w jamie pustego okna, skąd roztacza się widok na rozległe, nieobjęte okiem dobra księżniczki, na folwarki, młyny, gorzelnie, fabrykę dachówek, fabrykę zapalek, na lasy, stawy, łąki – padłoby czarowne słowo. Wołałam, żeby to słowo nie zostało wymówione.

PRZEŁĘCKI

Proszę pani – słowo, gdyby nawet w sposób tak ekstraordynaryjny – czego nie przypuszczam wcale – zostało wymówione, nie wydałoby melodyjnego oddźwięku. Ja nie jestem do nabycia nawet za fabrykę zapalek. Niech mi pani po starej znajomości daruje to określenie, ale paniusia robi plociuchny o tej księżniczce.

SMUGONIOWA

Nie. Czy to słóweczko melodyjne nie zostało już nawet bąknięte?

PRZEŁĘCKI

No? Nie przypominam sobie.

SMUGONIOWA

Czemuż to panu księżniczka darowała zamek? Nie nam, nie całemu gremium, lecz panu jednemu? Nie chciała inaczej, tylko tak.

PRZEŁĘCKI

A wie pani, że to jest zastanawiające. Dlaczego ona mnie zapisała te Porębiany?

SMUGONIOWA

To była pierwsza sylaba tego słówka...

PRZEŁĘCKI

Przypuśćmyż na chwilę, że pani ma słuszność. Zachodzi pytanie małe i skromne: dlaczego pani tak się lęka i trwoży o zmianę mego stanu cywilnego?

SMUGONIOWA

Czy mam to powiedzieć szczerze, otwarcie, bez ogródek?

PRZEŁĘCKI

Bez żadnych! Śmiało jak do przyjaciela.

SMUGONIOWA

Widok krainy pełnej bogactw, mlekiem i miodem płynącej, rozłożonej u stóp – tylko jednego, Zbawiciela świata, Boga na ziemi, nie skusił, gdy go szatan nagabywał. Pan mógł ulec...

PRZEŁĘCKI

No i...?

SMUGONIOWA

Mógł pan w chwili pokuszenia pomyśleć: będę czynił dobrze, będę to wszystko przetwarzał na nowe wartości, będę przebudowywał, przekształcał, będę działał. Czyż niemożliwa by była taka myśl?

PRZEŁĘCKI

Taka myśl, moja pani Dorotko, byłaby niemożliwa. Ja jestem tylko po wierzchu taki niby rozlazły, prostoduszny i niedołęga. Kto wie, czy we mnie nie ma wewnątrz natury filuta, spryciarza, a nawet kutwy?

SMUGONIOWA

Ogromnie, ogromnie.

PRZEŁĘCKI

Otóż ta druga moja dusza powiedziała mi od razu – te, docent! – wszystkie te majątki trzyma w garści administrator Bęczkowski czy jak mu tam, i ciebie, ewentualnego księcia małżonka, będzie trzymał w garści.

SMUGONIOWA

Pana by kto utrzymał w garści!

PRZEŁĘCKI

Dziękuję za dobre słowo, ale swoją drogą ja i teraz jeszcze nie wiem, czemu pani tak bardzo boleje nad moim ewentualnym wyjściem za księżniczkę?

SMUGONIOWA

*smutnie*

Bałam się w istocie, bo pod wpływem bogactw mógłby się pan zmienić. Zmieniłby się pan na pewno. Przestałby pan być sobą, sobą samym, naszym profesorem, naszym prorokiem, naszym dobrym zwiastunem – tym, czym pan jest – ruchem w beczynności, pędem w zastojach, głosem w ciszy, świetlanym gościem ze świata do kraju jałowej nudy.

PRZEŁĘCKI

Patrzcie, jakie to ja mam przymioty! Fiu-fiu... A gdzie też to pani wynalazła takie przymiotniki: świetlany ten, oczywiście, goniec – i te inne? Czy to na lekcjach gramatyki u Ciekockiego? Pani Dorotko?

SMUGONIOWA

Gdzie znalazłam?

PRZEŁĘCKI

Aha?

SMUGONIOWA

Tu znalazłam, na tutejszej mojej pustej drodze. Że sobie jestem nauczycielką ludową, to już przez to samo nie mogę zażywać pewnych przymiotników przynależnych do rzeczy i spraw świata wyższego, wielkiego...

PRZEŁĘCKI

Pani wie aż nadto dobrze, że ja takimi myślami się nie zabawiam. Nie o tym wcale mowa, że pani jest nauczycielką społecznie upośledzoną, towarzysko pokrzywdzoną i tam dalej. Pytałem się, gdzie pani znalazła górnotne przymiotniki, dlatego, ażeby się uwolnić od myśli, od podejrzenia, które mi się nasunęło niechcący.

SMUGONIOWA

Cóż to za podejrzenie?

PRZEŁĘCKI

A, że może i pani – czego Boże broń! – kocha się we mnie?

SMUGONIOWA

Mówił pan tutaj, przechwalał się pan, że tyle ma sukcesów, taki nawet nawał tryumfów, jak się to mówi na wielkim świecie: „konkiet” – że moje wyznanie byłoby chyba zbyt cenne, mogłoby nawet niepotrzebnie przeważać i tak już ciężką szalę.

PRZEŁĘCKI

Ta odpowiedź nie jest jasna. Przeciwnie – jest wykrętna i zagmatwana... Przychodzi mi na myśl, że to z najprostszej zazdrości odwołała mię pani tutaj.

SMUGONIOWA

Telegram przyniesiono. Konie będą za pół godziny. Jestem w porządku.

PRZEŁĘCKI

Czyliż pani, najmilsze dzieciątko, najczystszy kwiateczek tych ugorów, Dorota Smugoniowa, mogłaby w jakimś szczególe nie być w porządku?

SMUGONIOWA

Skądże to pan profesor nazbierał wiązanek takich górnołotnych komplementów? Chyba nie na tutejszych ugorach. A może to już wprawa, kwiaty sztuczne, robione?

PRZEŁĘCKI

Gdzież tam! Kiedy tu jadę na te nasze ideowe ekstrawagancje, myślę z radością, nawet z rozkoszą: zobaczę Smugoniową, zajrzę w jej czyste, głębokie, mądre oczy, będę z nią i obok niej setnie, porządnie, morowo pracował.

SMUGONIOWA

Po co mi to pan mówi?

PRZEŁĘCKI

Gdyż nie chcę, żeby między nami był choćby cień owego zdradliwego *amoroso*, który się wnet między mężczyzną i kobietę zakrada.

SMUGONIOWA

Ostrożność chwalebna i godna uznania.

PRZEŁĘCKI

Proszę spojrzeć: księżniczka. Lecę obces na jej spotkanie z otwartymi ramionami, pewien, że mam przed sobą duszę ludzką rozbudzoną, człowieka ogarniętego przez szlachetność. Nagle – bęc! Wiadomość: obywatelka kocha się we mnie. Dlatego tylko to wszystko robi, jeżeli co robi, że kocha się we mnie, a nawet, o parafiańszczyzno! chce się ze mną wyżenić.

SMUGONIOWA

Ludzie są ludźmi. Nie można im się dziwić. Nie należy ryczałtem potępiać.

PRZEŁĘCKI

Nie, proszę pani – to jest wstrętne, ohydne! Wszędzie na dnie – romans, amory, tajne związki, zdrady, a przynajmniej chętki, zachcianki, marzenia! Z wierzchu idee, czyny, prace – pod spodem brudne zabiegi o schadzkę i jej cel ostateczny.

SMUGONIOWA

Nie zawsze jest tak ohydnie, jak to pan przedstawił, gdyby nawet miłość na dnie leżała.

PRZEŁĘCKI

*z szyderstwem*

Miłość!

SMUGONIOWA

Cóż za straszna pogarda! Ciekawam, jak też pan przedstawia sobie...

PRZEŁĘCKI

Już jest – najulubieńsze pytańko. Jak ja sobie wyż wzmiankowaną miłość przedstawiam. Bo sobie ją, oczywiście, błędnie, niewłaściwie przedstawiam i należy moje błędne patrzenie poprawić, skorygować.

SMUGONIOWA

Przepraszam, iż pana o to zapytałam...

PRZEŁĘCKI

Miłości nie można sobie tak czy owak, źle czy dobrze przedstawiać. Ona jest, skoro jest.

SMUGONIOWA

Tak. Ale można sobie nawet nieujawnioną, nieoczywistą przedstawić. Gdybym ja, na przykład, jak to pan tutaj przed chwilą przypuszczał, kochała się w panu, tobym nieustannie, we śnie i na jawie, myślała o tym tylko, żeby za panem iść, biegnąć, lecieć po śladach, czekać cierpliwe na pańskim progu przez długą noc, aż się pan ze snu przebudzi...

PRZEŁĘCKI

*chmurnie*

Co to jest?

SMUGONIOWA

Opis miłości.

PRZEŁĘCKI  
Czyjej miłości?

SMUGONIOWA  
Opis miłości osoby, która by się w panu kochała.

PRZEŁĘCKI  
A to jest takie ćwiczenie na temat zadany, *extemporale*. Ejże, pani Dorotko!

SMUGONIOWA  
Czegóż mi pan grozi? Co mi pan zarzuci? Czy nie jestem w porządku?

PRZEŁĘCKI  
Ejże, pani Dorotko! Właśnie, dziś po raz pierwszy mam wątpliwość, czy pani jest w porządku.

SMUGONIOWA  
Niech pan będzie pewny, że już nigdy nie będę szukała sposobności, żeby z panem rozmawiać tak jak dziś...

PRZEŁĘCKI  
Tylko dziś?

SMUGONIOWA  
Tylko dziś!

PRZEŁĘCKI  
A dziś się nie liczy?

SMUGONIOWA  
Owszem, ten dzień się liczy, gdzieś się liczy. To dzień mojej pierwszej i jedynej zdrady. Ale tak być musiało!

PRZEŁĘCKI  
Dlaczego być musiało?

SMUGONIOWA  
*z wybuchem*

Należała mi się za wszystko, za wszystko, ta jedyna nagroda! Pół godziny czasu od chwili przyścia pana tutaj do chwili odjazdu na stację kolei. Gdy konie zajadą przed dom, gdy pan wsiądzie i pojedzie, skończy się moja jedyna zdrada.

PRZEŁĘCKI

Mamy w skarbcu mądrości ludowej ostrzegające przysłowie: od łyiczka do rzemyczka.

SMUGONIOWA

Niech pan będzie spokojny! Nie mam zamiaru oszukiwać mego męża, zdradzać go w znany sposób, idąc od łyiczka do rzemyczka. Nie mam zamiaru opuszczać mego dziecka. Nie mam zamiaru przerywać ani skazać moich obowiązków.

PRZEŁĘCKI

Tylko mieć na ustroniu małą, szlachetną platonijkę...

SMUGONIOWA

Chciałam mieć na ustroniu – w ciągu mojego całego ciemnego życia tę oto pół godziny sam na sam rozmowy z panem.

PRZEŁĘCKI

Konieczmie musiała pani sekret swój wypowiedzieć, jeżeli już nie komu innemu, to mnie oto, żeby na dnie naszej znajomości leżało to, czego się tak obawiałem.

SMUGONIOWA

Niekonieczmie samo tylko gadulstwo było przyczyną mych zwierzeń, zaraz powiem, co jeszcze...

PRZEŁĘCKI

A, i coś jeszcze...

SMUGONIOWA

Po cóż pan przychodził na tę tu smutną, pustą wieś, gdzie się nic nie dzieje, gdzie się życie pospolite jak młyńskie koło obraca? Po co pan przyszedł ze swymi cudnymi oczyma, ze swym radosnym uśmiechem, z tą głową owianą wiecznie nowymi myślami? Po co? Wstąpił pan na to jałowe pastwisko codzienności mego życia i chce pan, żebym ja pana nie dostrzegła, nie zauważyła?

PRZEŁĘCKI

A więc to z nudów?...



SMUGONIOWA

Tak, z nudów. Z dukania miesiącami, kwartałami, półroczami chłopskich dzieci – a, be, ce, de... Przez całą mroczną, dżdżystą jesień... To z krótkich, szarych dni zimy, kiedy się nic nie przydarza, tylko rozmowa o drożyznie, o mleku, chlebie, cukrze i mięsie, o bieliznie i obuwiu, o nafcie i ubraniu. To z tego.

PRZEŁĘCKI

Rozumiem. Ja jestem dobrym przewodnikiem, odprowadzającym nadmiar sił duszy tam, daleko...

*łagodnie*

A to panią napadło jeszcze w zeszłym roku czy dopiero teraz?

SMUGONIOWA

*z cicha*

Jeszcze w zeszłym roku. Jak tylko pan przyjechał. Jakem pana zobaczyła...

PRZEŁĘCKI

*kiwa głową*

Róbże tu z takim materiałem oświatę!

SMUGONIOWA

Jakem pana zobaczyła, jakem posłuchała, co pan nam mówi, jak pan mówi, czym pan jest, czym ja jestem, ogarnął mię wściekły wicher, zdusił mię żal. Spostrzegłam, że moje życie zmarnowała. Spostrzegłam, że moje życie cisnęła w to wioskowe bajorko!

PRZEŁĘCKI

A przecież po to tutaj przychodzimy wszyscy, żeby wam powiedzieć, że to nieprawda, że wasze życie jest bogate, że wy jesteście najcenniejszym organem, solą tej ziemi... Ale co! Nie może się pani tego wyzbyć?

SMUGONIOWA

*z rozpaczą*

Nie mogę! Gdy pan w zeszłym roku odjechał, porwała mię tak straszliwa tęsknota, że byłem wprost bez rozumu. Chodziłam drogą, którą pan odjechał, wlokłam się jej kolejami i patrzyłam w tę pustą, siwą przestrzeń, w której pan przepadł. Liczyłam dni, tygodnie, spychałam z ramion miesiące, czekając na wiosnę. Chodziłam w zimie na porębiański zamek. Są tam schody zburzone na kwadratową wieżę. Wchodziłam na szczyt i z jednego pustego okna patrzyłam w pańską stronę. Zdawało mi się... – takie głupie złudzenie! – że jeśli wejść wyżej, najwyżej, to coś zobaczę, większy kawałek ziemi, który jest bliżej pana...

PRZEŁĘCKI

Ależ to jest przecie najczystsza romantyka, a nawet ckiwy sentymentalizm. To można położyć pod szkło mikroskopu, krajać mikrotomem... Sam najoczywistszy sentymentalizm...

SMUGONIOWA

Pan jako człowiek uczony wie, jak się co bada i jak się zbadane nazywa. My prostytutki żyjemy byle czym, romantyką, sentymentalizmem...

PRZEŁĘCKI

No, i co tu teraz robić?

SMUGONIOWA

Z czym co robić?

PRZEŁĘCKI

Z tymi pani amatorami! Bieda, jak mi Bóg miły!

SMUGONIOWA

Czyż w samej rzeczy taka bieda?

PRZEŁĘCKI

Ale jeszcze jaka! Wszystko się teraz popsuje... I żebym też ja, do diaska! samochcąc taką pani biedę zrobił...

SMUGONIOWA

Będę szczęśliwa, jeżeli panu będzie troszeczkę żal...

PRZEŁĘCKI

Pani będzie szczęśliwa, jeżeli mnie będzie troszeczkę żal. Bardzo to jest godny motyw do szczęścia. Żebym niby i ja ze swymi znowu sentymentami nadał się pod szkło mikroskopu.

SMUGONIOWA

W ciągu tej pół godziny musi mi pan coś poradzić, jakoś mi pomóc, bo będzie przecie znacznie gorzej, jeśli się urwę z łańcucha.

PRZEŁĘCKI

Oho – nawet już z łańcucha.

SMUGONIOWA

Tak, z łańcucha! Jak pies przykuty do miejsca! Mogłabym przecie...

PRZEŁĘCKI

Śmiało, śmiało!

SMUGONIOWA

Miałam już takie chwile w ciągu ubiegłej zimy. Gdy mię opętała najostateczniejsza niecierpliwość, mówiłam sobie: jest jeszcze jedno wyjście...

PRZEŁĘCKI

A, jest jakieś wyjście...

SMUGONIOWA

Jest takie wyjście: zabrać się tak jak stoję, dziecko na rękę, pójść na stację, pojechać tam i usiąść jak żebraczka na pańskim progu.

PRZEŁĘCKI

Na moim progu? Biada! Najprzód ja nie mam żadnego progu, bo w warszawskich mieszkaniach progów nie ma, więc usiadłaby pani na schodach. Ja zaś mieszkam z kolegą we dwu kłitkach...

SMUGONIOWA

Widzi pan, co by to był za skandal!

PRZEŁĘCKI

Skandal byłby nie lada jaki. Te kursy zostałyby rozbite, gdyż powiedziano by nie bez słuszności, że to ja sobie tutaj romansidło sfundowałem.

SMUGONIOWA

Właśnie! Musi pan coś takiego zrobić, żeby się ten mój nastrój już tej zimy nie powtórzył.

PRZEŁĘCKI

Cóż ja nieszczęsny mogę zrobić „takiego”. Jestem bezsilny, jestem ciemny jak tabaka w rogu.

SMUGONIOWA

Pan, który może wszystko, może spełnić i to, żebym ja jakoś oprzytomniała...

PRZEŁĘCKI

Ciągle pani wmawia we mnie, że ja mogę wszystko. Co ja mogę, co mogę?

SMUGONIOWA

Pan ma taką siłę, jaką miewali prorocy, apostołowie, święci mężowie. Może pan rzucać urok, to może pan także położyć ręce na mojej głowie i odczynić urok.

PRZEŁĘCKI

Wie pani, wszystko to dobre, ale przecież ja kabotyńcem nie byłem i nie będę. Niechże pani się uspokoi.

SMUGONIOWA

Czyliż pan nie ma siły i władzy proroka, cudotwórcy? Stał oto tutaj na pustej górze zburzony przed setkami lat magnacki zamek. Pradziadowie obecnego pokolenia tutejszych ludzi widzieli już ten zamek w gruzach. Magnaci i ubodzy ludzie przechodzili i przejeżdżali obok tego zamku w gruzach. Gruzy te stały na widnokręgu, gdy królowie polscy władali tym krajem. Gruzy stały podczas całej długiej niewoli. Gruzy te oświetliło słońce wolności. Nie było nikogo, kto by się wzruszył ich widokiem. Dopiero pan, sam jeden, przyszedł do nich, położył na nie ręce swoje. I ożyją jako dom święty, jako sygnał dla całej polskiej ziemi...

PRZEŁĘCKI

Terefere, terefere... Księżniczka, zadurzywszy się we mnie, postanowiła zrobić mi prezent i oto...

SMUGONIOWA

Profesorowie, których pan tutaj zgromadził – czyliż nie są dowodem pańskiej władzy duchowej? Gdyby nie pan, byłiby pracownikami, każdy w swej specjalności. Przeżyliby życie nie wiedząc, czym są i jaką posiadają siłę. Pan z nich uczynił organizm, działający w dobrej woli bez niczyjego rozkazu i nie szukający nagrody.

PRZEŁĘCKI

Sami się uczynili tym organizmem, właśnie bez mojego rozkazu. Co też to pani za hymny na moją cześć wyśpiewuje.

SMUGONIOWA

Ja dobrze wiem, co wyśpiewuję, i wiem, jako przebiegła kobieta, że wyśpiewuję prawdę. A trzecie pańskie dzieło, my, uczniowie.

PRZEŁĘCKI

W istocie! Zwłaszcza uczennice...

SMUGONIOWA

Uczniowie i uczennice. Pan jest ogrodnikiem tych dusz rozbudzonych. Ze zwyczajnych kołków, płonek, kłaczów, z karierowiczów i prostaków, z leniwców i oślaków wytworzył pan zastęp świadomych pracowników, hufiec entuzjastów, grono badaczy...

PRZEŁĘCKI

I tak dalej, i tak dalej...

SMUGONIOWA

Wymienię panu Grzegorza Zielonkę, Pawełka Smalskiego, Ryka, Władka Wronę... Każdy z nich to w swoim świątku Przełęcki w miniaturze.

PRZEŁĘCKI

*wzruszony*

No – więc co? Tęgie chłopaki! Niech im Bóg da zdrowie i wszystko dobre!

SMUGONIOWA

Czy ta cała czereda pańskich słuchaczy byłaby tym czym jest, gdyby nie pan? To pan swymi wykładami o tajemniczych, wielkich odkryciach, o potężnych naukach porwał ich za sobą. Ta cała młodzież – to jest pan. Za pana, za pańskie imię każdy z nich gotów umrzeć. Pan jest ich bożyszczem. Bo pan wyciągnął swe ręce nad nimi i duch mocny z rąk pańskich na nich spłynął.

PRZEŁĘCKI

Mówiąc mniej kwieciście, a bardziej zgodnie z istotą rzeczy, ja jestem fizyk obdarzony zdrowiem i trochę energii oraz zmysłu organizacyjnego, a oni nauczycielami ludowymi, żądnymi poduczyć się nieco – za darmochę.

SMUGONIOWA

Duch potężny mieszka w panu i spływa na ludzi. Cokolwiek pan zacznie, spełniać się musi. Pan ma w sobie moc. Dlatego to ja, dlatego... ośmieliłam się na tę rozmowę. Chcę pana błagać...

PRZEŁĘCKI

O co?

SMUGONIOWA

Żeby pan wyciągnął swe ręce, żeby pan nałożył swe ręce na moją głowę i zdjął ze mnie opętanie...

PRZEŁĘCKI

I tę oto grzesznicę ja, zaślepiony, poczytywałem za najrozsądniejszą, najtrzeźwiejszą nauczycielkę z całego grona.

SMUGONIOWA

Chcę znów być taką!

PRZEŁĘCKI

*smutnie*

A nałożenie moich wszechwładnych rąk ma to sprawić? O, kobiety! O, dziwaczne stwory boże! Dąży to wiecznie, wszędzie i ciągle do miłości, do obnażenia się sromotnego, do zma-  
zy, zbrudzenia, splątania, zepsucia!

*Kładzie ręce na, głowie Smugoniowej. Mówi z cicha:*

Rozkazuję ci, biedne serce, ucisz się! Chcę – bądź sobą. Odwróć się ode mnie! – Chcę – zapomnij...

*Podnosi rękami głowę Smugoniowej i patrzy w jej oczy. Uśmiech obojga.*

I cóż?

SMUGONIOWA

Bóg zapłać, drogi panie, za tę chwilę!

PRZEŁĘCKI

A niechże pani nie robi ze siebie takiej znowu ofiarki! Ja jestem także człowiekiem z krwi i kości...

SMUGONIOWA

Doprawdy? Ja myślałam, że pan jest tylko profesorem i tylko ideałem.

PRZEŁĘCKI

Niechże piękna Dorota, już odczyniona z uroku, już uspokojona i na swoim miejscu – bę-  
dzie grzeczna, to jej powiem coś wesołego.

SMUGONIOWA

Będę przez całe życie najgrzeczniejszą z grzecznych.

PRZEŁĘCKI

Otóż... Cóż to ja chciałem powiedzieć? A może już w ogóle o tych rzeczach nie mówić?

SMUGONIOWA

Proszę powiedzieć! Proszę! Proszę!

PRZEŁĘCKI

Cóż ja mam począć z prośbą tych czarujących oczu? Co mam powiedzieć tym usteczkom różanym? Jakże mam uciszyć to serce szczerozłote, żeby się już nie szarpało?

SMUGONIOWA

Niech pan mi powie prawdę!

PRZEŁĘCKI

Gdybym wszystko powiedział – nie byłoby dobrze.

SMUGONIOWA

*błagalnie*

Dziś, tylko dziś można wszystko powiedzieć.

PRZEŁĘCKI

A potem co?

SMUGONIOWA

Potem już będzie milczenie.

PRZEŁĘCKI

I smutek jeszcze większy, zimy jeszcze dłuższe, jesień jeszcze bardziej puste...

SMUGONIOWA

To niech sobie będą!

PRZEŁĘCKI

Chciałem powiedzieć coś wesołego o tym, dlaczego unikałem zawsze rozmowy z panią, dlaczego chciałem wszystko zdeptać, zaszastać nogami, zamazać i zakrzyczeć...

SMUGONIOWA

Co zakrzyczeć?

PRZEŁĘCKI

No, co zakrzyczeć, to zakrzyczeć... Pani ma dziecko!

SMUGONIOWA

Nie skrzywdzę nigdy mego dziecka!

PRZEŁĘCKI

Ach, cóż za wielkiego dokona pani poświęcenia!

SMUGONIOWA

Jeżeli mi pan każe zostać tutaj, zostanę i będę tamtemu człowiekowi wierną i posłuszną. Jeżeli pan mi każe pójść za sobą, pójdę wszędzie. Będę sługą, popychadłem, czymkolwiek mi pan być rozkaże!

PRZEŁĘCKI

A dziecko?

SMUGONIOWA

Dziecko tylko wezmę ze sobą. Więcej nic a nic!

PRZEŁĘCKI

A Smugon?

SMUGONIOWA

Nie wiem. Nic nie wiem. Jeżeli mi pan każe samej jednej być w świecie, będę sama. Umiem być sama. Będę gdziekolwiek pracowała. Umiem ciężko pracować. Bylebym mogła być w pobliżu, bylebym mogła pana widywać, bylebym mogła... aż do mej śmierci...

PRZEŁĘCKI

Kazał, każe... Otóż i jestem wszechwładnym monarchą, który, według swego widzenia rzeczy, według kaprysu, może kazać, co tylko chce. Rozkazujże, królu!

SMUGONIOWA

Tylko jedno słowo!

PRZEŁĘCKI

Mówiła tu pani niedawno, że nigdy nie zdradzi męża, nie opuści dziecka... A ja mówiłem: od łyczka do rzemyczka... Któż miał słuszość? Nie ma w tych rzeczach granicy, dzieciątko moje! Jakaż to siła mogłaby nas powstrzymać? Cóż teraz będzie?

SMUGONIOWA

*radośnie*

Wszystko jedno, co będzie! Od chwili gdy pan nałożył na moją głowę swe ręce, wiatr szczęścia przeniknął mnie do szpiku kości. Niczego się nie boję! Jestem mocną jak pan.

PRZEŁĘCKI

Widocznie cały mój fluid przeleciał na panią, bo ja teraz właśnie jestem strapiony.



SMUGONIOWA  
Czy podobna?

PRZEŁĘCKI

A tak! Nie wiem, co robić? Muszę zebrać myśli, muszę samego siebie odnaleźć. Och, wy, zwodnice, anioły, lekkoduchy, paple! Nie umiecie nic uszanować, nie umiecie samej miłości uszanować. Nie umiecie ukryć w głębi siebie piękna tajemnicy miłosnej!

SMUGONIOWA  
O, Boże! Cóżem zrobiła!

PRZEŁĘCKI  
Zaraz! Muszę klepki zebrać...

SMUGONIOWA  
*spojrzawszy w okno*  
Mój mąż idzie...

PRZEŁĘCKI  
A, mąż idzie... Ten może jakoś będzie pomocny w tej sprawie.

SMUGONIOWA  
Och, i te pół godziny szczęścia musiał mi wydrzeć!  
*Smugon raptownie otwiera drzwi, zatrzymuje się przy wejściu. Chwila milczenia.*

PRZEŁĘCKI  
Co? Wrócił pan z zamku na piechotę?

SMUGOŃ  
Wróciłem z zamku...

SMUGONIOWA  
Nie rozumiem, dlaczegoś stamtąd odszedł?

SMUGOŃ  
*do żony*  
Wyjdź stąd! Pójdiesz na wieś i każesz sołtysowi, żeby zgromadził wszystkie dzieci szkolne przed szkołą. Sam niech tu będzie za godzinę. Minister przyjeżdża.

SMUGONIOWA

Oto forma, zachowania się względem kobiety – godna ciebie!  
*wychodzi*

PRZEŁĘCKI

Istotnie, pański sposób zachowania się względem kobiety nie należy do zbyt wytwornych.

SMUGOŃ

Jeszcze się od pana lepszego nie nauczył.

PRZEŁĘCKI

Szkoda.

SMUGOŃ

Gdy my tam wszyscy oglądaliśmy zamek, pan tu sobie cichaczem urządził spotkanie z moją żoną!

PRZEŁĘCKI

Rozmawiałem tutaj długo z pańską żoną. Tak jest. Jeżeli pan tę rozmowę chcesz nazywać spotkaniem, to ją pan tak nazywaj.

SMUGOŃ

Milcz pan!

PRZEŁĘCKI

Panu by raczej należała się ta rada, bo głos podnosisz.

SMUGOŃ

Nie umiem mleć językiem tak jak pan. Mówię po prostu, od samego dna mojej krzywdy.

PRZEŁĘCKI

Jakiej krzywdy?

SMUGOŃ

*z uniesieniem*

Krzywdy!

*zbliża się do Przełęckiego*

Czym ja pana szukał, czym ja szedł na spotkanie pańskie, czym ja pana wzywał, czym się panu narzucał? Żyłem tu i pracowałem po prostu, ze wszystkich moich sił – za światem, w tej dziurze, z dala od was. Pan tu przyszedłeś!

PRZEŁĘCKI

Tak jest, ja tu przyszedłem.

SMUGOŃ

*szyderczo*

Ze wzniosłymi ideami? Prawda? Z całą torbą wzniosłych haseł! Z całym worem zasad, prawd, nakazów.

PRZEŁĘCKI

Można tak powiedzieć, jeśli się kto uprze.

SMUGOŃ

A poza tymi wszystkimi ideami, maksymami i pewnikami kryło się jedno: szukanie miłych przygód!

PRZEŁĘCKI

Nie. Tak powiedzieć nie można. Gdzież, jaki przykład?

SMUGOŃ

*w furii*

Tu przykład! Na tej kobiecie! Była najlepszą żoną, najtkliwszą matką naszego dziecka, najzarliwszą nauczycielką, pracownicą w naszym twardym zawodzie, jakiej ze świecą nie znajdzie! Od zeszłego roku, skoro tylko pan zjawiłeś się ze swymi wykładami, ta kobieta przepadła!

PRZEŁĘCKI

Jakże się to stać mogło, żeby moje, jak pan twierdzi, idee, które zmierzały do pogłębienia, polepszenia, udoskonalenia wpływu szkoły i wartości nauczycieli, mogły właśnie tak wszystko zepsuć!

SMUGOŃ

To ja właśnie pytam pana, jak się to stało.

PRZEŁĘCKI

Nie mam na to odpowiedzi. A raczej – znalazłbym może na to odpowiedź, gdyby mi pan swe zarzuty wyłożył.

SMUGOŃ

Zarzuty! Nienawidzę pana! Zdruzgotałeś moje szczęście, wdeptałeś w ziemię moje życie, zabiłeś mię!

PRZEŁĘCKI

Czyż mogłem tyle złego narobić? Czym? Czy odebrałem panu żonę?

SMUGOŃ

Nie odebrałeś mi pan może jej ciała, bo na to jest jeszcze za uczciwa – albo jeszcze jej pan nie zdołał swymi wybiegami zdeprawować – ale zabrałeś mi jej duszę!

PRZEŁĘCKI

To pan z kolei odbierz mi tę jej duszę, jeżeli czujesz się jej godnym.

SMUGOŃ

Nie umiem! Nie umiem, przemądrzały profesorze, znakomity kuglarzu, świetny apostoł frazesów o względności wszystkiego. Jestem prosty jak dąbczak w lesie, głupi jak pień, prostolinijny, ordynarny, wiejski belfer.

PRZEŁĘCKI

Czy pan sądzisz, że ja specjalnie na pańską żonę zastawiałem sieci moich frazesów, czy na nią wyjątkowo polowałem za pomocą kuglarstw ideowych?

SMUGOŃ

I tego nie wiem. To jedno jest dla mnie jasne jak ten dzień, oczywiste, dotykalne, że od zeszłego roku zmieniła się zupełnie. Inny człowiek! Żyje tu, pracuje, uczy w szkole, mieszka ze mną, opiekuje się dzieckiem, nawet jest dla mnie wierną żoną, ale to już jest inny człowiek. Obcy człowiek!

PRZEŁĘCKI

Zdarza się to nieraz. Zdarza się...

SMUGOŃ

Zdarza się! Zdarza się, że trup tu gości, a dusza błądzi gdzieś daleko, daleko, o setki i setki mil. Zdarza się, że tu ciało śni jakiś okropny, przyziemny, doczesny sen, a dusza błądzi, żyje, płąsa, raduje się tam, o setki i setki mil, w jakichciś niebiosach swoich. O, dolo moja, dolo!...  
*szlocha*

PRZEŁĘCKI

*dotyka ramienia Smugonia*

Panie! Ocknij się pan. Rozmawiajmy.

SMUGOŃ

O czymże ja z panem mam rozmawiać?

PRZEŁĘCKI

O tej właśnie pańskiej doli. Czy żona pańska jest zalotna?

SMUGOŃ

Wcale nie! Właśnie że nie! To była zawsze najuczciwsza, najczystsza dziewczyna, najszlachetniejsza kobieta. Czyż ja bym stał, czybym się tak rozpadał o zalotnicę?

PRZEŁĘCKI

Więc tylko ja jeden miałem na nią tak fatalny wpływ, że się dla pana do cna, do gruntu zmieniła? Tylko ja?

SMUGOŃ

Pan!

PRZEŁĘCKI

Moje tutaj wykłady, moje zabiegi, rozmowy, wszystkie owe figle ideowe, które stroić tutaj zacząłem, tak na nią wpłynęły, że się dla pana zmieniła, a obróciła oczy na mnie?

SMUGOŃ

Chcesz pan wycisnąć ze mnie te zeznania, żeby się cieszyć, upajać swym tryumfem, a moją gorzką nędzą?

PRZEŁĘCKI

Hm... Tryumfem i nędzą...

SMUGOŃ

A ja pana z kolei zapytam: czy pan się w niej kochasz?

PRZEŁĘCKI

*zaskoczony*

Ja?

SMUGOŃ

Prawdę!

PRZEŁĘCKI

Tak. Ja ją kocham. Od czasu przybycia tutaj, od pierwszego spojrzenia... Nigdy jej tego nie powiedziałem, a mówię panu, bo tak jest.

*Smugon chce odejść.*

Słuchaj pan i pociesz się! Skoro ja jeden tak fatalny wpływ na pańską żonę wywarłem, a innych flirtów ona nie uprawia, to skoro sobie stąd pójdę na złamanie karku i oko wasze już mię więcej nie zobaczy, to wszystko z czasem wróci do dawnego ładu.

SMUGOŃ

*złamany*

Być może, iż pan masz dobrą wolę... Ale gdybyś pan nawet w istocie, jak mówisz, odszedł stąd, ukrył się, przepadł, znikł na zawsze, to cóż mi z tego?

PRZEŁĘCKI

Wszystko wróci do normy.

SMUGOŃ

Ach – gdzież tam!

PRZEŁĘCKI

Złożę tu w pańskie ręce niepisany akt między nami dwoma, że mię ona *szeptem*

nigdy, nigdzie nie zobaczy za życia. Taka będzie moja szczerza wola. To nie ze strachu przed panem, nie dla przebłagania pańskiego gniewu, lecz dlatego, mój mości panie, któryś tu grubo hałasował, że takie są moje obyczaje.

SMUGOŃ

Na nic mi to, na nic! To ze wszystkiego najgorsze. Cóż to pomoże, choćbyś pan znikł i przepadł jak mara? Będzie marę kochała! Marę właśnie! Wyolbrzymiejesz na półboga! Będzie za marą tęskniła aż do śmierci. Ja ją dobrze znam. Ja wiem. Ach, a po tej dzisiejszej scenie, kiedy się domyśli, żeśmy taki pakt zawarli... A domyśli się tajnym zmysłem wszystkiego, lepiej, niżby na własne uszy słyszała.

PRZEŁĘCKI

Sam pan widzisz. Cóż ja więcej mogę zrobić?

SMUGOŃ

W istocie. Pan już nic więcej nie możesz zrobić. Chyba ja sam.

PRZEŁĘCKI

Co?

SMUGOŃ

Zabiorę ją, zabiorę dziecko i wyjadę, dokąd oczy poniosą. Do Ameryki. Od waszych tutaj wzniosłych zamierzeń, od waszych chwalebnych kursów ucieknę na koniec świata. Może tam za morzami, za górami zapomni!

PRZEŁĘCKI

*z uśmiechem*

Od naszych tutaj wzniosłych zamierzeń, od naszych chwalebnych kursów trzeba uciekać na koniec świata. Dobry skutek!

SMUGOŃ

Wartość skutku świadczy o wartości przyczyny.

PRZEŁĘCKI

Tak. W polu pańskiej logiki na to wychodzi.

*zapala papierosa*

Panie Smugon! A na to nie mógłbyś się zdobyć, żeby na grę uczuć kobiety męską grą odpowiedzieć? Ona ci odebrała swoją duszę, rozwiodła swoją duszę z pańską duszą. Odbierz jej pan swoją!

SMUGOŃ

Ażeby ona z pańską duszą się złączyła, w pańskie ręce przeszła.

PRZEŁĘCKI

Skoro sam pan mówisz, że dusza jej od pana odeszła, a przeszła do mnie, to pewnie, że w polu mojej logiki tak być powinno.

SMUGOŃ

Do tego to pan zmierzasz!

PRZEŁĘCKI

Chcę rozwikłać tę sprawę tak czy tak.

SMUGOŃ

Chcesz pan tę sprawę rozwikłać! Mało miałeś świata, mało kobiet na nim, pięknych, mądrych, bogatych, rozpustnic i ladacznic! Tu przyszedłeś – profesorze – do szkoły wiejskiej, żeby sprawę mojego życia rozwikłać! Przeklęty uwodzicielu!

PRZEŁĘCKI

Mocnoś mię pan zajechał! I słusznie.

*po chwili*

A więc pan żadną miarą nie możesz rozstać się z tą kobietą?

SMUGOŃ

Nie!

PRZEŁĘCKI

Nawet gdyby pana porzuciła?

SMUGOŃ

*blagalnie*

Nie mogę bez niej żyć! Życie bez niej – to już nie życie, to dla mnie śmierć.

*pokornie*

Mamy dziecko, małego chłopczyka – Jasia.

PRZEŁĘCKI

*glucho*

Trzeba tego małego chłopczyka, Jasia, wziąć na ręce.

SMUGOŃ

Jego – panie! Cóż panu zawiniło to dziecko?

PRZEŁĘCKI

Mnie nic nie zawiniło. Chcę, wierz mi pan, żebym i ja nic nie był winien.

SMUGOŃ

*z najniższą pokorą*

Pan, który na wszystko masz sposób, który umiesz rozwiązywać najtrudniejsze zawiłości swoim niezwykłym rozumem, nie gub nas, mnie, mej żony, mego syna. Zaklinam pana! Będę panu przez całe moje życie jak pies wiernie służył...

PRZEŁĘCKI

*w zamyśleniu*

Znowu to samo. Rozum, który mi wciąż łaskawie przypisujecie wszyscy, stał się moim tyranem, mści się na mnie. Mam oto – spojrzysz pan! – wykonać naraz dwie prace: mam sprawić, żeby pańska żona pana na nowo pokochała taką samą miłością, jaką dawniej żywiła. To jedno. A z drugiej strony mam sprawić, żeby do mnie właśnie nabrała obrzydzenia, wstrętu, pogardy...

*ze śmiechem*

To jest drugie. Prawda, nieszczęśliwy małżonku?



SMUGOŃ

Wiem to jedno, że tu leży moja krzywda.

PRZEŁĘCKI

Krzywda, której wcale nie jestem winien.

SMUGOŃ

A któż?

PRZEŁĘCKI

Ja się pana zapytam jak mężczyzna mężczyznę: czy na pana nigdy nie wywarła wrażenia cudna obca kobieta, nieznajoma przechodząca ulicą? Czy pana nigdy nie kusił diabeł, żeby się obejrzeć, przypatrzeć się jej, a potem myśleć sekretnie, a nawet nie myśleć, lecz tajnie chcieć zaznajomienia się, rozmowy, zabawy z taką kobietą? Tak po prawdzie, bez świadków... Panie Smugoń!

SMUGOŃ

To pan niby tak z Dorotą?

PRZEŁĘCKI

Nie o mnie mowa, lecz o panu. Gdyby do pana w mig po takim pańskim spojrzeniu na obcą kobietę podskoczył ktoś, jakiś mężczyzna, i rzucał panu w oczy zniewagi, zadawał twarde kwestie, żeś go pan skrzywdził. Czy nie poczytywałbyś pan takiego za natręta? Pomyśl pan, zastanów się i odpowiedz.

SMUGOŃ

Sam sobie pan odpowiedz. Ja wiem jedno, jedno rozumiem, że muszę stąd z moją rodziną uciekać. Gdybym tu został, zginę i moi poginą. Śmierć tu na mnie czeka w ciągu długiej jesieni i długiej zimy.

PRZEŁĘCKI

W ciągu długiej jesieni i długiej zimy. Tak.

SMUGOŃ

Panu się wszystko wie dzie, wszystko się do pana uśmiecha, więc i mnie zadajesz pytania, czy ja spoglądam na obce damy. Nie, panie! Nie spoglądam. Ja jestem wiejski chudziak, ordynarny „małżonek”. Pan w krótkim czasie zdołałeś rozkochać w sobie moją żonę, rozkochać w sobie, jak twierdzi moja żona, księżniczkę. Dostałeś na własność zamek. Będziesz tu kwitł, panował, działał. Czeka cię tu sława, sława powszechna za wszystko dobre, coś narobił.

PRZEŁĘCKI

Sława, sława powszechna...  
*idzie do stolika katedry, opiera się na nim*

SMUGOŃ

Będą o panu trąbiły gazety, będą się panem interesowały władze. Już się zainteresowały! Ekszelencja przyjeżdża, żeby pańskie dzieła podziwiać, żeby je własnymi oczyma zmierzyć.

PRZEŁĘCKI

Sława moja, złota sława...

SMUGOŃ

Tylko ja jeden w oczy ci powiem...

PRZEŁĘCKI

Nie śpiesz się pan. Mamy czas. Cokolwiek się stanie, masz pan pilnie uważać na skutki. Niczemu nie przeszkadzaj. Patrz swego. Ale pan jeden będziesz rozumiał sens tego wszystkiego. Ten sens schowaj sobie na pamiątkę po mnie, a nikomu go nie wydaj.  
*Słuchać turkot.*

SMUGOŃ

*wygląda oknem*  
Furmanka zajechała po pana. Wsiadaj pan i jedź na dworzec po ekszelencję.

PRZEŁĘCKI

Nie pojedę.

SMUGOŃ

Jak to? Przecie minister przyjeżdża tym pociągiem. Jakem wracał z zamkowej góry, zawołał na mnie z okna biura pocztowego urzędnik poczty. Powiedział mi, jakiej to wagi telegram do pana przyszedł. Śpiesz się pan.

PRZEŁĘCKI

Powiedziałem już, że nie pojedę.

SMUGOŃ

Panie! Przecie to minister przyjeżdża! Zastanów się!

PRZEŁĘCKI

Nie pojedę. Pan jedź po niego. Pan tutejszy gospodarz.

SMUGOŃ

Ja?

*z wahaniem*

Ano – dobrze. Ja mogę pojechać. Powiedziałbym, że w zastępstwie pana profesora, który zaniemógł.

PRZEŁĘCKI

Powiedz pan, że jesteś delegowany przez nas wszystkich, profesorów. Wszystkich profesorów, uważasz pan? Jedź pan, bo mógłbyś, czego Boże broń! spóźnić się. Jedźże pan!

SMUGOŃ

Dobrze. To ja jadę. Ale może by rzeczywiście pan profesor...

PRZEŁĘCKI

*bierze ze środka izby krzesło, stawia je za stolikiem na katedrze, wchodzi na katedrę, siada i ręce składa na stole*

Ja tu mam lekcję... Mam tu rozmówić się z duszami moich uczniów, które mię słuchają w tych ławach. No jedź pan! A przed wyjazdem powiedz pan swej żonie, pani Dorocie, że tutaj na nią czekam.

SMUGOŃ

Co?!

PRZEŁĘCKI

Idź pan, powiedz pani Dorocie, że tu ma przyjść na rozmowę ze mną. Boisz się pan, że to będzie schadzka? No, idźże już!

*z gniewem*

Ruszaj pan! Przeszkadzasz mi!

*Smugon wychodzi. Przełęcki z rękami opartymi na stoliku siedzi nieruchomo, zapatrzony w puste ławy.*

## AKT TRZECI

*Ta sama izba szkolna. Przełęcki z rękami opartymi na stoliku siedzi nieruchomo na katedrze, zapatrzony w puste ławy. Po chwili wchodzi Smugoniowa.*

SMUGONIOWA

Jestem!

PRZEŁĘCKI

Czy mąż pani pojechał na stację?

SMUGONIOWA

Wsiadł na bryczkę i odjeżdża.

*Słyszać turkot.*

Powiedział mi, żebym tutaj przyszła...

PRZEŁĘCKI

*schodzi z katedry*

Musimy się porozumieć...

SMUGONIOWA

Cóż on mówił? Co mówił?

PRZEŁĘCKI

Mąż pani?

SMUGONIOWA

Czy bardzo był wzburzony?

PRZEŁĘCKI

*uszczypliwie*

Lękamy się troszeczkę...

SMUGONIOWA

Lękam się! Nie należę do tak lękliwych, ale sam pan chyba rozumie...

PRZEŁĘCKI

Rozumiem. Otóż wszystko się ułożyło bardzo pomyślnie. Lepiej nawet, niż można było przypuszczać.

SMUGONIOWA

Doprawdy? O mój Boże!

PRZEŁĘCKI

Doszliśmy do porozumienia w głównych punktach. Ale to brutal, prowincjonalny małżonek, parafiański rogacz...

SMUGONIOWA

Jak to – „rogacz”?

PRZEŁĘCKI

Czy czarująca Dora trwa w swych uczuciach?

SMUGONIOWA

*z miłością*

Trwam!

PRZEŁĘCKI

A więc – nie ma co – wyjeżdżamy!

SMUGONIOWA

Wyjeżdżamy?

PRZEŁĘCKI

Oczywiście! Jakież jest inne wyjście z tego galimatiasu? On tu sobie chciał w łeb strzelać, to znowu krzyczał, że razem z panią i synem wyjedzie do Ameryki...

SMUGONIOWA

*przeżona*

Do Ameryki?

PRZEŁĘCKI

Ale, co najważniejsze, nie chce nam oddać dziecka.

SMUGONIOWA

Jak to – nam?

PRZEŁĘCKI

No, mnie i pani.

SMUGONIOWA

*w panicznym strachu*

A czyż to i o tym była mowa? O Jasiu?!

PRZEŁĘCKI

Czyliż o tym mogło nie być mowy? Stawiał on pewne warunki. Stawiałem i ja warunki. Bardzo trudną miałem przeprawę z tym belfrzną. Na odebranie mu dziecka trudno mi było nalegać, więc też bardzo miękko oponowałem, kiedy kategorycznie odmawiał.

SMUGONIOWA

Cóż się to dzieje ze mną!...

PRZEŁĘCKI

Bądź co bądź – ja miałbym wychowywać jego jedynaka, ja obcy? On jest ojcem. A cóż ja? Nie wiem, jak pani...

SMUGONIOWA

Ja się z dzieckiem nigdy, przenigdy nie rozstanę!

PRZEŁĘCKI

Najdroższe, najtkliwsze serce! Tak się to mówi dziś... Dziś! Ale życie nasze tam będzie piękne, wesołe i długie. Któż to wie, czy mały Jasio nie byłby nam przeszkodą, zawadą...

SMUGONIOWA

Moje dziecko przeszkodą, zawadą – dla mnie? Co też pan mówi!

PRZEŁĘCKI

Teraz, gdy się tu spędza jesień i zimą, dziecko jest światem, poza którym prawdziwego świata nie widać. Ale gdy się śliczna Dora znajdzie na rzeczywistym świecie, ten świat, zareczam, przesłoni bardzo dobrze małego Jasia.

SMUGONIOWA

Doprawdy, pan mi ubliża! Nawet nie rozumiem, jak można...

PRZEŁĘCKI

Nie jestem pewien, czy tam, mówię tam, potrafiłaby pani wychowywać tego chłopczyka. A ojciec potrafi. On się temu jednemu zadaniu poświęci. Mały jest już w tym wieku...

SMUGONIOWA

Ale pan... Ale ty – nic byś przecież nie miał przeciwko temu, żebym ja Jasia zabrała?

PRZEŁĘCKI

*kwaśno*

Owszem... Nic bym nie miał. Ale skądże! O ile sił nam starczy, no i o ile...  
*śmieje się ironicznie*  
Smugon pozwoli...

SMUGONIOWA

Przysięgam! Czuję się na siłach. Będę pracowała!

PRZEŁĘCKI

Wciąż pracowała i pracowała... Ciągłe o tych pracownikach! Ja lubię pracę, ale w miarę. Muszę jednak wyznaczyć, choć to dziwnie brzmi w ustach pedagoga, nie lubię, a nawet nie znoszę małych dzieci.

SMUGONIOWA

Mój Boże! Ale Jaś to taki słodki chłopczyzna.

PRZEŁĘCKI

Dla tkliwej matki zawsze jej synek – to wyjątkowo słodki chłopczyzna. Zresztą ja wierzę, najzupełniej wierzę, że ten mały ma słodki, to znaczy miły charakter. Znam go przecie – w istocie miły fryc.

SMUGONIOWA

On jest taki cichy, taki grzeczny, taki układny!

PRZEŁĘCKI

Układny – niewątpliwie. Ale jak tu będzie połączyć jego pobyt w moim domu z moją figurą fizyczną i prawną? A ojciec? W jakimże to charakterze Jasio będzie u nas? Twój syn – pewnie. Pamięta pani te cudne słowa: „Gdy dziecię z płaczem ojca zawoła, cóż mu nieszczęsna odpowie?”

SMUGONIOWA

Pan chyba umyślnie mrozi mi krew w żyłach.

PRZEŁĘCKI

O, zaraz „mrozi mi krew w żyłach”... Chodzi o to, żeby decydując się na krok stanowczy, na krok ostateczny; postawić go mocno, pewnie, świadomie.

SMUGONIOWA

*z wybuchem*

Nie możesz pozbawić mię Jasia! Ja bez niego – nie mogę!

PRZEŁĘCKI

Dosyć już o tym Jasiu! Mówmy o rzeczach wesołych, o naszym przyszłym życiu. O naszym życiu wspólnym, pełnym radości nieskończonej.

*zbliża się do Smugoniowej, siada przy niej, obejmuje ją*

SMUGONIOWA

Ja bym pragnęła... Mój sen spełnia się... Ale... coś takiego... Tak to nagle przyszło... Mam wrażenie, że deski podłogi, na których stoję, ktoś mi nagle spod nóg wyrwał.

PRZEŁĘCKI

Przecie jeżeli zerwać ten stosunek, to dlaczegoś zgola innego, najzupełniej odmiennego. Nie można być bez końca, bez odmiany wychowawczynią, pielęgniarką, nauczycielką. Musisz poznać życie w jego blasku, pięknie, w jego wirze. Bo tutaj... Mnie się wydaje, że tutaj, że nasze rozkoszne sam na sam urocza Dora rada by mieć w formie hieratycznej, podniosłej, uroczystej i przepisanej przez dostojne paragrafy.

SMUGONIOWA

Proszę się ze mnie nie wyśmiewać.

PRZEŁĘCKI

Któż by się śmiał wyśmiewać z tego cudu...  
*obejmuje ją, przyciąga i całuje w usta*

SMUGONIOWA

*z przerażeniem*

Co my robimy! Boże miłosierny, odpuść mi! Tu w szkole... całuję się z obcym...

PRZEŁĘCKI

Oto właśnie... Nauczycielka! Cha, cha...

SMUGONIOWA

Proszę się nie dziwić. Tak przywykłam do tych ławek pełnych dzieci... Zdawało mi się, że dzieci patrzają...

PRZEŁĘCKI

Proszę się uspokoić i raz wyjść z tego... dzieciństwa...



SMUGONIOWA

Ja panu powiem prawdę. Ten pierwszy pocałunek nie sprawił mi rozkoszy. Przeciwnie... Taki musiał być pocałunek Judasza.

PRZEŁĘCKI

Judasza... O, źle!

SMUGONIOWA

Ja o tej chwili tak strasznie... tak strasznie... dawno marzyłam...

PRZEŁĘCKI

Bo ty, dziecko, zdolna jesteś do upajania się uczuciami, nie do upajania się pocałunkami... Ale to się zmieni. To się zmieni...

SMUGONIOWA

Jak pan zechce, tak będzie...

PRZEŁĘCKI

Jak pan zechce... Otóż pan zechce cię wprowadzić w życie. Będziemy troszeczkę hulać... Bo ja jestem człowiek wesoły, nawet pusty. Lubię knajpować nocami, patrzeć na tłum, pijany, tangujący, shimmujący, jawujący, gdy wszyscy musują jak szampańskie wino. Dym, gwar, dowcip, pękają niezrównane, jedyne w swoim rodzaju określenia, których za dnia się nie usłyszy. Piją wszyscy, piją artyści i uczeni, subtelni poeci i wyszukane snobinety. Późna noc...

SMUGONIOWA

I to ja... tam?... Ja jestem taka prosta, taka z prowincji...

PRZEŁĘCKI

Nauczymy się wszystkiego. Jedna noc starczy ci za całe kursy.

SMUGONIOWA

I jakże to? My tu z mężem stoimy na czele towarzystwa przeciwpijackiego. Oduczylśmy od wódki chłopów z kilku okolicznych wsi.

PRZEŁĘCKI

No, chłopów! Chłopów! Chłop nie powinien pić. Ale tam, moje dzieciątko, nie podobna nie pić. Cóż by człowiek robił, jakby się czuł wśród wykwintnych ludzi, wśród kwiatu kultu-

ry, wśród najsubtelniejszych pomazańców cywilizacji, którzy ryczą, wyją, ośliniają się pocałunkami, gadają niestworzone banialuki, a nawet rozbierają się do naga...

SMUGONIOWA

I to ja... tam?... A gdzież Jaś... wtedy?

PRZEŁĘCKI

Znowu ten utrapiony Jaś?

SMUGONIOWA

Ja... późno w nocy hulam... A jeśli on tu zacznie płakać?

PRZEŁĘCKI

Ty robisz na mnie wrażenie tych majolikowych figurynek Łukasza delia Robbia, skrepowanych powijkami od stóp do głów. Długo trzeba będzie jeden po drugim odwijać te powijaki.

SMUGONIOWA

Może bym ja z Jasiem mogła mieszkać osobno? Zupełnie osobno...

PRZEŁĘCKI

Co też ty, dziecko, mówisz!...

*śmieje się. do rozpuku*

Osobno... Jest to naiwne, nawet bardzo miłe...

SMUGONIOWA

W głowie mi się kręci. Zburzyłam wszystko. A teraz...

PRZEŁĘCKI

To tak wydaje się w pierwszej chwili. Później przyzwyczaisz się i zapomnisz.

SMUGONIOWA

O czym zapomnę?

PRZEŁĘCKI

O całym tutejszym parafiańskim świecie uczuć i myśli. Będę w tym, że zapomnisz.

SMUGONIOWA

Niektórych parafiańskich przyzwyczajęń nawet pan nie zdoła ze mnie wykorzeńić.

PRZEŁĘCKI

Sama pani mówiła tutaj, że ja zdołam dokonać wszystkiego, co zamierzę.

SMUGONIOWA

*błagalnie*

Niech pan nie będzie taki dla mnie okrutny, taki nieznany, taki obcy! W pańskich oczach jest coś z Judasza... Pan chyba umyślnie chce mię przerazić, ukazać mi piekło mego upadku.

PRZEŁĘCKI

Jest już i „piekło upadku”... Umówiliśmy się ze Smugoniem, że dziś dam mu ostateczną odpowiedź...

*Wchodzi Księżniczka. Za nią uchodzi Wilkosz, Ciekocki, Kleniewicz, Zabrzeziński, Małowieski, Radostowiec i Bukański.*

KSIEŻNICZKA

*do Przełęckiego*

Opuścił nas pan profesor w najważniejszej chwili.

PRZEŁĘCKI

Musiałem, pani.

KSIEŻNICZKA

Wielka szkoda! Oglądaliśmy uważnie i pilnie pański zamek. Niestety, bez właściciela.

WILKOSZ

Nic nie wiemy, z której to wieży będzie pan dawał okolicy swe świetlne sygnały. Czy to z tej narożnej?

PRZEŁĘCKI

Żałuję, że nie mogłem czynić honorów domu czy tam honorów gruzów, ale trudno.

CIEKOCKI

No, mogłeś kolega, co prawda, znaleźć chwilę...

KLENIEWICZ

Oderwać się od obowiązków tutaj na dole i wstąpić na górę.

PRZEŁĘCKI

Nie mogłem. Otrzymałem telegram, że jego ekscelencja pan minister przyjeżdża.

KSIEŻNICZKA

A, to co innego! Tutaj przyjeżdża?

WILKOSZ

Przyjeżdża? Na serio? Przyjeżdża? Ajaj! I co? I co?

PRZEŁĘCKI

I nic. Posłaliśmy z panią Smugoniową konie na dworzec. Pan Smugoń pojechał.

KLENIEWICZ

Pan Smugoń pojechał? Dobre sobie! My wszyscy siedzimy tutaj, a pan Smugoń pojechał. Trzeba było, żeby ktoś z nas pojechał!

ZABRZEZIŃSKI

Wszyscy powinniśmy byli pojechać na stację!

PRZEŁĘCKI

Powinniśmy byli nie tylko pojechać, ale rozstawić się szeregiem na kilometr przed stacją i powiewać chustkami do nosa. Nie zrobiliśmy tego. Zaniedbaliśmy się w naszych obowiązkach. Trudno.

WILKOSZ

Kpinkie kpinkami, a co się komu należy, to mu trzeba oddać. Za zaborców – gdyby jakiś tam minister przyjeżdżał, toby wszyscy podwładni istotnie stali w szeregu, trzymając *ruki po szwam*. Jak swoja władza, to zaraz i swojskie kpinki.

PRZEŁĘCKI

Swoja władza! Swoja władza!

ZABRZEZIŃSKI

Tylko, proszę cię, Przełęcki, bez tych tam!...

BUKAŃSKI

Ciekawym, co to miało znaczyć – „swoja władza”!...

PRZEŁĘCKI

Ja nie mogłem jednocześnie wrywać na zamek po panów i konie wysyłać. Jeszcze jest czas. Jeszcze pociąg na stację nie przyszedł. Dopiero wyszedł z poprzedniej. Pędźcie, kolesi. Możecie jeszcze zdążyć.

BUKAŃSKI

Rychło w czas!

PRZEŁĘCKI

W najgorszym razie spotkacie ekscelencję w drodze do szkoły. Cóż to szkodzi! To będzie jeszcze bardziej wzruszające.

KSIEŻNICZKA

Są tutaj do rozporządzenia moje konie.

PRZEŁĘCKI

O! Są konie do rozporządzenia. Pomkniecie jako huragan zbiorowych uczuć należnych – i zdążycie.

BUKAŃSKI

To jedźmy w samej rzeczy, jeżeli p a n i pozwoli...

KSIEŻNICZKA

Proszę! Proszę!

KLENIEWICZ

Przełęcki! Wsiadajcie pierwszy.

PRZEŁĘCKI

Ja nie pojedę.

KLENIEWICZ

Dlaczego? Cóż znowu za dąsy?

RADOSTOWIEC

Chce, żeby ekscelencja do niego, nie on do ekscelencji.

PRZEŁĘCKI

A żebyś wiedział, geologu!

WILKOSZ

Więc jak? Jedziemy?

MAŁOWIESKI

Rzeczywiście jest już trochę późno. Nie możemy wyskakiwać na pół drogi!

KSIEŻNICZKA

*patrzy na zegarek*

Gdyby panowie jechali, to trzeba by natychmiast.

ZABRZEZIŃSKI

Zrobiliśmy rzecz niewłaściwą, nietaktowną.

CIEKOCKI

Licho wie, po jakimu to jest!

WILKOSZ

Niby to jedno nas tłumaczy, że jesteśmy tutaj jako grupa ludzi pracująca prywatnie.

BUKAŃSKI

Skoro minister do tej grupy przyjeżdża, to już ona nie jest grupą prywatną.

WILKOSZ

Usprawiedliwimy się. Bo przecie w istocie późnośmy się dowiedzieli.

RADOSTOWIEC

I tak będzie łoskot, skoro posłyszysz: zamek posiadliśmy!

WILKOSZ

Właśnie! Będzie o czym mówić. Sprawa naszej prezentacji zejdzie na plan drugi.

KLENIEWICZ

Może to i lepiej, żeśmy nie wyskoczyli jak na galówkę.

WILKOSZ

Lepiej, nie lepiej...

CIEKOCKI

Teraz już koledzy znajdują, że lepiej się stało.

KLENIEWICZ

Mój Jasiu! Złego się nic nie stało. Pan Smuğun jest tu stałym urzędnikiem państwowym i on wysokiego gościa przyjmuje na dworcu. A my tu sobie jesteśmy bractwem dobrej woli. Więc tu na miejscu czekamy. Jesteśmy na wakacjach, więc tu na miejscu.

WILKOSZ

A wiecie, koledzy, że w tym jest sens, co tu kolega Kleniewicz wyłożył. Doprawdy jest sens. Tu na miejscu.

RADOSTOWIEC

Trzeba tylko, żeby kolega Przełęcki zaświecił co się zowie!

WILKOSZ

Otóż to właśnie! Kolega Przełęcki! Teraz kolega ma głos!

KLENIEWICZ

Trzeba wysokiego przybysza z miejsca ogłuszyć.

WILKOSZ

A tak! Niechże i on staje do naszej pracy!

MAŁOWIESKI

Kolega Przełęcki rozwinie w całym blasku wielką ideę porębiańskiego zamku, wysnuje plan wielkiego dzieła, sprecyzuje przede wszystkim swe zamierzenia, potem...

KSIEŻNICZKA

Oczywiście profesor Przełęcki jako właściciel zamku...

WILKOSZ

Nie ma potrzeby wskazywać koledze Przełęckiemu, co ma mówić. Sam wie doskonale. Ale my, panowie, musimy podzielić role między siebie.

KLENIEWICZ

Mówię tylko, że profesor Przełęcki zagaja...

PRZEŁĘCKI

Nic nie będę zagajał.

WILKOSZ

Cóż znowu? Dlaczego?

PRZEŁĘCKI

Nic tutaj nie będę mówił.

KSIEŻNICZKA

O darowiźnie zamku. Tylko o tym.

PRZEŁĘCKI

Szanowna pani! Nie możemy naszej tutejszej zabawy, mistyfikacji i wakacyjnej dziecinnady prezentować człowiekowi piastującemu wysoki urząd.

WILKOSZ

Dziecinnady, mistyfikacji, zabawy... wysoki urząd...

PRZEŁĘCKI

Czyliż koledzy myślą na serio mówić z ekscelencją o farsie, o tym śnie poranku letniego, który tu odgrywaliśmy przed wyjazdem na zamek?

WILKOSZ

*rozdrażniony*

Nie rozumiem! Farsa?... Nie rozumiem!

KSIEŻNICZKA

*do Przełęckiego*

Czyż pan profesor odrzuca swą władzę nad zamczyskiem?

PRZEŁĘCKI

Wkrótce wysoki gość nadjedzie, więc panowie musicie się naradzić z ofiarodawczynią gruzów zamkowych, co właściwie zamierzacie z tymi gruzami robić. Ja nie wchodzę w rachubę ani nawet nie należę do rady.

ZABRZEZIŃSKI

Co kolega mówisz! Rzecz jest dokonana! Jeżeli nie sporządzona rejentalnie, to zamknięta *de facto*, skoro ofiarodawczyni na pana górę z zamkiem ceduje.

PRZEŁĘCKI

*ze śmiechem*

Ach! Więc kolega brał na serio ten kawał?



SMUGONIOWA

*do Przełęckiego*

Jakże można odbudowę zamku nazwać – kawałem!

PRZEŁĘCKI

Proszę pani – ja zawsze nazywam rzeczy i sprawy po imieniu.

WILKOSZ

Sameś kolega rozwinął tę sprawę, nas podmówił, a teraz nazywa to wszystko wobec nas wszystkich – kawałem. Ja nie pozwalam, żeby mię kto brał na kawał!

PRZEŁĘCKI

Doprawdy, dziwni z panów ludzie! Profesorowie uniwersytetów dali się wziąć na tak uczniowskie czy pensjonarskie fantazje!

KSIEŻNICZKA

*do Przełęckiego*

Pozwoli pan, że go zapytam otwarcie.

PRZEŁĘCKI

*do Smugoniowej*

Czy to może będą wyż wzmiankowane oświadczyzny?

*do Księżniczki*

Słucham!

KSIEŻNICZKA

Więc wyzywanie mię na darowiznę Porębian było dążeniem do okrycia mię śmiesznością, do zrobienia ze mnie operetkowej figury?...

PRZEŁĘCKI

Skądże! Sądziłem, że to jest wstęp, pierwszy krok...

SMUGONIOWA

*do Przełęckiego*

Co pan mówi! Co pan robi!

KSIEŻNICZKA

Wstęp? Nie rozumiem...

ZABRZEZIŃSKI

No, wstęp, pierwszy krok do tego czarodziejskiego dzieła, które tu mieliśmy stworzyć...

PRZEŁĘCKI

Nie bronię przecie i teraz nikomu, żeby snuł ów poemat.

SMUGONIOWA

*do Przełęckiego*

Panie profesorze! Co pan tutaj mówi, co robi!

PRZEŁĘCKI

Cóż takiego? Robię czy mówię cokolwiek złego?

SMUGONIOWA

Księżniczka, szlachetna opiekunka naszej szkoły, ofiarowała panu zamek, złożyła nawet deklarację, że go wyrestauruje. Tam już w roku przyszłym miały się odbywać wykłady. A przecież sam pan to mówił... Teraz co?

PRZEŁĘCKI

A nie przypominacie sobie państwo słów, które tu wyrzekł człowiek miarodajny, administrator dóbr księżniczki, pan Bęczkowski?

SMUGONIOWA

Owszem, pamiętamy, co mówił pan Bęczkowski, i pamiętamy pańską odpowiedź.

PRZEŁĘCKI

Znacie państwo tę bajeczkę, więc posłuchajcie! Pan Bęczkowski mówił, że gdyby, czego Boże broń, wybuchła tutaj rewolucja, to ta rewolucja jako pierwszy obiekt zburzy, zmiecie, zgładzi z powierzchni... porębiański wyrestaurowany zamek. – Tak mówił – prawda? Miał rację czy nie?

SMUGONIOWA

Pan się o to pyta?

PRZEŁĘCKI

Otóż, moi państwo – pana Bęczkowskiego tutaj nie ma, więc możemy mówić otwarcie – on sto razy ma rację.

ZABRZEZIŃSKI

Słyszycie koledzy! Przełęcki stwierdza, że ów pan Bęczkowski miał rację takie głosząc duby smalone!

PRZEŁĘCKI

Pytam się kolegi jako człowieka nauki, który na czulej szali logiki waży każde swoje twierdzenie: czy to jest niemożliwe?

KLENIEWICZ

W życiu jest wszystko możliwe... Kiedy byłem...

CIEKOCKI

*z cicha do kolegów*

Jest! W Krasnojarsku...

KLENIEWICZ

*ze złością*

Na złość nie w Krasnojarsku, tylko na Ukrainie. W czasie rewolucji los mię zapędził do pewnego dworu na zapadłej Ukrainie. Mieszkał tam człowiek przezacny, ideowiec, marzyciel, zaiste baranek boży. Przed wojną, w ciągu wielu lat znaczną część swoich dochodów oddawał na kształcenie w szkołach dwu chłopców ze wsi przyległej...

ZABRZEZIŃSKI

Prędzej, prędzej!

KLENIEWICZ

Założył w tejże wsi czytelnię, szpitalik, sklep, był maniakiem altruizmu i chłopomaństwa.

ZABRZEZIŃSKI

No i co? Bo ja chcę zaatakować Przełęckiego.

KLENIEWICZ

Otóż we wsi tego chłopomana wybuchła rewolta. Chłopi w wielkiej sile naszli dwór.

CIEKOCKI

Chłopi istotnie powiesili chłopomana. *Quod erat demonstrandum.*

KLENIEWICZ

A właśnie, że nie! Ani go tknęli. Chybiłeś...

CIEKOCKI

To gdzież jest anegdota?

KLENIEWICZ

Tamtego nie tknęli. To jest, nie można powiedzieć, żeby wcale, bo i mnie się dostało zaczynając od karku. Ale takie faramuski się nie liczą. Lecz on zbierał książki, miał wspaniałą bibliotekę, gdzie ja się właśnie przyczaiłem. Tom w tom był oprawny w białą skórę...

CIEKOCKI

Jeżeli skonfiskowali owe książki i zabrali je do swej biblioteki wiejskiej, to ostatecznie...

KLENIEWICZ

Jasiu! Wciąż kulą w płot. Chłopoman oprócz biblioteki miał znakomitą, zarodową oborę, jakieś tam szwyce, więc kmiecie ukraińskie spędziły owe krowy i buhaje na dziedziniec. Każdej sztuce okręcili łańcuch około karku, koniec łańcucha przrzucili przez konar wielkiej lipy, podciągali *viribus unitis* każdą sztukę w górę, a pod tylnymi racicami i połędwicą rozpalili wielkie ognisko.

ZABRZEZIŃSKI

Piekli żywą pieczeń. Niezła anegdota.

KLENIEWICZ

Chłopomana przymusili, żeby siedział w ganku i patrzył na tortury jego dobytku. Tylko tyle. W oczach mu podswędzali i urządzali całopalenie owych szwyców aż do skutku.

CIEKOCKI

Jeszcze nie widzę najluźniejszego związku z biblioteką w białych oprawach z cielęcej skóry.

KLENIEWICZ

A z biblioteki w białych oprawach z cielęcej skóry zrobili we wsi trotuar. Tom przy tomie pracowicie ułożyli formatami – foliały, czwórki, ósemki – w błocie ukraińskim i wyprowadzili pyszny chodniczek wzdłuż wsi.

PRZEŁĘCKI

Dziękuję koledze. To jest argument. To jest dowodzenie oparte na doświadczeniu.

CIEKOCKI

To jest opowieść o pewnym zdarzeniu, które zaszło daleko od nas, na Dzikich Polach – a nie żadne dowodzenie.

PRZEŁĘCKI

A nie! To jest argument. Lud ma straszliwie długą pamięć. Porębiany od niepamiętnych wieków były twierdzą przemocy, siedliskiem tyranii, gniazdem gwałtu i instytucją ucisku.  
*do Księżniczki*

Przepraszam, że używam takich wyrazów...

KSIĘŻNICZKA

Proszę pana profesora o nieodmawianie sobie przyjemności użycia żadnego wyrazu.

PRZEŁĘCKI

Dziękuję za ten list żelazny. Otóż – wreszcie stare zamczysko runęło w gruzy. Na wieki! Oczy ludu widziały, iż runęło na wieki. Legenda poniosła wieść od wsi do wsi, od chaty do chaty, od wezgłowia do wezgłowia: już Porębiany runęły na wieki. Już stara krzywda w gruzach leży.

CIEKOCKI

To jest legenda twoja. Takiej legendy nie było i nie ma.

PRZEŁĘCKI

A teraz oczy ludu z najdalszych wsi zobaczyłyby znowu dach na ruinie, nowe okna, nowe drzwi, nowe schody. Światła w oknach! Biada!

WILKOSZ

Zobaczyłyby pańskie światła w narożnej wieży!

ZABRZEZIŃSKI

Czerwona latarnia kolegi ostrzegałaby ich przed burzą!

PRZEŁĘCKI

Nie! Zobaczyliby przede wszystkim: stary zamek ożył znowu! Przypomnieliby sobie klechdy straszne pradziadów i prapradziadów, klechdy swe własne, których Ciekockiemu nie opowiedzą – jak to wojewoda siec ich kazał różgami, a kasztelan w najgorsze mrozy i burzę pędził po tej nagiej ziemi. I tę wskrzeszoną ruinę mieliby wciąż w nienawistnym oku. Czatowaliby, czekali z utęsknieniem na chwilę, żeby ją na nowo zgładzić.

CIEKOCKI

Zapobieglibyśmy tej nienawiści naszą pracą. Ja się znam na legendach ludu. Ja je wszystkie umiem na pamięć. Znam jego duszę i mowę, bo sam z ludu pochodzę. Oświadczam tutaj koledze Przełęckiemu: mylisz się!

PRZEŁĘCKI

Nie myślę się. Toteż byłbym chyba obłąkanym, odbudowując ten zamek.

CIEKOCKI

To sobie idź! idź! My sami go będziemy odbudowywać!

PRZEŁĘCKI

Każdemu wolno. Co do mnie, to odbudowywałbym go na to, żeby tą odbudową właśnie przygotować, wywołać, sprawić jego zniszczenie. Im bardziej bym się mozolił nad jego wskrzeszeniem z martwych, tym ognistszą prowadziłbym propagandę za jego ostatecznym zniszczeniem.

RADOSTOWIEC

Kolego Edwardzie! Nie macie prawa tak mówić, bo to są nędzne sofizmaty.

ZABRZEZIŃSKI

Nie masz prawa! Zastanów się! Zastanów się, co mówisz i wobec kogo.

WILKOSZ

Fircyk!

PRZEŁĘCKI

*do Wilkosza*

Panie profesorze!

WILKOSZ

Rachuję się ze słowami i powtarzam: fircyk!

PRZEŁĘCKI

A więc niechże sobie będzie – fircyk. Ów fircyk chciał wybadać panie i panów, o ile są zdolne i zdolni do żywota w złudzeniach.

KSIEŻNICZKA

Właśnie, że będziemy żyli tymi złudzeniami, które nam pan tutaj ukazywał!

SMUGONIOWA

Bez tych złudzeń czymże byśmy żyć mogli?

PRZEŁĘCKI

Istotą rzeczy, nie romantyką. Czyż nie widzicie, że z każdej dziury, z każdego węgła czai się i ziejie nienawiść?

WILKOSZ

Pan byłeś tym, który zamierzał pracą niestrudzoną, prawdą najrzetelniejszą, rozwojem pojęć niewątpliwych niweczyć tę nienawiść. Pan sam wszcząłeś tę pracę. A teraz: „Figaro tu...”

KSIEŻNICZKA

Miała się tu rozpalić pochodnia nowego życia. Miała się tu zacząć ta głęboka orka, która da wiedzę i chleb wszystkim. Nawet ja nie byłam odepchnięta...

PRZEŁĘCKI

Otóż dowiedzcie się państwo, że was oszukiwałem. Ja nie wierzę w skuteczność tej pracy.

RADOSTOWIEC

A w cóż kolega wierzysz?

BUKAŃSKI

Coś tu wygadywał, deklamatorze?

WILKOSZ

„...Figaro tam!”

PRZEŁĘCKI

Zaraz! Po kolei i spokojnie, spokojnie! Że się komuś powie w nos: Figaro albo deklamator – to jeszcze nic nie jest.

SMUGONIOWA

*do Przełęckiego*

To nic nie jest?

*z rozpaczą*

Co się tu dzieje? Panie profesorze Przełęcki!

PRZEŁĘCKI

A co?

SMUGONIOWA

Pan śmie słuchać takich zniewag! Pan śmie! Pan śmie mówić takie rzeczy wobec mnie... wobec tutejszej nauczycielki. Pan... wobec mnie, która... której...

PRZEŁĘCKI

Pani nie jest dzieckiem ze szkółki...

CIEKOCKI

*w furii*

Po coś kolega tutaj przyjechał? Ja, na przykład... Mówię o sobie, ponieważ ten temat najlepiej znam... Uczę gramatyki... Badam mowę ludową i milczę o moich celach. Milczę o tym, dlaczego zbieram i badam mowę ludową. Zbieram ją i basta! Milczę o tym, dlaczego to robię. Rozumiesz mnie czy nie?

PRZEŁĘCKI

To jeszcze mogę zrozumieć, że ty milczysz. Ciekocki zbiera mowę ludową i milczy, a ja to jednak rozumiem.

CIEKOCKI

*w furii*

Ale ty! Tyś się tu pętał między nami, tyś się tu szastał i prastał! Gadałeś tu ile wlezie, od świtu do nocy. Obnosiłeś tu ideały. Chciałeś być sercem dzwonu. Tyś tu w nas dzwonił. Podniecałeś nas, gdyż jakoby byliśmy za mało podnieceni. Tyś był na wysokościach, a my nie! Rozumiesz mnie?

PRZEŁĘCKI

Nawet i rozumiem. Profesorze Ciekocki – rozumiem. Ja byłem na wysokościach, a wy nie. Teraz wy tam możecie być, na wysokościach. Rozumiesz mnie?

CIEKOCKI

Po coś tu przyjechał? Jeszcze raz ci się pytam!

PRZEŁĘCKI

Zaraz odpowiem. Ale proszę o spokój. Przyjechałem, rozczarowałem się do tutejszych robot i odjadę. Odjadę zaś dlatego, że tutaj dopiero na miejscu przestałem wierzyć we wszystko, co się tu robi.

WILKOSZ

Spokojnie? Dobrze – spokojnie. Jakże to można w to nie wierzyć? Nie wierzyć w to, że nasi nauczyciele ludowi słuchając nas, obcując z nami uczą się historii, geologii, geografii, botaniki tej tu okolicy, że się uczą gramatyki, dowiadują istoty rzeczy o każdym zabytku, o ziemi, wodzie, powietrzu... Profesor Przełęcki nie wierzy w pożytek tej nauki, nie wierzy w to, co widzi i uznaje każdy parobek, stróż nocny, pachciarz...



PRZEŁĘCKI

A nie wierzę! Nie wierzę, gdyż nasz tutaj pobyt i wykład jest szkodliwy.

RADOSTOWIEC

Szkodliwy jest nasz tutaj pobyt i wykład? Powtórz to!

PRZEŁĘCKI

Powtarzam: jest szkodliwy!

BUKAŃSKI

Dla kogo szkodliwy?

CIEKOCKI

Szkodliwy jest mój wykład gramatyki?

BUKAŃSKI

Geografia jest szkodliwa?

MAŁOWIESKI

A botanika jeszcze jak!

PRZEŁĘCKI

A cóż powiecie na to, jeśli nauczyciel ludowy oświadcza: Od czasu, gdyście tu przyszli z waszymi kursami, z waszymi ideami, z waszym nauczaniem, z całym waszym wyższym światem, nie ma dla mnie innego wyjścia, tylko w łeb sobie palnąć albo uciekać do Ameryki.

SMUGONIOWA

*w przerażeniu*

Po co pan to mówi? Panie profesorze!...

WILKOSZ

Są tacy wśród naszych słuchaczy? Są tacy?

PRZEŁĘCKI

Są tacy na pewno. Niech pani Smugoniowa powie, czy takich nie ma!

SMUGONIOWA

*stchórzyła*

Cóż ja? Dlaczegoż ja?

CIEKOCKI

Koledzy! Ależ ten człowiek kpi sobie z nas!

MAŁOWIESKI

Ależ to wstyd słuchać!

PRZEŁĘCKI

Nasze tutaj wykłady, oddziaływania, gadania dobrego przyniosły niewiele, prawie nic, a złego – w bród. Ze skutków należy sądzić o wartości przyczyny.

BUKAŃSKI

Kłamstwo!

KLENIEWICZ

Przykład wskazać!

PRZEŁĘCKI

Poprzewracaliśmy w głowach ludziom prostym! Zburzyliśmy wszystko, co stało na miejscu!

KLENIEWICZ

Przykład wskazać!

MAŁOWIESKI

Dowód!

PRZEŁĘCKI

Dowód? Wyśmienicie! Weźmy... ale w takim razie muszę mówić otwarcie, wskazywać palcem. Panowie mię zmuszacie.

WILKOSZ

Dalej go! Śmiało! Pana stać na to!

CIEKOCKI

Co sobie masz żałować!

PRZEŁĘCKI

Weźmy, dajmy na to, takiego nauczyciela Smugonia...

SMUGONIOWA

*wzburzona*

Co takiego?!

PRZEŁĘCKI

Był sobie człowieczyzna cichy, nauczyciel przykładowy, pracownik prowincjonalny, ale pilny i jak się patrzy. A teraz co?

SMUGONIOWA

No? Ciekawam! A teraz co?

PRZEŁĘCKI

Zastrzegłem się, że mię tutaj zmuszono. Chciałem mówić ogólnikowo, chowając szczegóły dla siebie. Skoro żądają dowodów, muszę dać dowody.

SMUGONIOWA

I jakież dowody pan profesor przytoczy na niekorzyść Smugonia?

PRZEŁĘCKI

W gruncie rzeczy – niby nic. Zwróćmy jednak uwagę na to, czym ten człowiek jest teraz zajęty. Bóg wie czym, wszystkim, tylko nie sprawami swego zawodu, tylko nie szkołą.

SMUGONIOWA

*do żywego dotknięta*

Temu człowiekowi można z pewnością niejedno zarzucić, ale nikt mu nie udowodni opuszczania się w pracy. Ja sama to mówię, panie profesorze, choć to dziwnie brzmi w moich ustach. Ja to mówię, bo to prawda.

PRZEŁĘCKI

Zaraz. Państwo mię nie rozumiecie. Nasze kursy miały rozwinąć w nauczycielach ludowych ich, że tak powiem, wartość szkolną. A rozwinęły w nich obok odrobiny znajomości gramatyki, geologii, historii, obok odrobiny wiadomości politycznych – niepomierną sumę ambicji, rozwydrzyły ich, stworzyły w ich duszach karierowiczostwo.

SMUGONIOWA

Na przykładzie mego męża tego karierowiczostwa chyba pan profesor nie dowiedzie.

PRZEŁĘCKI

Przeciwnie, na nim właśnie mogę dowieść. Skoro posłyszał, że tu zjeżdża ekscelencja, wyskoczył na spotkanie niczym bystronogi jeleń. Dawniej byłby się trzymał na uboczu. Byłby

począł – może kto inny... Teraz jest pierwszy z nas wszystkich. To on właśnie opowiada teraz eksceleńcy o tym wszystkim, co się tu dzieje, on wyśpiewuje o Porębianach i zamierzeniach, nie zapominając, rzecz prosta, o sobie.

WILKOSZ

A niechże sobie. Alboż i on tu nie pracował? A zresztą jest tu urzędnikiem, więc jest na miejscu.

PRZEŁĘCKI

Gdyby nas tu nie było, gdybyśmy mu za dnia i w nocy nie świecili naszymi tytułami, pozycjami, aspiracjami, posadami i wysokimi miejscami na świecie, pracowałby na swojej grzędzie z pożytkiem. Nawet we śnie nie śniłaby mu się inna kariera.

CIEKOCKI

Podróż do Chin pana profesora Przełęckiego.

PRZEŁĘCKI

Dowiedział się tego i owego, coś tam niedokładnie pochwycił – i zepsuł się moralnie. Już teraz przez całe swoje życie, o ile tu zostanie, będzie się tu nudził, będzie sobie krzywdował. Nic dziwnego: inny mu pokazaliśmy świat, a każemy mu siedzieć w starym jego światku. Już mu to miejsce nie będzie pachniało, wiercie mi!

BUKAŃSKI

Jednym słowem: im mniej światła, tym lepiej?

PRZEŁĘCKI

Pytanie jest zanadto kategoryczne, żeby na nie odpowiedzieć. Niewątpliwie jest to, iż zachodzi potrzeba wyciągnięcia nad rzeszą tutejszych nauczycieli rąk jakichś mocnych, pokazanych, wszechwładnych, które by z nich ściągnęły nasz szkodliwy urok. Zachodzi taka potrzeba, wiercie mi!

SMUGONIOWA

*cicho, boleśnie*

Ach! Ach!

KSIĘŻNICZKA

Z najgłębszym zdumieniem słucham tego, co pan profesor tutaj głosi. Jest to coś absolutnie innego od wykładów w stolicy. Jest to jakieś przykre, bolesne, okropne samozaprzeczenie. Jestem w głębokiej rozterce. Chcę zapytać...

PRZEŁĘCKI  
Słucham.

KSIĘŻNICZKA  
Czy pan przyjmuje darowiznę zamku?

PRZEŁĘCKI  
*z uśmiechem*  
Skądże!... Nigdy w świecie. Ale są przecie ci panowie, gremium profesorów...

KSIĘŻNICZKA  
*sucho*  
Ja tu już nadmieniłam, że mogę ofiarować zamek tylko panu. Taki był mój kaprys.

PRZEŁĘCKI  
Dlaczegoż to, pani, ja jeden miałbym być godnym tego zamczyska z grona tylu innych, najbardziej godnych?...

KSIĘŻNICZKA  
Powiedziałam: kaprys.

PRZEŁĘCKI  
Skoro to był tylko kaprys, odpowiadam kapryśnie: zrzekam się zamku. Kaprys za kaprys.

KSIĘŻNICZKA  
W takim razie posuwam mój kaprys jeszcze dalej: cofam darowiznę w ogóle.

PRZEŁĘCKI  
Widocznie nie dobro sprawy było podniętą do tej darowizny, lecz coś zgoła innego.

KSIĘŻNICZKA  
Nie będę już dociekała, co mi pan profesor przypisać raczy jako pobudkę mej ofiarności.

PRZEŁĘCKI  
Och, po cóż dociekać! To rzecz oczywista, powszechnie znana.

KSIĘŻNICZKA  
Doprawdy zaciekawił mię pan! Skoro wiedzą wszyscy, powinnam i ja się dowiedzieć.

PRZEŁĘCKI

Dowiedzieć się – bardzo łatwo. Dość, żeby pani przypomniała sobie swe niedawne zwierzenia...

KSIEŻNICZKA

Zwierzenia...

SMUGONIOWA

*do Przełęckiego*

Obmierzły plotkarz!

PRZEŁĘCKI

Plotkarz, plotkarz... W istocie – nie nadaję się do sekretów...

WILKOSZ

Rozwiał się nasze górne marzenia. Śpij w gruzach, zamczysko Pawła z Przemankowa! Widać jeszcze nie pora na twoje przebudzenie. Ale żeby ten przebudziciel, inicjator, który mógł wskrzesić... oo!

PRZEŁĘCKI

Ubył wam inicjator. Bez niego nie dacie sobie rady.

BUKAŃSKI

Przynajmniej byś p a n milczał!

PRZEŁĘCKI

Przeciwnie! Teraz dopiero zacznę mówić! Będę wam krzyczał w uszy! Cóż to, czy nie widzicie, co się święci?

RADOSTOWIEC

Co się święci? Znudziło się p a n u pracować tutaj z nami. Na innego chcesz się przesiąść konika. No to – jazda!

MAŁOWIESKI

I bez twoich kazań damy sobie radę!

WILKOSZ

Już mi się to, koledzy, nie bardzo podobało, kiedy tu ten pan rozwijał program swych wykładów z zakresu przyrody. Bo – gdzież to? O ujarzmieniu pary wulkanów, o zużytkowaniu

przyływu i odpływu morza, o zbadaniu i użyciu światła zorzy północnej, o wynalazkach i projektach wynalazków, a nade wszystko o teorii względności! Macież teraz w praktyce ową teorię względności. Z prostymi umysłami należy iść powoli, krok za krokiem. Co dziś kolega wyrabiasz? Co mówisz?

PRZEŁĘCKI

Dziś wam mówię: strzeżcie się! Nie budźcie licha! Siekiera jest przyłożona do korzeni tego drzewa, pod którego cieniem igracie w starą zabawkę „odrodzenia”.

CIEKOCKI

Cóżeś to taki znowu radykalny?

KLENIEWICZ

Tchórz radykalny!

PRZEŁĘCKI

W istocie strach mię obleciał.

KLENIEWICZ

Za mało tu jeszcze miałeś powodzenia.

PRZEŁĘCKI

Ty tu, Kleniewicz, odziedziczysz po mnie powodzenie. Mówię wam: ci, co tu przyjdą i zączną wydawać rozporządzenia pod grozą krwawego topora, będą wiedzieli, czy wskrzesić Porębiany, czy nie. Będą mieli środki po temu. Nie będą czekali na kaprys łaski, a dłonią, z której będzie ściekała krew, zduszą kaprys nielaski... A cóż my, ciemności?

CIEKOCKI

Ktokolwiek by tu przyszedł ze swoją grubą i grubiańską siłą, musi przyjść do nas i nas pytać o radę.

PRZEŁĘCKI

Przynajmniej pychy macie zapas.

CIEKOCKI

To nie pycha. Gdyby mi głowę położyli na krwawym swym pniaku, a podnieśli siekiere, o której ty mówisz, i kazali odwołać chociażby jedno zamierzenie, chociażby jedno z mych twierdzeń, którym ze swych studiów wyciągnął, nie odwołam ani jednej litery.

PRZEŁĘCKI

O przymiotnikach i przysłówkach, może nawet i o imiesłowie nieodmiennym. Pewnie, że to są twoje aksjomaty. Chociaż, czy możesz przysiąc, że i one – o, względności! – nie ulegną już nigdy innej definicji? Co? Nigdy? A ja, bracie, zmieniwszy „poglądy” wyrywam od was gdzie pieprz rośnie.

CIEKOCKI

No to wyrywaj! A prędeż! Dowiedz się zaś na pożegnanie, że tu wszyscy zostaniemy, że zabieramy się tym goręcej do pracy, że zwiążemy się ustną, a nawet pisaną przysięgą, iż żaden z nas tak jak ty sprawy nie zdradzi. Gdyby zaś, tak jak ty, zdradził...

PRZEŁĘCKI

*lekceważąco*

Zdradził, zdradził...

CIEKOCKI

I niech cię wszyscy...  
*macha ręką i mamrocząc do siebie jakieś wyrazy odchodzi na bok*

WILKOSZ

Ja panu także chcę powiedzieć...

PRZEŁĘCKI

Ależ dziękuję! Nie jestem ciekawy.

WILKOSZ

Za to ja jestem szczerzy!  
*milczy, przestępuje z nogi na nogę, namyśla się, wreszcie podchodzi do Przełęckiego i wybuch*

Firecyk!

PRZEŁĘCKI

I cóż z tego za pociecha? Ja mógłbym panu profesorowi odpowiedzieć, dajmy na to: wzburzony, pijany z gniewu król pikowy! I cóż z tego za pociecha?

RADOSTOWIEC

Trzeba powziąć uchwałę. Wykluczyć z naszego grona!

KLENIEWICZ

Stanowczo: wykluczyć!



BUKAŃSKI

To jest przecie ordynarne, grube, grube...

PRZEŁĘCKI

Żebyś nawet najgrubsze wykrztusił, to mnie to nie może dotknąć.

BUKAŃSKI

Zbyt jesteś kolega pewny swej grubej skóry.

KLENIEWICZ

Ja tego płazem nie puszczę! Kursy rozwalić, zamek nam wydrzeć! Uchwała! Uchwała!

PRZEŁĘCKI

Musicie się, panowie, pospieszyć, gdyż dziś wyjeżdżam.

SMUGONIOWA

Pan profesor dziś wyjeżdża?

PRZEŁĘCKI

Tak. Dziś wyjeżdżam.

*Wchodzi administrator Bęczkowski. Profesorowie, żywo dyskutujący, gestykulujący, wzburzeni, skupiają się obok katedry w jednym rogu sceny. – Księżniczka i Bęczkowski w drugim. Pośrodku Przełęcki i Smugoniowa.*

BĘCZKOWSKI

*do Księżniczki*

Czy pani zechce wrócić do siebie?

KSIĘŻNICZKA

Wracam do siebie.

BĘCZKOWSKI

Konie czekają.

PRZEŁĘCKI

Panie administratorze! Trafiły mi do przekonania pańskie argumenty co do odbudowy zamku. Zrzekłem się tej wspaniałej posiadłości.

BĘCZKOWSKI

Argumenty trafiły do przekonania... A!

KSIĘŻNICZKA

*do Bęczkowskiego*

Wdałam się w nie swoje rzeczy pod względem prawnym. Cofnęłam darowiznę.

BĘCZKOWSKI

Cofnęła pani darowiznę... A!

SMUGONIOWA

*do Księżniczki*

Nie! Nasza droga opiekunka, nasza księżniczka nie może tak od nas odejść! Ja wszystko wytłumaczę.

KSIĘŻNICZKA

*do Smugoniowej*

Nie wiedziałam, z kim mówię. Do kogo mówię!

*odwraca się od Smugoniowej*

Panie Bęczkowski.

BĘCZKOWSKI

*usłużnie*

Słucham!

KSIĘŻNICZKA'

Od jutra, tak jest, stanowczo od jutra przystępujemy do odbudowy zamku Porębiany. Trzeba, żeby stanęło kilkudziesięciu ludzi, mularzy, cieślów. Musimy zamek odbudować szybko i zupełnie.

BĘCZKOWSKI

Pani! Co słyszę?

KSIĘŻNICZKA

Szybko i zupełnie! Wszystkie me oszczędności dolarowe poświęcam na ten kaprys.

BĘCZKOWSKI

Pani! Na Boga!

KSIEŻNICZKA  
Powiedziałałam.

PRZEŁĘCKI  
Jak też długo potrwa ten nowy kaprys?

KSIEŻNICZKA  
Potrwa już przez wieki, panie profesorze. Ku wiecznej zaś hańbie pańskiej narożną kwadratową wieżę, tę najwyższą, skąd będą podawane za pomocą latarni znaki o burzy i pogodzie, nazwiemy pańskim imieniem.

PRZEŁĘCKI  
Niestety, pani, nie wierzę w realizację tego kaprysu. Gdybyż, skoro już mają przyjść i zacząć pracę mularze, odbudowali chociaż schody jakie takie na szczyt owej najwyższej wieży...

KSIEŻNICZKA  
Tylko tyle? Schody?

PRZEŁĘCKI  
Pragnąłbym, ażeby okoliczne sentymentalne damy, skoro wchodzić będą na szczyt owej wieży dla oddawania się lubieżnej tęsknocie, nie były narażone na utratę życia.

KSIEŻNICZKA  
*do profesorów*  
Zapraszam panów profesorów na rok przyszły do nowej siedziby w porębiańskim zamczysku.

WILKOSZ  
Będziemy! Pani! Będziemy!

SMUGONIOWA  
*do Przełęckiego*  
I nie żal panu tego świata, któryś nogami podeptał?

PRZEŁĘCKI  
*do Smugoniowej*  
Przecież łatwiej jest uchodzić z okolicy, którą się podeptało nogami, jak to pani obrazowo wyraża, niż z umiłowanego raju. Przecież i pani samej, gdyby miała ten kraj opuścić, łatwiej by było..

SMUGONIOWA

Ja bym nigdy nie mogła opuścić tego świata, gdzie włożyłam moją duszę.  
*placze*

WILKOSZ

*do Smugoniowej*

To, co porobił tutaj ten... na łzy pani nie zasługuje.

SMUGONIOWA

*do Przełęckiego*

Właśnie w tym świecie, przez pana tak zdeptanym, na zawsze pozostanę! Przebłagam tych, przeciw komu zawiniłam. Wiedz pan! Zostanę na zawsze! Ręce sobie po łokcie urobię. Naprawdę wszystko! Niedoczekanie pańskie, żebyś miał tryumfować!

PRZEŁĘCKI

Smutne to, że tutaj wszystko robi się dla jakichś tam sentymentów...

RADOSTOWIEC

Nie sama pani staniesz do pracy! My wszyscy z tobą!

WILKOSZ

My z tobą, paniusiu nasza!

CIEKOCKI

Ale co to tam dużo gadać!

BUKAŃSKI

Niech idzie na złamanie karku ten!...

BĘCZKOWSKI

*do Księżniczki*

Czy pani jeszcze tutaj zostaje?

KSIĘŻNICZKA

Nie, panie, jadę.

*do wszystkich*

Żegnam panów.

*Wychodzi Księżniczka, a za nią nadęty Bęczkowski.*

SMUGONIOWA

Ze mną nie raczyła się pożegnać...  
*Słysząc turkot. Wbiega Smuğun.*

SMUGOŃ

Przyjechał!  
*Profesorowie wychodzą. Zostaje Smugoniowa, Smuğun, Przełęcki.*

SMUGONIOWA

*do męża*  
Dlaczegoś ty wyskoczył na stację?

SMUGOŃ

Jak to „wyskoczyłem”? Nikogo tutaj nie było, więc pojechałem. Profesor nie chciał jechać.

SMUGONIOWA

Tu powinieneś być, na swoim miejscu! Pod twoją nieobecność pan profesor Przełęcki nazywał cię tutaj wobec wszystkich karierowiczem, twierdził, żeś jest zepsuty. Obroń się! Powiedz panu Przełęckiemu, żeś nigdy karierowiczem nie był!

SMUGOŃ

Niewielką wskrobałem sobie karierę...

SMUGONIOWA

To tak się bronisz! Skoro nie umiesz sam, to ja cię zastąpię.  
*do Przełęckiego*  
Wiedz pan, żeś trafił na prostych, lecz uczciwych ludzi. My nie mamy w duszach matactw i oszustw...

PRZEŁĘCKI

Matactw, oszustw... Mówiłem o zwykłych ludzkich ambicjach, które u małżonka pani...

SMUGONIOWA

*do męża*  
Nic nie wiesz, co tu zaszło. Pan Przełęcki wszystko tu przewrócił do góry nogami. Księżniczka wyjechała bez pożegnania się z nami, bo takich narobił plotek. I to profesor... Wstyd!

PRZEŁĘCKI

Plotki, nie plotki... Sama pani mówiła...

SMUGONIOWA

*do Przełęckiego*

Powtarzam panu w oczy: wstyd! Pan nie ma nie tylko swojego zdania, ale zwyczajnej powściągliwości języka!

PRZEŁĘCKI

Że się tam człowiekowi to i owo wymknie... Zapewne jest to wada. Ale któż z nas jest bez winy?

SMUGONIOWA

To jest ten sam człowiek, który nas tu tak olśniewał!

PRZEŁĘCKI

Jeżeli pani zrobiłem przykrość, to przecie nieumyślnie. Gotów jestem przeprosić, odwołać...

SMUGONIOWA

Przeprosić za to, co pan tutaj zrobił...  
*wychodzi*

SMUGOŃ

*do odchodzącej*

Dzieci są z tamtej strony szkoły. Tu je przyprowadź – i niechże zaśpiewają przed ministrem. Idź! Idź!

*Przełęcki przysiada na ławce szkolnej. Zapala papierosa.*

SMUGOŃ

Jakaż to zmiana!

PRZEŁĘCKI

*odetchnął*

Zmiana.

SMUGOŃ

Panie profesorze!  
*zbliża się do Przełęckiego, pochyla się przed nim*

Panie profesorze...

PRZEŁĘCKI

Czegóż jeszcze?

SMUGOŃ

Widziałem w oczach mojej żony, widziałem w jej twarzy... szczęście moje. Ja ją znam.  
z *wybuchem*  
Panie!

PRZEŁĘCKI

Wszystko zrobiłem, com przyobiecał. Przed niczym się nie cofnąłem. Złotą sławę swoją podeptałem nogami, bo takie są moje obyczaje.

SMUGOŃ

Panie mój!

PRZEŁĘCKI

Pójdę teraz stąd i oko wasze już mię nie zobaczy. Pójdę w swoją stronę. Ale wasan pamiętaj! Masz tu teraz za siebie i za mnie robić, com ja zaczął. Tak robić, jakem zaczął, wszystko, com zaczął. Za dwu masz robić!

SMUGOŃ

Będę!

PRZEŁĘCKI

Chociaż mię tu nie będzie, będę patrzył na pańską pracę. A jeśli byś ustał albo psuł, o niewiadomej godzinie przyjdę i zabiorę tę kobietę jak swoją.

SMUGOŃ

Nie ustane, panie! Za dwu nas, za trzech, za dziesięciu będę robił, ile mi starczy sił i rozumu.

PRZEŁĘCKI

Rozumem będą tamci, profesorowie. Pan masz robić, ile w tobie sił.

SMUGOŃ

Przysięgam!

*Schyła się do nóg Przełęckiego i po chłopsku chce objąć jego nogi. Przełęcki odtrąca go. Słychać za sceną śpiew chóralny dzieci:*

Uciekła mi przepióreczka w proso,  
A ja za nią nieboraczek boso.  
Trzeba by się pani matki spytać...

PRZEŁĘCKI

*w głębokim smutku*

Uciekła mi przepióreczka...

*Zapina paltot, który wciągnął na ramiona, idzie do drzwi. Od drzwi wraca z zaciśniętą pięścią  
ku Smugoniowi, który stoi z rękoma założonymi na piersiach.*

Teraz – do roboty! Do roboty! Pamiętaj!

Dnia 7 stycznia 1924



## NOTA REDAKTORA

Brak konkretnych danych, które by pozwoliły określić ściśle termin powstania dramatu *Ponad śnieg*... Sposobem wysoce prawdopodobnego domysłu przyjąć można, że napisany on został w Zakopanem w ciągu lata 1919 r. Wolno wysunąć drugi jeszcze domysł. Powstał on nie bez niejakej inicjatywy Juliusza Osterwy, któremu też został ostatecznie dedykowany. Osterwa przygotowywał się do założenia w Warszawie nowego teatru: „Reduty” i działalność jego chciał zainaugurować wystawieniem dramatu Żeromskiego, którego *Sułkowski* w r. 1917 na scenie warszawskiej, a w r. 1919 na krakowskiej zdobył znaczny sukces. Inaugurację „Reduty” wyznaczono na uroczystość 29 listopada; w końcowym okresie prób brał udział sam autor. Dramat uzyskał niebywałe powodzenie sceniczne, sama „Reduta” zrealizowała w ciągu czterech lat blisko półtrzeciej setki przedstawień, równocześnie wszedł on na sceny Lwowa, Krakowa, Poznania i in.

Na druk wszelako czekać musiał cały rok. Drobny fragment cz. III wyszedł w *Jednodniówce* z lutego 1920 r. Całość ogłoszono w Warszawie nakładem Inst. Wyd. „Biblioteka Polska” u schyłku 1920 r. (z datą 1921, aczkolwiek w „Copyright” widnieje: ... twenty). Utwór doczekał się tłumaczenia na język francuski w r. 1923 (przekład włoski nie dostał się na scenę wskutek zakazu rządowego i nie został ogłoszony drukiem). W Polsce natomiast powodzenia wydawniczego nie miał. Nowe wydanie ukazało się (z błędami!) dopiero w r. 1929 w serii „Utworów dramatycznych” wydania zbiorowego (Wydawnictwo J. Mortkowicza).

Autograf utworu (czystopis) uległ zniszczeniu w czasie drugiej wojny, przeleżawszy długi czas pod gruzami domu w wilgotnej piwnicy. Uratować i odrestaurować zdołano niktę zaledwie jego szczątki. Znajdują się dzisiaj w zbiorach Muzeum Mickiewicza w Warszawie, ale przy nowym wydaniu nie ma z nich żadnej pomocy.

W tym stanie rzeczy jedyną podstawą dla reedycji może być tekst pierwodruku, na ogół starannego i nie wykazującego wielu usterek czy też miejsc wątpliwych. Niewiele ich, niemniej zachodzą i trzeba się tu z nimi jakoś uporać. Trzy miejsca wymagają rozwagi krytycznej a bodajże i poprawy.

Na s. 79 Irena opierając się pokusom uwodziciela, powiada w pierwodruku o mężu: „On dla mnie zrobi wszystko, wszystko bez wyjątku. A ja...” Ten czas przyszły: „zrobi” wydaje się tu podejrzany. Nawet czas teraźniejszy: „robi” nie przystawałby tu dobrze; właśnie żona ma mu za złe, że robi za mało, że nie wzruszają go jej buciki wykrzywione i dziurawe pończochy. A cóż dopiero czas przyszły! Wincenty idzie do wojska, żonę zostawi na chudych zasiłkach z kasy rządowej i nic więcej nie zdoła jej zapewnić. Natomiast w przeszłości zrobił wszystko, bo potopił ludzi i zerwał z matką. Nie zepsujemy właściwego sensu wprowadzając tutaj do tekstu: „zrobił”.

Wypadek drugi, na s. 84. W pierwodruku Światobor mówi tam o „mieścinnie prowincjalnej”. Czy z woli autora? Pisarz na obszarach leksyki jest oczywiście panem udziałnym; może więc tu podobało się Żeromskiemu użyć tego wyrazu niezwykłego? Ale jakież za tym mogłyby mówić racje? Światobor jest inteligentem, posługuje się językiem ogólnokulturalnym, nie wykazującym jakichś nalotów gwarowych. Czy więc wyraz zjawia się z woli autora? Nic za tym nie świadczy. Nie zdaje się, żeby on w takim brzmieniu występował u Żeromskiego gdzie indziej. W każdym razie w tym utworze występuje on jeszcze trzy razy (s. 46, 58, 83; por. nadto 235), lecz stale w brzmieniu normalnym: „prowincjonalny”. Nie będzie i tu występkiem przeciwko ścisłości filologicznej, jeżeli wypadek na s. 84 poczytamy za usterkę i usuniemy ją z tekstu.

Trzeci zaś wypadek na s. 96. Wincenty opowiadając o swym kalectwie wyraża się, że go „w bitwie z Niemcami na strzepy podarto”. „Podarto”, a więc podarli ludzie w jakimś ataku bezpośrednim. Ale skądinąd wiemy (s. 90), że go zmasakrował wybuch pocisku armatniego;

odłamki granatu rozorały mu twarz, urwały rękę i nogę. Wiko jest zresztą przeświadczony, że stało się to z jakiegoś wyższego wyroku, jakąś siłą pozaludzką, że to skutek klątwy matczynej. W tym kontekście zatem właściwsze wydaje się słowo w formie pozaosobowej, nawet pozaludzkiej. Odważamy się zatem poprawić brzmienie i dajemy: „gdy mię [...] na strzępy podarło”.

Poza tym do tekstu pierwodruku wprowadzono zmiany minimalne: jakieś sporadyczne unormalizowanie interpunkcji (prawie wyłącznie w didaskaliach), jakieś uregulowanie dużych liter.

I jeszcze drobiazg. W wydaniu pierwszym autor ujął tytuł utworu w cudzysłowie zaznaczając w ten sposób, że go zaczerpnął z tekstu cudzego (z psalmu 50, stosowanego w liturgii). Ale przy następnym utworze *Uciekła mi przepióreczka...* już tego nie uczynił, choć i tamten tytuł wzięty jest z tekstu cudzego, z piosenki ludowej. W wydaniu niniejszym obydwie tytuły daje się bez cudzysłówów.

Sztuka *Uciekła mi przepióreczka* jest owocem drugiej połowy 1923 r.; datę ukończenia: 7 stycznia 1924 postawił sam autor pod tekstem. Autor zaczął ją zapewne jeszcze w Warszawie późną wiosną, ukończył zaś w miesiącach letnich nad morzem. Pomysł wszelako sięgał jeszcze lata 1922 i był związany z działalnością tzw. wakacyjnych kursów regionalnych w Sandomierszczyźnie. Jesienią 1923 r. utwór w brulionie został nieco przerepracowany, a już w marcu roku następnego pracowano nad nim w studium analitycznym „Reduty”. Prapremiera odbyła się d. 27 lutego 1925. Przyniosła ona autorowi i zespołowi ogromny tryumf sceniczny.

Utwór wydrukowany został nakładem Wydawnictwa J. Mortkowicza w krakowskiej drukarni W. L. Anczyca jeszcze w ciągu r. 1924, choć wydawca udostępnił nakład (Warszawa 1925) dopiero w przeddzień premiery. Wydanie przygotowane zostało z widoczną starannością i pod okiem autora. Zachował się (w Muzeum Świętokrzyskim w Kielcach) egzemplarz złożony z arkuszy trzeciej korekty, wykazujący poprawki samego Żeromskiego. Nakład rozchwymano błyskawicznie, toteż w tym samym roku 1925 wznowiono wydanie, bez zmian wszelako przy użyciu matryc z wydania pierwszego. Te same matryce posłużyły także przy tłoczeniu wydania trzeciego, już pośmiertnego, w serii „Utworów dramatycznych” wydania zbiorowego (Wydawnictwo J. Mortkowicza 1929).

Trzeba więc powiedzieć, że w ten sposób za życia autora utwór składany był drukarsko tylko raz jeden. Przy ustalaniu tekstu podstawowego nie ma tedy powodu do kolacjonowania wydań. Ścisłe biorąc niewiele i pośrednio tylko będzie tu pomocny także tekst rękopiśmienny. Nie dochował on się w czystopisie, posiadamy jedynie pierwszą wersję brulionową utworu. Wchodzi ona w skład spuścizny rękopiśmiennej uratowanej i przechowywanej przez córkę pisarza.

Rękopis ten ma dużą wagę. Jak wiemy, zawiera on wersję pierwotną od definitywnej dość znacznie odmienną. Dla umożliwienia studium nad sztuką rzeźby stylistycznej pisarza powinien on zostać udostępniony w podobiznie. Tutaj oczywiście ani miejsce, ani czas na bliższe wchodzenie w szczegóły. Wystarczy powiedzieć ogólnie, że brulion mieści tekst krótszy, że brak w nim całych scen, które zostały dopisane dopiero później. I to scen niebagatelnych. Dla ilustracji można podać, że na przykład w akcie II brak m. in. dużej części sceny wypełnionej rozmową Przełęckiego ze Smugoniową. W niniejszym wydaniu wstawka zaczyna się na s. 185 od słów Smugoniowej: „W ciągu tej pół godziny...” i ciągnie się aż do końca s. 190: „*Uśmiech obojga. I cóż...*” A zatem brak tam jeszcze aktowi trudnego „magnetycznego” efektu końcowego. Niektóre kwestie partnerów dialogu, nawet dłuższe, zostały również poprzerabiane. Znaczenie tych przemian wychodzi oczywiście poza granice modelowania tylko stylistycznego, sięga w dziedzinę struktury treściowej utworu.

Dla dociekań interpretacyjnych nad tą strukturą, dla dochodzenia intencji twórczej autora nie bez znaczenia może być motto położone w zeszycie brulionowym na karcie tytułowej, ale

usunięte w tekście definitywnym. Świadczy o kręgu owoczesnej lektury i przemyślań Żeromskiego. Brzmi ono:

„Tak żyj, ażebyś nigdy i w niczym bóstwa w twej piersi nie splamił. Tak działaj, jak Bóg-człowiek, to jest dozwól przybijać się do krzyża za prawdę, za piękność, cnotę, za świętość i wolność, za istotne dobro religii i polityki, za światło, prawo i postęp, za ojczyznę i umiejętność.

Poświęcenie i ofiara są twoją powinnością, lecz pierwej poznaj to dobrze, za co chcesz dać gardło, ażebyś nie był – miasto Boga-człowieka – godnym politowania szaleńcem lub głupcem.” (F. Trentowski, *Myślini*)

Pod niejaką sugestią tegoż filozofa, a w każdym razie zgodnie z jego swoistą terminologią uzupełnił autor początkowo tytuł utworu dopisanym podtytułem: „czyli Jednia – Różnia – Różnojednia”. To dialektyczne ujęcie w triadę odnosi się niewątpliwie do intencji architektonicznej w obmyślanym utworze.

Obok tych doniosłych, w głąb struktury sięgających wskazówek mieści brulion także znaczną ilość odmian tekstowych, z których wszelako – wskutek odległości ujęć – mniejszy będzie pożytek przy reedycji tekstu definitywnego. Niemniej wypadnie posłużyć się nim przy uzasadnieniu niektórych wskazówek emendatorskich.

Podstawę wydania definitywnego, jak już wiemy, może stanowić tylko pierwodruk. Biorąc tekst stamtąd należy oczywiście usunąć omyłki druku, które mimo wszystko przemknęły się w korekcie. Przeważną ich część usunięto już i uzasadniono przy sposobności poprzedniej kontroli tekstu do wydania zbiorowego *Pism* (t. XXIII 2, Warszawa 1950). Było ich niewiele, ale były. Między nimi ta, która (poza krojem czcionek i rozkładem tekstu na stronie) dowodzi niezbicie, że wydanie drugie i następne u Mortkowicza były stereotypowe. Mają one wszystkie na s. 183 ten sam oczywisty błąd: „bojorko”, zam.: bajorko. Podobnie na s. 161 wszystkie zatrzymały: „moja tu już rzecz” zamiast należytego: moja to..., a na s. 197 dały: „dola moja” zamiast poprawnego: dolo moja. Pomniejszych usterek wspominać nie warto; jak się rzekło, usunięto je już w edycji z r. 1950.

Obecnie, mając na uwadze autograf, należy się ponadto zastanowić, czy nie należałoby wprowadzić do tekstu emendacji jeszcze dalszych. Chodzi zresztą o drobne tylko. Tak np. na s. 161 pierwodruk ma: „...,kazał rozebrać i na materiał spieniężyć”; właściwsza wydaje się wersja autografu: a materiał. Podobnie na s. 195 mamy w pierwodruku: „Można tak powiedzieć”; i tu za stosowniejsze można by uważać brzmienie autografu: Można i tak...

Ze względu wszelako na wspomnianą tu już dużą stosunkowo staranność korekty autorskiej w wydaniu pierwszym, nie mamy całkowitej pewności, czy poprawki takie uzasadniałby również czystopis utworu, czy dałyby się one poprzez ostatnią wolą autora. Sens utworu przy jednym czy drugim brzmieniu wyrazów nie doznaje ujmy. Toteż tutaj ograniczamy się do wskazania możliwości takiego odmiennego brzmienia nie wprowadzając go jednakowoż do tekstu głównego.

Natomiast jedną zmianę w interpunkcji trzeba było wprowadzić koniecznie, pozwala ona bowiem uzyskać należyte wyrozumienie tekstu. Na s. 177 zdanie pierwodruku: „Pytałem się, gdzie pani znalazła górnolotne przymiotniki dlatego, ażeby się uwolnić” itd. – poddaje sens taki, że to Smugoniowa znalazła owe „górnolotne przymiotniki” po to, „ażeby się uwolnić...”. Tymczasem naprawdę to Przełęcki pyta się „dlatego, ażeby się uwolnić...”, tzn. żeby przez to pytanie on sam się uwolnił od nasuwającego mu się podejrzenia. Rzecz jasna, że po „przymiotniki” trzeba dać przecinek.

Kształt typograficzny tekstu obydwu utworów w wydaniu niniejszym upodobniono do przyjętego konsekwentnie w tomach z dramatami.

STANISŁAW PIGOŃ

*Tekst dramatów i Nota Redaktora według wydania: S. Żeromski: „Ponad śnieg bielszym się stanę. Uciekła mi przepióreczka.” Oprac. S. Pigoń. Warszawa 1966.*

*Red.*

## SPIS TREŚCI

### PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ

Akt pierwszy

Akt drugi

Akt trzeci

### UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA

Akt pierwszy

Akt drugi

Akt trzeci

### NOTA REDAKTORA